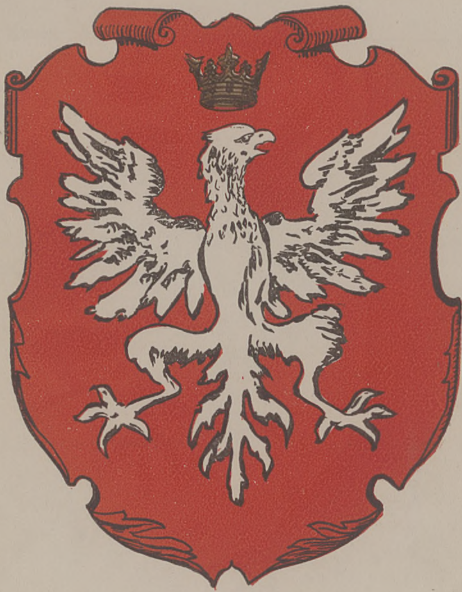
KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

PANNA MERY

POWIEŚĆ
POWIEŚĆ.



KRAKÓW 1920 roku.
NAKŁADEM SZ. TAFFETA WIŚLNA № 8.



PANNA MERY

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

PANNA MERY

POWIEŚĆ

DZIAŁ · NAKŁADOWY · KSIĘGARNI · S · TAFFETA · W · KRAKOWIE

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI S. TAFFETA, KRAKÓW, WIŚLNA 8.
1920

DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA W KRAKOWIE, UL. ZIELONA 7.

Panna Mery wybierała się na wielki raut do państwa Łódzkich. Dwie panny służące podawały jej suknie i przybory; fryzjer zaś rzucał ostatnie spojrzenie na swoje arcydzieło i, z głębokim ukłonem wyszedłszy z garderoby, splunął za drzwiami i spojrzał z westchnieniem na swój herbowy pierścionek na palcu, albowiem był szlachcicem. Potem przesunął rękę po włożonych w kieszeń pieniądzach i uśmiechnął się mimowolnie.

Panna Mery ubierała się żywo i swobodnie, ruchami osoby, która niewiele dba o cenę materji i którą zaprzątają wyższe myśli, niż te, aby się z suknią ostrożnie obchodzić. Ruszała się przytem niecierpliwie po pokoju, przechodziła z miejsca na miejsce i wlekła za sobą służące, które zamieniały wymowne spojrzenia.

— Joasiu, nie ciągnij mię! — zawołała w końcu.

— Ależ to panienka nie będzie porządnie ubrana — odparła panna służąca.

— Mniejsza o to, i tak będę najpiękniejsza.

— Ma się rozumieć — powiedziała druga garderobiana, poczem obie wystawiły z tyłu za panną Mery języki.

Panna Mery tymczasem zajęta była rzeczywiście ważnemi myślami. Wiedziała, że się spotka ze Strzyżeckim, i chciała być najpiękniejszą, tak piękną, jak nigdy i jak cud. Ale ta piękność nie miała polegać na tem, czy będzie miała o milimetr więcej, czy o milimetr mniej dosznurowaną suknię. Że ją Joasia i Zuzia porządnie ubiorą, że suknia paryska była dobrze zrobioną, tego była pewna. Nie chodziło tu o zewnętrzny pozór; dobrze się ubrać potrafi każda panna, która ma na to, i gdyby się miało skarby Golkondy, nie można na siebie włożyć więcej, niż można. Pannie Mery chodziło o co innego, o ten blask wewnętrzny, który miał jej świecić z oczu, o ten czar, który miał jej drgać na ustach, o ten nimb cudu, zjawiska, który miał ją otaczać.

— Muszę być jak cud, muszę być jak cud — powtarzała w myśli.

Podniecała się. Czuła, że jej oczy zaczynają płonąć więcej niż zwykle, że jej się pierś zaczyna poruszać szybciej, że jej się usta otwierają, jak do pocałunku. Uśmiechnęła się do zwierciadła — nie, powinna się nazywać Tryumfja Gnieźnieńska, nie Marja...

Ubrano ją, dopięto i dosznurowano. Joasia zarzuciła jej na ramiona przepyszne okrycie. Panna Mery, gotowa do wyjścia, spojrzała raz jeszcze w zwierciadło, i choć się dobrze znała i nieraz oglądała w balowych toaletach, prawie że zadziwiła się sama sobie.

W tej chwili trzecia służąca doniosła, że państwo czekają.

Panna Mery chwyciła wachlarz i śpiewając »la-la-la!« — poczęła zbiegać po wielkich marmurowych schodach na dół.

— Lecę, jak wielki rajski ptak — myślała.

...Nigdy więc, nigdy!?...

Nigdy nie usłyszę już twego głosu, tak, jak go dawniej słyszałem?...

Nigdy więc już nie wróci to, co przeszło?...

Akord związał się tak dziwnie, że aż sam Strzyżecki wzdrygnął się, jakby przerażony tem, co wypowiedział; struny tak jękły, jakby w nie uderzyła kościana ręka śmierci. Rzucił okiem od fortepianu, ale oprócz twarzy pani Skrawskiej i panny Lilienrauch, nie zobaczył niczyjej więcej.

...Nigdy więc?... Nigdy już?... Nigdy?...

A jednak do stópbym ci upadł, ręcebym ci i nogi całował, gdybyś mi jeden uśmiech dawny dała, jeden dawny dźwięk głosu... Była to może gra nerwów twoich, było to może puste wrażenie i nic, nic więcej, a jednak krwiąbym za nie płacił. Och, wróć mi to, wróć mi ten sen, wróć mi te chwile!...

Czy ty rozumiesz?... Czy ty czujesz!... Czy ty widzisz, co we mnie jest? Jaki ból? Jaki żal? I to ja sam, ja sam, ja sam odtrąciłem cię od siebie, ja sam złamałem ten kwiat, zdarłem z nieba to słońce, rozdarłem tę zasłonę liljową... Ja sam...

Strzyżeckiemu wydało się, że fortepian nie ma strun z metalu, ale że to jego własne nerwy ponaciągano za struny. Doznał wrażenia, jakby je szarpał i jakby szarpał własne ciało. Wydawało mu się, że za każdem uderzeniem w klawisze krew ze strun bluzga. Fortepian wydał mu się pełen krwi. Przepełnia go, zalewa, wylewa się nad brzegi, wybluźnia na salę, wszystko stanie się purpurowe, czerwone, wszystko utonie w tej krwi, meble, kwiaty, ludzie, ona...

Pani Skrawska, której twarz podobna była do arbuza, i panna Lilienrauch, której twarz podobna była do marchwi, podskoczyły na krzesłach. Fortepian pod palcami Strzyżeckiego wydał ton straszliwy, zupełnie szatański. Od tej krwi byłyby czerwone i pani Skrawska, z twarzą podobną do ar-

buza, i panna Lilienrauch z twarzą podobną do marchwi, pani Eufemia Skrawska z domu Lilienrauch i panna Salomea Lilienrauch, córka właściciela trzech kamienic i jednej cukrowni, panna z dwoma kroć posagu zaraz, a potem drugie tyle, »długie Salcze«, ofiara uczniowskich dowcipów całej młodzieży... Strzyżecki uderzał akord po akordzie. Fortepian ryczał śmiechem. Pani Eufemia Skrawska i panna Salomea Lilienrauch, tonące w jego krwi, w tej krwi, która wybluzga z fortepianu na salon, bo i one musiałyby tonąć, nimby ta krew dopłynęła tam, tam, gdzie te kwiaty... Ha! ha! ha! Fortepian ryczał tak nieludzkim, tak strasznym śmiechem, że aż Strzyżecki usłyszał gdzieś za sobą: *Mais qu'est ce que c'est?* Co to jest?

...Płyń, płyń, krwi! Oto już niema ani fortepianu, ani salonu państwa Łódzkich, ani pani Skrawskiej i panny Lilienrauch, ani tych świateł i kwiatów, ani nikogo, nic, nic — tylko przestrzeń i szum i huk i morze jego krwi płynącej... Dosięga jej stóp, rozlewa się ponad niemi, chce bryznąć wyżej, chce bryznąć na nią — i nie może. Rzecz dziwna i niepojęta. W tym oceanie krwi, w tej powodzi, która zda się, Alpy załaćby mogła, ona stoi nietknięta; krew burzy się, kotłuje i kołuje naokoło niej, spiętrza się w fale i tumany, a jedna jej kropla nie może uchwycić jej podeszwy, nie może paść na jej trzewik... Więc wtenczas fortepian pod palcami Strzyżeckiego począł łkać. Straszliwy, rozdzierający, bolesny nad wyraz i nad pojęcie jęk rozpaczy wydźwięknął ze strun. Strzyżeckiemu powilgotniało w oczach — chciał wstać — chciał sobie powiedzieć, że to, co zrobi, jest śmieszne, ale stało mu się czarno w oczach.

— Ach! ach! — krzyknęła pani Skrawska z twarzą podobną do arbuza i panna Lilienrauch z twarzą podobną do marchwi. Strzyżecki oprzytomniał...

— *Mais qu'est ce que c'est?* Co jemu jest? — usłyszał za sobą.

— Może wody? — podsunął się ku niemu młody Łódzki, z białym kwiatem w butonierce.

Strzyżecki kiwnął głową na znak podziękowania.

Fortepian zaś zabrzmiał hymnem. Oto dusza bolesna, znękana, smutna śmiertelnie i beznadziejnie, wydarła się z ciała. Cały swój ból, całe swe cierpienie uniosła z sobą w przestrzeń. Daleko, daleko od światła, od słońca, daleko od wszystkiego, czem *ona* żyła. W pustą, szarą przestrzeń...

Ach! Od wszystkiego, czem ona żyła, daleko, jak najdalej!... Zostawmy ją tu! Zostawmy ją tu! A jednak, gdyby nie ona, byłby sen, straszny, śmiertelny sen, byłaby straszliwa martwość ducha ..

...Więc czy ty nie rozumiesz, że cię kocham? Nie rozumiesz, czy nie chcesz rozumieć? I nie mogę, nie mogę, nie mogę ci powiedzieć tego i nic, nic nie mogę, i gdybym ginął, gdybym konał, gdybym zginąć miał w tej chwili, a tylko jedno słowo mogłoby mię uratować: kocham cię! – ja nie mogę tego powiedzieć...

Tu pieśń oderwała się od myśli, stała się tylko uczuciem. Strzyżecki leciał za nią duchem, ale jej już nie ogarniał. Z pod palców jego wylewały się błękitne fale i coś niepojętego płynęło od niego. Była to dusza ludzka w najwyższem swem napięciu, w najwyższej ekstazie kochania i tęsknoty...

Łamało się coś i rwało w piersiach Strzyżeckiego. Wydarł z nich serce i cisnął je tam, w róg salonu, pod te kwiaty...

Doleciało, upadło...

Fortepian zakołysał się cały; Strzyżeckiemu stało się znowu ciemno w oczach.

-- Co panu dziś jest? Niech pan już nie gra – podbiegła ku niemu pani Łódzka.

– Co mi jest? Cierpię, więc żyję – pomyślał Strzyżecki i wstał od fortepianu.

Oczy jego pobiegły w kąt salonu, pod kwiaty.

Panna Mery Gnieźnieńska biła brawo razem z innymi. Biła brawo bardzo żywo. Na twarzy jej były rumieńce i wydawała się bardzo wzruszoną. Strzyżeckiemu zaświeciło w oczach, oddech zaparł mu pierś. Ukłonił się kilka razy klaskającym i posunął się ku kwiatom. Ale na twarzy panny Mery wzruszenie, jakby stłumione wolą, znikło, pozostały tylko rumieńce. Strzyżecki zatrzymał się.

Oczy jego rzuciły w oczy panny Mery: »Nic?«

I otrzymały zimną i spokojną odpowiedź: Nic.

— Nie dosyć jest mieć miljony, nie dosyć jest być piękną — mówiła do siebie półgłośno panna Gnieźnieńska, chodząc wszerz po buduarze panny Łódzkiej i rzucając oczyma na swoją tualetę i na swoją twarz w lustrze. — To nie dosyć. Dziewczyna taka, jak ja, ma do wszystkiego na świecie prawo. Tak, tak, Mery, musisz zrobić karjerę. Hrabina Mery...

Dygnęła przed lustrem.

...Księżna Mery...

Dygnęła jeszcze głębiej i zaczerwieniła się. Pons oblał jej twarz, jakby wymówiła coś, co ją zażenowało, czego bałaby się, aby ktoś nie usłyszał. Wymówiła za głośno:

...Księżna Mery...

Szepnęła i dygnęła jeszcze raz przed lustrem, bardzo nisko.

...Księżna Mery...

I kiwnęła głową protekcjonalnie.

...Madame la princesse Mery...

...Madame la duchesse...

Wszak można za mąż iść nietylko w kraju.

— Kraj, kraj, w kraju, za Polaka — myślała. — To się mówi i to dobrze robi u ludzi. »O! panna Mery Gnieźnieńska nie wywiozłaby swoich miljonów z kraju...« »Panna Gnieźnieńska tylko za Polaka wyjdzie za mąż...« Ba! żeby się tylko trafiło! Księżna Trautmansdorf, księżna di Medina-Sidonia, Colonna...

Jak ktoś jest taki, jak ja, piękny, tak wspaniale piękny, tak inteligentny i świetny, i jest jedyną córką państwa Rafałostwa Gnieźnieńskich, może mieć wszelkie szanse, wszelkie nadzieje i wszelkie pretensje. Zabawna jest ta Salomejka Lilienrauchówna ze swojemi, po najdłuższem życiu papy, czterema kroć posagu; ja mam jedenaście miljonów. Z tem, w Europie, chyba można dużo zrobić; u nas wszystko. Zresztą papa robi ciągle majątek, a ja mam dopiero dziewiętnaście lat. Przed dwudziestu dwu nie wyjdę za mąż. Przez ten czas

papa może mieć dwanaście miljonów, może mieć czternaście miljonów, może mieć dwadzieścia miljonów. Papa ma genialną głowę do interesów.

A ja jestem nieodrodna jego córka...

Dygnęła przed lustrem.

...I zrobię genjalny interes.

Dygnęła znowu.

...Mery, ty musisz zrobić karjerę. Pamiętaj! Musisz!

Wymówiła to głośno i pogroziła sobie palcem po nosie.

Ale twarz jej się zasępiła.

Dla czego papa nie kupuje tytułu barona? Wszakże to można. Powiada, że go to ośmieszyło, że każdy w Warszawie pamięta dziadka Gabrjela Gnieźnieńskiego, który był faktorem od wełny i zboża. Podobno się nawet nazywał Gnieznower. Powiedziała jej to Hersylka Wasserkranzówna, jak wpadła w pasję.

...Ach! Te Wasserkranzy, Lilienrauchy, Morgensteiny! Dobrze jeszcze, że nie mamy w familji Pistoletów, ani Miednic. Estera Miednica... Sama widziałam szyld za Żelazną Bramą... Brr! Gdybym ja się nazywała Miednica... Panna Marja Miednica... Mery Miednica... A przecież tak łatwo mogłam się tak nazywać! Nawet mam jakieś przeczucie, że moja babka, której nazwiska nigdy się nie mogę dopytać, musiała być Miednicówną z domu. I wszystkie Miednice z za Żelaznej Bramy, odrapane, brudne, wiechciowate, handlujące, sprzedające, oszukujące: to są moje kuzynki... Brr...

Nowa fala ponsu, zupełnie ciemna, uderzyła jej na twarz.

...Jednak jakiś dobry bóg czuwał nade mną. To byłoby straszne...

Miss Mary Miednica...

Brr...

Nie martwmy się tem jednak. Cóż nam to pomoże?

Nazywam się Gnieźnieńska, to nawet brzmi bardzo arystokratycznie. Już dziadek zmienił nazwisko. A zresztą — mam jedenaście miljonów i jestem piękna. Piękna i mądra i bogata. Piękna, mądra, inteligentna, dowcipna, świetna i bogata. Najświetniejsza panna w Warszawie. To może zastąpić nawet nazwisko. Czy nie jestem piękna?

Stanęła przed lustrem i spojrzała.

Co ją przedewszystkiem zawsze uderzało w oczy, ile razy oglądała się w lustrze, to nadzwyczajna, promieniująca z niej po prostu bujność życia. Zdawało się, że jak z oczu

jej wprost bryzgają rakiety inteligencji, żywości i sprytu, tak piersi jej wprost rozsadzają gorset, biodra, stanik. A wszystko to miało swoją cudowną, klasyczną harmonję.

»Gdyby Żydzi byli mieli swoją Wenerę — powiedział jej raz stary stryj Ganzgut, który się bardzo pysznił ze swego pochodzenia, a miał najpiękniejsze rzeźby w Warszawie — to ty mogłabyś była być modelem.«

»Tyś jest jako róża Sarońska, a lilja przy dolinach...

Wargi twoje jako sznur karmazynowy, a wymowa twoja dźwięczna...

Obie piersi twoje jako dwoje bliźniąt sarnich, które się pasą między liljami...

Wszystkaś ty piękna, przyjaciółka moja! a zmazy nie masz na tobie...«

Przeczytała raz w swoim albumie tak zmienionem piórem, że się domyślić nie mogła:

»Jam jest jako róża Sarońska, a lilja przy dolinach...«

Wre, kipi we mnie życie. Uroda moja jest olśniewająca. Takie musiały być nasze kobiety kiedy Żydzi podbijali Azję.

Br... Żydzi!...

Jam jest jako róża Sarońska...

Wszystkam jest piękna...

I niemasz zmazy na mnie...

Roześmiała się.

Oczy jej padły na usta. Przestała się śmiać.

Te usta, to jej wieczny niepokój.

Nie to, żeby były nieładne, gdyż były prześlicznie wykrojone, przepysznej wiśniowej barwy i niewysłowionego uroku, ale usta te niepokoiły ją. Było w nich coś, czego nie umiała nazwać, ani określić, ale co czuła.

— Jeżeli ja zginę — powiedziała raz do kuzynki Hersylki Wasserkranzówny — to zginę przez usta, zobaczysz.

Czuła, że panowała nad całą sobą, nad wzrokiem i nad głosem, nad ruchami, ba! nawet nad myślą i nad sercem — tego wszystkiego ją nauczono i to sama w sobie wymogła. W tych ustach było coś, co było ponad jej siły, ponad jej wolę. Czuła, że się to ani opanować, ani okiełznąć nie da.

— Co to jest? — myślała nieraz.

Tymczasem wszystkie wrażenia odbijały jej się przedewszystkiem na ustach. Jeżeli muzyka — którą ze wszystkich sztuk najwięcej lubiła — wzruszała ją, doznawała uczucia, jakby dźwięki i tony dotykały jej warg pierwej, nim do uszu

dobiec zdołały. Jeżeli przy niej deklamowano, lub śpiewano, słowa i głos muskały jej wargi, pieściły je. Jeżeli jej się ktoś podobał, odczuwała to naprzód jak gdyby na ustach.

— Usta moje są do pocałunku stworzone, ale jest w nich coś strasznego i dla tego kogo pocałują, i dla mnie. Usta, ja się was boję!...

Do pocałunku...

Ogarnęła ją jakby jakaś omdlałość, jakby jakieś rozleniwienie.

— Do pocałunku.... — powtórzyła półszeptem.

— Zdaje mi się, że ja nie jestem namiętna, ale muszę być to, co Hersylka nazywa lubieżna. Ona jest strasznie zepsuta i wszystko wie, ta Hersylka. Ona mnie stanowczo psuje.

»Róża Sarońska...«

Przeszła się kilka razy wzdłuż pokoju i znów zatrzymała się przed lustrem:

— Tak jest, tak jest! — szepnęła. — Muszę podbić świat! Pochód mój musi być tryumfalnym. Skorom już chybiła o tyle, że mnie nie postawiono, jako żydowskiej Wenery w świątyni Salomona, to przynajmniej wytańczę sobie głowę świętego Jana, jak Salome.

»Sie tanzt mich rasend. Ich werde toll!
Sprich, Weib, was ich dir geben soll?
Sie lächelt! Heda! Trabanten, Läufer!
Man schlage ab das Haupt dem Täufer!«

— Tak, tak, świat należy do śmiałych. I można go do szaleństwa zatańczyć. I będzie szalony od mojego tańca. »Heda! Trabanten, Läufer! Man schlage ab das Haupt dem Täufer!...«

Tupnęła nogą.

— Wszystko do mnie należy! Wszystko jest dla mnie! *Ja* tak chcę!

Z rozdętemi nozdrzami, z ustami nawpół otwartemi, przez które błyskały zęby, stała, patrząc przed siebie w lustro, i napawała się swą ogromną i straszliwą potęgą. Rzeka złota w jej ręku i ta uroda królewska, i ten spryt, dowcip, czas, rozum, zdolności...

— Coś jest we wnie demonicznego — szepnęła.

Potęga! Mieć lat dziewiętnaście i być tak potężną! Czego ona nie może mieć u swoich nóg? Wszystko!

I wydało jej się, że las głów gnie się ku niej, ku jej stopom, i że z lasu tego wychodzi szept półgłośny, podobny do modlitwy jakiejś, do hymnu:

»Tyś jest jako róża Sarońska, a lilja przy dolinach...

Jako lilja między cierniem, tak przyjaciółka moja między pannami...

Ogrodem zamknionym jesteś, źródło zamknione, zdrój zapieczętowany...

O źródło ogrodne, zdroju wód żywych, które płyną z Libanu...«

I ucieszyła się do tego hymnu, do tych głów pochylonych ku sobie — i do swojej doskonałej, wyjątkowej pamięci.

— Nie, cóż mam zrobić, kiedy ja we wszystkiem jestem między pannami, »jak lilja między cierniem...« Nie wiem, czym to trzy razy czytała, a prawie całe umiem na pamięć.

»Brzuch twój jest jako bróg pszenicy osadzony liljami« — i zaczęła się śmiać.

A las głów, pochylony ku jej stopom szumiał:

»Któraż to jest, co się pokazuje jako zorza, piękna jako miesiąc, czysta jako słońce...

Aczkolwiek jest sześćdziesiąt żon królewskich, a ośmdziesiąt nałożn...«

Oblało ją gorąco i urwała.

Spojrzała na swoje usta: były rozchylone nieco, wiśniowe, wilgotne trochę.

»Przyłóż mię, jako pieczęć na serce swoje, jako sygnet do ramienia swego! Albowiem miłość mocna jest jako śmierć, twarda jako grób zawistna miłość; węgle jej, jako węgle ogniste i jako płomień gwałtowny. Wody wielkie nie mogłyby zagasić tej miłości, ani rzeki zatopić; choćby kto wszystką majętność domu swego dał za taką miłość, byłby pewnie wzgardzony.

O jakażeś piękna i jaka wdzięczna, o miłości przerozkoszna!...«

— Bajeczną mam pamięć — szepnęła.

A chór głów pochylonych ku jej stopom szumiał:

»Któraż to jest, co się pokazuje, jako zorza, piękna jako miesiąc, czysta jako słońce?«

Demon, Demon potęgi!...

Uczuła dziwną żądzę rzucić się na kogoś, przypaść mu ustami do szyi, ssać z niej krew...

...Pod nogi!... Pod nogi?

Do nóg!!

Ha! Na głowie komuś stopę oprzeć, deptać, miażdżyć, czuć siłę swoją!...

Rzucałaby garściami złoto, biłaby po twarzach złotem! Niech te dukaty parzą, jak ogień, tną, jak bicz! A wy wyciągajcie po nie ręce, tłoczcie się, depczcie, bijcie! Ha! Pod nogą mieć!... Niech się wije, niech jęczy, niech błaga...

Demon...

Ale w tej chwili spojrzała na usta swoje i straciła pewność siebie. Te usta, jakby nie słuchały i nie rozumiały jej; wydało jej się, że one mają swój wzrok i swoim wzrokiem patrzą na świat. Uczuła się wobec nich bezsilną.

— Otom jest słaba — przypomniało jej się z »Bez dogmatu«.

Mistyczna jakaś moc królowała na jej wiśniowych wargach.

— Mogę zginąć od dwóch rzeczy: przez moją próżność i od tych ust — pomyślała.

Jestem straszliwie próżna i ulegnę czemuś, co mnie pochłonie...

Boję się...

Uczuła się jakaś bezsilna i mała.

— Nic, nic mię nie ocali — boję się... — szepnęła.

Obejrzała się, jakby za kimś. W tej chwili zamajaczyła jej w oczach twarz Jakóba Loewenberga, adwokata, bardzo porządnego człowieka, który się w nią zawsze z daleka wpatrywał, i o którym powszechnie mówiono, że się w niej kocha. Ale panna Mery nie zwracała nawet na niego uwagi.

»Jakiś Żyd«. — Oburzało ją to nawet, że śmiał na nią oczy podnieść, na nią, o której wuj Hammerschlag mówił, że jest kąskiem na książęcy stół...

— Ostatecznie jestem bardzo sama — myślała.

Mama? Cóż, mama nudzi się i w Warszawie marzy o Karlsbadzie, w Karlsbadzie o Biarritz, w Biarritz o Warszawie. To jest naprawdę jedyne jej zajęcie.

Ja ją obchodzę tyle, żeby mogła dwa tygodnie płakać po mnie, gdybym umarła. Zresztą nie obchodzi jej nic, ani ja, ani ojciec, ani nikt na świecie. Mama *berce son infini sur le fini de mer.*

Papa jest prosty geszeftsmann — nazwijmy rzecz po imieniu, jak mówi ksiądz Warecki. — Strasznie mnie kocha, podziwia mnie i adoruje, ale papa, pomimo pozornego, nabytego poloru, jest synem dziadka Gnieznowera i na tem koniec.

Poza tem kogóż mam? Ani braci, ani sióstr, Hersylka, albo Frania Wasserkranz, czy Michaś Kuchen? Oni wszyscy są dla mnie za głupi. To przedewszystkiem. Jestem sama, zupełnie sama. Nie mam nikogo i nikt mnie nie kocha. Nikt. Gdybym potrzebowała czyjej pomocy, musiałabym za nią zapłacić, musiałabym ją dostać za pieniądze.

Uśmiechnęła się gorżko.

...Za pieniądze, wszystko za pieniądze...

Czy się we mnie kto kochał kiedy? Oświadczyło mi się czterech panów, starało się i miało zamiar starać się coś siedmiu — odważni! — a z tych pięciu kochało się w innych pannach. To dziwne: mimo mojej piękności, mimo, że jestem »między pannami, jako lilja między cierniem«, zdaje mi się, że się we mnie nikt dotychczas nie kochał.

Boją się... Nie śmieją...

Ale głos jakiś wewnętrzny powiedział jej, że tak nie jest. Uśmiechnęła się gorżko. To dziwne...

Kochają się przecież w innych pannach, w takiej Hersylce i Frani Wasserkranz, w takiej Madzi Lilienrauch — w Salci niepodobna — w pannach Skrawskich z Długopola, choć ani ładne, ani bogate, w Cesi Wagnerównie, w Cesi Kutuskiej, w Jadzi Podrębskiej... W każdej się ktoś kocha, w Podrębskich nawet dwóch, czy trzech. A w niej nikt. Prawda, że i te panny się także kochają — przynajmniej większa ich część, lub przynajmniej chcą się kochać. A ona — nie.

Ani się kocha w kim, ani chce się kochać.

Ona chce tylko jakiejś rozkoszy, jakiegoś upojenia, jakiegoś haszyszu... Uczuła, że wyciągnęły jej się usta. Jakaś straszliwa, nieznana moc stanęła przed nią i przewiała ją chłodem.

— Boję się... — szepnęła.

Ale wrażenie przeszło. Chciała powrócić do swoich myśli, były jednak zmącone. Majaczyła w nich twarz Władysława Strzyżeckiego.

— Zdaje mi się, że on mnie kocha... — pomyślała.

— Eh, ale takie kochanie, artysta.

I cóż to jest? Gdyby był Niemcem, Francuzem, Anglikiem, ale polski kompozytor!... Sławy światowej nigdy nie zdobędzie.

Zresztą cóż mnie to obchodzi? Przecież za niego nie pójdę. Madame Strzyżecka cóż to jest? Gdyby miał sławę światową...

Gdybym miała tylko miljon, albo tylko dwa miljony, to przypuszczam, że mogłaby mi ostatecznie od biedy wystarczyć jakaś wielka polska sława, ale kiedy mam już jedenaście, a mogę jeszcze mieć więcej... Nie, nie... zresztą skąd? Nigdy mi nawet nic nie powiedział...

No, więc cóż było? Rozmawialiśmy z sobą na wieczorach, odkąd zaczęłam bywać, potem pokłóciliśmy się i przestaliśmy rozmawiać. Nic nie było i niema...

I o cóż pokłóciliśmy się? Właściwie o nic. Jednak czasem mi żal... Z nikim już tak nie rozmawiałam... Ale on mi tak patrzał w duszę... za głęboko... Bah! Mnie wszystko wolno. Mogę zapłacić...

On czuł tę moją straszliwą próżność i ten mój egoizm, który mnie całą wypełnia i pochłania.

Ale po co mi to mówił? Jeżeli zależało mu na mnie, a wiem, że tak było...

Jaki on jest głupi! Czego on chciał? Czy nie rozumiał, że nie mogę mu zabronić sądzić mnie, ale mogę mu zabronić mówić o tem do mnie?... A ostatecznie — kto wie?... Podobał mi się... Tylko nie wiem właściwie, co mi się podobało: czy on i jego talent? czy raczej może najwięcej to, że o tem mówili, iż ja się jemu podobam...

Przestali już mówić — szkoda...

Jak on jednak dziś dziwnie improwizował... Nigdy nic podobnego nie słyszałam...

Co on myślał?

Cokolwiek myślał, jeżeli myśli, że dla mnie istnieje, że jest dla mnie czemkolwiek, to jest głupcem.

Madame la comtesse Mery Zamojska, madame la comtesse Mery Potocka — dygnęła w lustrze. Po chwili szepnęła: la princesse Mery Lubomirska, la princesse Mery Radziwiłł... Księżna Mery...

Gorąco jej się zrobiło, uczuła się zażenowaną.

Nie, nie dosyć jest mieć miljony, nie dosyć jest być piękną...

»Hrabina, księżna Mery...« — szeptała, wychodząc z buduaru, coraz śmielej, jakby oswajając się z dźwiękiem słów...

»Madame la comtesse Mery... Księżna Mery... Nasza Mery to zrobi, Mery się tem zajmie« — mówiła, źle wymawiając *r* — królewska księżna Mery...

...Wszystko jest dla mnie, wszystko mam do zdobycia, wszystko zdobyć mogę... Avanti, Mery! Mery, musisz być pierwszą damą w Polsce, jedną z pierwszych w Europie. Masz na to warunki i wiem, że możesz to zrobić. Na biletach nie potrzebujesz sobie kazać drukować: comtesse lub princesse Marya telle et telle née Gnieźnieńska. Dobrze, że mi przynajmniej dali jakieś uczciwe imię chrześcijańskie i że się nie nazywam Pistolet, ani Miednica. Hosanna niech będzie Panu na wysokościach! E avanti, Mery! Masz świat do zdobycia... Avanti, Mery!

Panna Mery weszła do salonu. Weszła ze swoim zwykłym wyrazem, z przymróżonemi oczyma i wysuniętemi nieco ustami, z wielką nonszalancyą, a wytwornością w ruchach, z miną osoby, której wszystko wolno i która wie, że gdyby jej ktoś powiedział, że to nie prawda: i on sam wie i ona, że to nie prawda. Rozejrzała się po pokoju obojętnie, a ciekawie, jakie wrażenie zrobiła jej długa nieobecność w salonie, oraz z zamiarem wyboru miejsca.

Oczy jej padły naprzód na grupę panien, potem na hrabinę Wyczewską, która razem z wielkim pianistą amatorem, hrabią Morskim, i z panią Łódzką rozmawiała ze Strzyżeckim, potem na grupę kilku panien i kilku młodych mężczyzn, potem na starego uczonego, profesora Pukalskiego, który, samotnie siedząc na fotelu, przecierał okulary. Panna Mery przesunęła się koło jednej grupy panieńskiej i drugiej, minęła hrabinę Wyczewską i jej otoczenie i, składając usta do najwdzięczniejszego uśmiechu, usiadła obok profesora Pukalskiego.

— Pani się ze mną starym nie boi znudzić, he, he? — zaśmiał się profesor, wkładając okulary.

— A jeżeli tylko pan profesor ze mną znudzić się nie lęka... — odparła panna Mery z najuprzejmiejszym uśmiechem.

Rozmawiała żywo i dowcipnie, ale jej myśl była zupełnie gdzieindziej. Ważyła ona korzyści wrażenia, jakie sprawia jej rozmowa z Pukalskim. Wyróżniło ją to odrazu od wszystkich panien, nawet od wszystkich kobiet. Ma dobre serce, ponieważ usiadła przy nim, kiedy był osamotniony; musi mieć trochę więcej w głowie niż inne, skoro z taką powagą nie boi się i ma o czem rozmawiać; jest i lepsza i poważniejsza niż inne. Zwraca na siebie powszechną uwagę i irytuje tylu mężczyzn, ilu tylko chciałoby w tym salonie być jej blizko i mówić z nią, a nie wątpi, że chcieliby tego wszyscy, z wyjątkiem dwóch narzeczonych, ale i z tych za

jednego nie ręczy, ponieważ żeni się z Lilą Pakertówną tylko dla fabryki jej ojca. Na karcie *habet* buchalteryjnej księgi swego życia, panna Mery wpisała 11-go marca 189... roku znaczny zysk. Była z siebie zupełnie zadowolona.

Równocześnie kiedy niekiedy oczy jej szły ku oczom Strzyżeckiego i spotykały się z niemi. Była ciekawą, co myśli, i zdawało jej się, że odgaduje. Pragnął być przy niej, a zarazem we wzroku jego było coś złego. To, że pragnął być przy niej, mało ją zajmowało, do tego wrażenia zanadto była przyzwyczajoną i zresztą *nie mogło być inaczej*, ale to coś złego w tych wielkich, szafirowych, jak morze w cieniu, oczach — intrygowało ją. Byłaby chciała z tym człowiekiem zagrać jakąś partję, zmierzyć się z nim. Byłaby pewna wygranej, ale walka byłaby interesująca, dawałaby emocję. Mózg panny Mery przybrał kształt szpady. Zaczęła uderzać i odbijać, rozmawiając równocześnie z profesorem Pukalskim.

Widziała, że Strzyżecki, o ile to może nie zwrócić uwagi osób, z któremi rozmawiał, nie spuszcza jej z oka. Nagle w oczach jego zgasł ten zły blask: oczy te wypowiedziały jakiś ból — panna Mery odwróciła swoje, posyłając w zamian grymas ust, wyrażający lekką wzgardliwość i nieco nudy.

Wtem gospodarz, pan Łódzki, podsunął się ku drzwiom salonu, w których ukazał się wysoki i zmanierowany na Anglika hrabia Wiktor Czorsztyński.

Przez mózg panny Mery przeleciały, z błyskawiczną zupełnie szybkością, następujące notatki: teraz tu jest dwóch ludzi, na których się najwięcej zwraca uwagi: Strzyżecki i Czorsztyński. Czorsztyński ma tytuł, zaszargany majątek, angielski wygląd i nie jest z tych, o którychby nie trzeba zupełnie pamiętać. Wszyscy wiedzą, że się chce bogato ożenić, »dobrze sprzedać«, jak mówi, że mu wszystko jedno, zkąd pieniądze będą, byle były. Jest przystojny, elegancki, beau parleur, sportsman, brat cioteczny księżny Zasławskiej. Księżny Zasławskiej...

Strzyżecki jest nieskończenie więcej zajmujący i ma tę aureolę, którą daje tylko i jedynie artyzm. Teraz ci dwaj ludzie są pierwsi w tym salonie, tak, jak ona jest w nim pierwszą panną. Teraz będzie można zagrać... Mózg panny Mery stał się podobny do rakiety od wolantu, na siatce której podskakiwały dwie piłki. Ale w chwilę potem stał się podobnym do oszczepu o dwóch ostrzach, a przetworzył go

tak nadmiar sił żywotnych panny Mery. Uczuła chęć jakiejś walki psychicznej.

Co zrobi Czorsztyński, to jest zupełnie wszystko jedno, ale co zrobi Strzyżecki? Na to jezioro, które jest jego duszą, rzucić tę bryłę kamienną, którą przedstawia Czorsztyński, i co z tego wyniknie? Jezioro zawre, zakipi... Tak jest, Strzyżecki jest spokojny, przynajmniej pozornie, ponieważ go nic nie drażni z zewnątrz. Tak to jest nudne... Nim się wyjdzie za mąż za takich Czorsztyńskich, trzeba coś przeżyć z takim Strzyżeckim. A trzeba żyć, żyć!...

I ogromna, przebujała żywotność organizmu panny Mery poczęła się kłębić w jej żyłach, a po ustach jej przelatywały jakby jakieś łaskotania i lekkie dotknięcia. Uczuła, że jej jest ciasno w gorsecie i staniku, krew w niej poczęła grać. Miała uczucie pantery, która patrzy z krawędzi skalnej na jelenia. Nozdrza poczęły jej się rozdymać, jakaś żądza, zła i wstrząsająca zarazem jakimś łaskotliwym dreszczem, wstrząsnęła lekko ciałem Mery. Zdaje mi się, że chciałabym coś drapać — myślała.

A równocześnie profesor Pukalski zachwycał się jej dowcipem, a ogół jej uprzejmością, i habet w buchalteryjnej księdze życia panny Mery pod dniem 11-tym marca 189... roku mogło zaznaczyć znaczny zysk z doskonale ulokowanego kapitału.

Czorsztyński, po kilku zręcznych ruchach, z całą wprawą światowca, zbliżał się ku pannie Mery, ta jednak, uprzedzając go, wstała, i nim zdążył przy niej stanąć, rzuciwszy jeszcze kilka miłych słów profesorowi Pukalskiemu, znalazła się obok Strzyżeckiego.

Ich oczy spotkały się i jak gdyby zczepiły z sobą, potem rozerwały się i stanęły naprzeciw siebie nieruchome i sztywne.

— Pan dziś był bardzo wzruszony przy fortepianie — odezwała się panna Mery.

— Zdawało się pani.

— Jakże? O mało pan nie zemdlał.

— Zdawało się pani Łódzkiej.

— Mnie się zdaje, że panu się zdaje, że się panu zdaje.

— Pani lubi grać w słowa.

— Ja lubię grać we wszystko.

— Co może przynieść zys...

Strzyżecki zawahał się i niedokończył. Na twarz panny Mery wybiegł lekki rumieniec, spojrzała jednak wyzywająco i rzekła:

— Czemu pan nie kończy? Cóż pan chciał powiedzieć?

— Zysk — rzucił Strzyżecki brutalnie.

— Co może przynieść zysk — powtórzyła panna Mery, panując już zupełnie nad sobą. — Tak jest, i myślę, że kto gra o co innego, ten jest bardzo niemądry.

— Pani nie rozumie, że czasem można grać o coś, choć się grać nie chce?

— Tak robią tylko ludzie słabi.

— I jeżeli przegrają?

— Nie warto ich żałować.

— Udaje pani, czy naprawdę pani tak sądzi?

— A pan jak myśli?

Strzyżecki patrzał na nią chwilę; panna Mery wyzywała go spojrzeniem.

— Ja nic nie chcę myśleć — rzekł po chwili.

— Lęka się pan?

— Lękam.

— Czego?

— Czegoś złego.

— Nie chce pan nic złego o mnie pomyśleć?

— Tak.

— Tylko ludzie słabi grają o coś, co nie przynosi zysku. Strzyżeckiemu ściągnęły się brwi; zrobiło jej to przyjemność.

— I nie warto ich żałować — odezwał się.

— Pan myśli, że powiedziałam to na serjo?

— Chyba... chyba tak.

Panna Mery zrobiła minę dziecka, które udaje pychę.

— Jestem wyższa nad opinię.

— Bawi się pani?

— Ja się zawsze bawię.

— Wszystkiem?

— Co się da.

— Lub co się nie może nie dać.

— Jego wina.

— Ale to nie jest — szlachetnie.

— Właśnie w stylu. Przecież o ten »brak szlachetności« poróżniliśmy się.

— Panno Mery!...

Strzyżecki powiedział to bardzo miękko. Pannie Mery lekko przymrużyły się oczy, ale tylko na jedną sekundę.

— Żal panu?

Strzyżecki jak gdyby się wahał chwilę i jak gdyby walczył z sobą; potem odezwał się cicho i jeszcze miękcej.

— Żal...

Wtedy pannie Mery wydała się chwila stosowna i, odpowiadając mu z umyślnem roztargnieniem i z umyślnem *byle coś powiedzieć:* Nie warto niczego żałować — poczęła patrzeć na Czorsztyńskiego, który z kolei rozmawiał z profesorem Pukalskim.

Patrzała na niego długo, tak długo, aż Czorsztyński podniósł wzrok i skierował go ku niej.

— O czem mówiliśmy? — zwróciła się ku Strzyżeckiemu.

— O niczem — odparł, a twarz jego stała się bledszą i brwi mu drgały.

— Jakto o niczem? Ze mną nie można mówić o niczem — zażartowała.

— Widać, że ja mogę.

— Wielkiemu panu wszystko wolno.

Skłoniła głowę zabawnie.

— Nawet zbankrutować — odbił.

Pannę Mery ogarnął gniew.

— Nie mówiłam o prawdziwych wielkich panach.

— Nie potrzebuje pani tego dodawać.

Ten wyraz »pani« był policzkiem dla panny Mery; Strzyżecki musiał odpokutować, musiał zapłacić! Naprzód to, co powiedziała, było ordynarne, i spostrzegła się; powtóre to, co on powiedział, było za zuchwałe. Musi zapłacić za jedno i za drugie. Rzucić go i przenieść się w tej chwili do Czorsztyńskiego — to było za banalne, za łatwe, niegodne jej. Panna Mery uczuła w sobie w tej chwili węża. Spojrzała na Strzyżeckiego słodko i dziecinnie, bez żadnej kokieterji, a z nieopisanym pokornym wdziękiem, i szepnęła:

— Przepraszam pana.

Strzyżecki zbladł jeszcze bardziej, a potem zaczerwienił się, oczy jak gdyby mu się zaszkliły.

— Masz za swoje! — pomyślała panna Mery. — Ale teraz nie trzeba ani psuć wrażenia, ani do niczego takiego dopuścić, do czego mógłby się czuć upoważnionym. Odwróciła się, ujęła pod ramię jedną z panien stojących obok i odeszła w głąb salonu. Była to jej kuzynka, Klarcia Thal-

berżanka, sławna z naiwności i z tego, że wszystko, co się jej powiedziało, powtarzała. Zwano ją sitkiem.

— Wiesz, to jest prawdziwe nieszczęście być bogatą — mówiła do niej panna Mery — przecież ja nigdy nie wiem, czy się kto do mnie zbliża dla mnie, czy dla moich pieniędzy. Nikomu nie mogę ufać, nikomu wierzyć. Czuję się czasem naprawdę bardzo nieszczęśliwą. Przecież jak nawet co dobrego zrobię, każdy powie, że robię to z próżności, nie zaś z dobrego serca. Ciążą mi te miljony papy. Nie chciałabym być ubogą, ale doprawdy wolałabym mieć tak mało, jak ty. Byle nie cierpieć niedostatku. Ty przynajmniej możesz kochać i możesz być kochaną i możesz w to wierzyć, możesz być szczęśliwą. A ja z mojemi miljonami jestem zawsze sama, otoczona tylko zawiścią, chęcią wyzysku, z tą konieczną, tak męczącą mnie maską obojętności na twarzy. Przecież ja za wszystkie swoje miljony nie mogę kupić słowa *kocham*, w którebym szczerze uwierzyć mogła.

— Jakaś ty biedna! — rzekła roztkliwiona panna Klarcia.

— Jakaś ty dobra! — odpowiedziała, przyciskając jej ramię, panna Mery. — I głupia — dodała w myśli, jakkolwiek w tem, co mówiła do Klarci, było wiele prawdy.

W pannie Mery budzono od najdawniejszych lat nieufność do ludzi. »Bądź bardzo *reservée*« to był frazes, który słyszała od wszystkich swoich Angielek, Francuzek, Włoszek, Niemek i Hiszpanek, od wszystkich swoich dziadków, babek, ciotek i stryjów, od matki i ojca. Być »reservée« postanowiono jej jako ideał. Jest to zarówno cechą dystynkcji, jak i koniecznem dla panny tak bogatej. »Früher als dich, sieht man dein Geld« powtarzał jej za każdym razem wuj Hammerschlag, który miał obrzydliwy zwyczaj mówienia po niemiecku, a czasem nawet zarywał z żargonu. »Nie wierz, bo tu chodzi o twoje pieniądze« — mówiła jej ciotka Rosenblumowa. »Dziesięć razy go przenicuj, nim uwierzysz, że cię kocha« — kładła jej w uszy matka Klarci, żałując, że swojej córce watę w stare kalosze, ale nic podobnego w uszy kłaść nie potrzebuje. »Czembyś ty była bez pieniędzy?« — syczała jej w uszy stara panna Aleksandryna Thalberżanka, posiadająca siedm tysięcy rubli majątku i piegi na twarzy.

Pieniądz, pieniądz i pieniądz — to był główny pokarm duchowy, jakim ją karmiono. Kupić i sprzedać — to była esencja życia.

Uczucia i wszystkie tym podobne rzeczy, to jest płupstwo, dobre dla poetów i dla starych romantyczek, jak Lilienrauchowa, która płacze nad Heinem i nad Altenbergiem, a wszystkie złote nożyki do pomarańcz jej wykradli. Interes, korzyść — to jest cel życia. Tego się nie powinno ludziom mówić i pokazywać; owszem, powinno się mieć zawsze maskę idealizmu pod pachą, ale to jest grunt. Ludzie są tak głupi, że zamydlić im oczy można czemkolwiek, a jedyną rzeczą, którą naprawdę cenią i czczą, która im naprawdę imponuje, to są pieniądze. Oni się do tego nie chcą przyznać, bo się jedni drugich wstydzą, bo każdy od spotkania z drugim ma tę maskę idealizmu pod pachą.

— Aber meinst du, Mery — mawiał wuj Hammerschlag, że naprawdę więcej cenią Mickiewicza albo Goethego, niż den Baron Adalbert Rotschild, oder deinen Papa? Oni wszyscy są wszędzie jednacy. Jest wojna, ist der Krieg — ona nie może być bez Rotschilda. Jeden cesarz to jest François Joseph, a drugi baron Rotschild. My, kapitaliści, robimy wojnę i pokój, szczęście i nieszczęście, *la pluie et le beau temps* świata. Der liebe alte Gott ist schlafen gegangen und Er hat uns, der Kapitalisten, gesagt: »*Messieurs, faites le jeu, s'il vous plait.*« *Et nous faisons le jeu,* wir machen Spiel. Pan Bóg już nie potrzebuje czuwać, ani rządzić: my czuwamy i rządzimy. Der Baron Adalbert Rothschild in Wien, twój papa, baron Blumenfeld, ja, Cypres, Pukeles i spółka w Warszawie. Ja, ja, es geht so. Der liebe Gott ist schlafen gegangen und hat als seinen Stellvertreter das liebe Geld gelassen. *Et nous faisons le jeu.* Weź se te perełki na pamiątkę.

Tak mawiał wuj Hammerschlag, ile razy przyjechał z Wiednia, gdzie miał główną agencyę na lasy styryjskie i salcburskie. Matka panny Mery *berçait son infini,* a ojciec podśmiechiwał się, kiwał głową, powtarzał: »No, no, tak źle nie jest« — i oboje byli bardzo kontenci, że ich kuzyn Hammerschlag wyręcza w nauce mądrości życiowej dla jedynaczki, i przyjmowali go u siebie, choć pluł w chustkę, mówił po niemiecku, a czasem nawet »pachnął Żydem«.

Panna Mery słuchała wuja Hammerschlaga, słuchała swoich guwernantek, bon i nauczycielek, słuchała wreszcie matki, o ile raczyła się odezwać ze swego bujającego fotelu, i słuchała ojca, który mówił oględnie, dyskretnie i pod woalem, ale to samo, i wyrobiła sobie dwa pojęcia: że pieniądze

są wszystkiem, że baron Rotschild robi pokój i wojnę, i że ludzie są ogromnie wogóle podli. »Bogataś? Liżą ci ręce, albo co chcesz. Biednaś? Kopną cię« — powtarzał wuj Hammerschlag.

— Może się tam kto w tobie zakocha, — mówiła matka — boś ładna i umiesz być miła, ale miłość jest głupstwo: przejdzie jak sen, a świetność pozostanie. Panna z twoim majątkiem musi umieć panować nad sercem. Zakochać się w byle kim tobie nie wolno. Nie na to twój dziadek i twój ojciec ciężko i w pocie pracowali. Błyszczeliśmy dotychczas miljonami; teraz jest pora, abyśmy zabłyśli przez ciebie. Czekamy od ciebie rekompensaty, Mery, nagrody. Mimo zmiany wyznania, mimo bogactwa, ty to rozumiesz, Mery... Powiadam ci: wszelka miłość jest snem; tobie wolno iść za mąż za Sienkiewicza, za Paderewskiego, albo za tytuł. A pamiętaj, że większa część tych, którzy się o ciebie starali, lub chcieli starać, była zakochana w kim innym.

I pani Gnieźnieńska, wysilona, poczynała dalej kołysać swoją nieskończoność na bujającym fotelu, a ciotka Thalbergowa dodawała: »Przenicuj go dziesięć razy, przenicuj go dziesięć razy!«

Wszystko można kupić. Zasady, przekonania, cnota, patrjotyzm, ofiarność, uczciwość, honor — to są bez zaprzeczenia bardzo piękne i bardzo godne posiadania przymioty, ale pieniądze to grunt. Zresztą gdyby się wiedziało, ile się tych haseł mówi dla pieniędzy i za pieniądze, jak się je kupuje, jak się je sprzedaje, jak się nimi frymarczy, ile w nich bywa interesu, prywaty, zwykłej giełdy... — *Croyez moi* — mawiał wuj Hammerschlag — *croyez moi*: wszystko zależy od wysokości ceny. Wszystko można kupić, den Mickiewicz, den Kościuszko... Wszystko stanowi cena.« »No, no, tak źle nie jest« — kiwał głową przecząco z uśmiechem ojciec Mery, myśląc jednak w duchu, że dobrze, iż dziewczyna znać będzie i prawdziwą wartość pieniędzy, i wartość tego, co jest jej główną daną w życiu.

Skoro wszystko można kupić, skoro wszystko zależy od wysokości ceny, skoro frymarczy się wszystkiem, kupuje wszystko i sprzedaje wszystko: to oczywiście ludzie są podli. I kto więcej potrzebuje być podłym? Naturalnie ten, który ma mniej. »Jeżeli ja mam w tem interes und ich kaufe einen Waschington, oder einen Schiller, to ja robię interes, a on robi świństwo« — mawiał wuj Hammerschlag.

— Czybyś ich tylko kupił! — kiwał głową ojciec panny Mery, z bladym uśmiechem.

— Ja nie? To baron Adalbert Rotschild. Baron Adalbert Rotschild nie? To Vanderbild. Vanderbild nie? To Astor nie? To spółka Rotschild, Vanderbild, Astor et compagnie. Użycie jest gruntem. Trzeba zachowywać pewne decorum, ale nie trzeba być naiwnym w stosunku do ludzi. Ile w »szlachetnych czynach« gra roli wstyd opinji, potrzeba liczenia się z opinją: »chciałbym ja tyle zdrowia mieć« — mówił wuj Hammerschlag.

— »Słowa, słowa, słowa« — sagt der Hamlet. Gęba jest od tego, żeby gadała. Ale zmiel to i wypiecz chleb. Am Anfang war weder Wort noch Kraft, wie es das alte Goethe will; na początku był interes...

Panna Mery słuchała tych nauk od dziecka. Wuj Hammerschlag, który uważał, że dziewczyna tak bogata, jak Mery, powinna być przygotowaną do życia, a której ojciec był »za miękki«, matka za apatyczna: wziął sobie za rodzaj zadania przeprowadzić tę edukację. Oboje państwo Gnieźnieńscy godzili się na to chętnie: ona z lenistwa, on bo się wewnątrz po cichu zgadzał z kuzynem Hammerschlagiem. Był to człowiek ogromnej inicjatywy, ogromnego sprytu i ogromnej energii w interesach, ale po za swoim kantorem, po za giełdą, po za fabrykami i sesjami przemysłowemi, jakby nieśmiały i onieśmielony. Chodziło mu głównie o to, aby nie miano go za dorobkiewicza, za parwenjusza, za »bogatego Żyda«. Ubierał się skromnie, żył na stopie zamożnego mieszczanina o piętnastej części jego dochodów bajecznych, był uprzedzająco grzeczny dla wszystkich, »nie śmiał mieć swego zdania«, kłaniał się komu mógł i gdzie mógł. Kłaniał się zresztą nie tylko z umysłu, ale i z jakiejś naturalnej potrzeby. Razem ze swymi miljonami, gdy wszedł w towarzystwo, zwłaszcza wiejskie, czynił raczej wrażenie handlarza, który ma interes we dworze. »Dziadek się w nim kłania« — jak się ktoś dowcipnie wyraził.

Na cele dobroczynne dawał wiele, ale nie zawsze się nawet ogłaszał. Za to często było drukowane: »Marynia Gnieźnieńska ze swoich funduszów...«; potem: »Marya Gnieźnieńska ze swoich funduszów...« Co miesiąc zresztą dostawała Mery tysiąc rubli na dobroczynność. Kiedy niekiedy wsiadała do karety ze swoją *dame de compagnie,* na koźle siadał lokaj, i jechali »do biednych«. Zatrzymywano się tu,

albo tam, lokaj zsiadał z kozła i zanosił datek. Panna Mery widziała przez szybę karety małe odrapane domy i małe dzieci przed domami. Jacyś ludzie wychodzili i coś mówili, przynajmniej chcieli mówić, ale lokaj odpychał ich, i kareta ruszała kłusem. Widać było tylko, że się kłaniają i machają rękoma. Jechano dalej.

Panna Mery nie wyobrażała sobie wcale biedy i nigdy nie myślała o niej. Kiedy oddawano jej na srebrnej tacy stos petycji, myślała najczęściej, że ci biedni są bardzo nudni i monotonni, i lokaj szedł sprawdzać. Potem szedł sam z datkiem, lub zaprzęgano karetę.

Niemniej wskutek częstych ogłoszeń o »własnych funduszach«, wskutek hojnej jałmużny, panna Mery miała opinję dziewczyny o bardzo dobrem sercu. Rzeczywiście czyniła bardzo dużo dobrego, jak automat, napełniony pieniądzmi do rozrzucania. Nędzarz, który sam za siebie, lub za którego ktoś nie powiedział jej: »Daj« — mógł dziesięć razy przejść koło jej oczu. Nie widziała go. Nie obchodził jej. Prosił, lub proszono za niego — więc dawała. Rozumiała zresztą doskonale własną swoją korzyść, jaką ztąd odnosi. Cokolwiek o niej mówiono, musiano mówić o jej dobrem sercu, o jej dobrodziejstwach. Mogła mieć fantazje, chimery, humory — od tego była miljonerką i piękną kobietą, ale miała »dobre serce...« To rozumiała wybornie.

— Choćbyś wydała trzydzieści tysięcy na ubogich, panna w twojej sytuacji — mawiał wuj Hammerschlag — du kaufst für sechzig Tausend. To nie jest źle umieszczany kapitał. On się procentuje znakomicie opinją u ludzi. Zresztą, Rafał szturchał w bok z ordynarną poufałością ojca panny Mery — kto wziął jeden pięćkroć, może dać drugim pięćdziesiąt tysięcy — dla zatkania gęby.

Ojciec panny Mery uśmiechał się niewyraźnie i niechętnie, ona zaś nie chciała myśleć o fortunie ojca. Dość, że była. Skąd? jak? Kwestja ta nie powinna dla niej istnieć — i nie istniała.

Cynizm wuja Hammerschlaga, adoracja dla pieniędzy ciotki Thalbergowej, blada fizjognomja ojca i apatyczne kiwanie się na fotelu matki — to wszystko wniknęło w duszę panny Mery od dzieciństwa. Wniknęło w nią także poczucie, wszczepiane w nią przez całą uboższą rodzinę, iż ma »wielkich rzeczy dokonać«. Czuła to, że była kwintesencją rodu Gnieźnieńskich, Thalbergów, Hammerschlagów, Wasserkranzów,

Lilienrauchów i tam dalej. Miała to uczucie, iż długie pokolenia składały się na to, aby ją na końcu wydać, kwiat świetny i bujny. Utwierdzało ją w tem mniemaniu nawet to, że była jedynaczką. Na niej kończyło się żydostwo rodziny: od niej ma się zacząć nowa era. Hrabina Mery... Księżna Mery...

Powoli wszystkie Wasserkranze, Hammerschlagi, Lilienrauchy pozmieniają nazwiska, tak jak oni, Gnieźnieńscy, a przyszłe pokolenia za dwa, za trzy wieki, wspominać będą hrabinę Marję z Gnieźnieńskich... Księżnę Marję z Gnieźnieńskich... »Wyrosłam na królewnę i będę założycielką dynastji...« Tymczasem zaś wstydziła się ogromnie swoich krewnych, zwłaszcza nieprzechrzczonych dotychczas.

Panna Mery weszła pierwszy raz do tego ogrodu.

Przyjechały wczoraj w wieczór, ona z matką. Ojciec miał przyjechać później. Panna Mery wstała rano i wyszła do ogrodu. Pierwszy raz była u siebie na wsi. Ojciec zrobił jej prezent na urodziny: kupił jej majątek ziemski. Ciotka Thalbergowa mówiła, że dał trzykroć sto tysięcy bankrutującym Zagłówskim, ale że sam las, gdyby go sprzedać, jak ocenia wuj Hammerschlag, który pomagał przy kupnie, wart prawie tyle samo, a ziemia i łąki ze sto ośmdziesiąt tysięcy. Pannę Mery mało obchodziły te cyfry, i czy »papa zrobił pyszny interes«. Na takie drobiazgi czuła się za bogatą, a na zajmowanie się sprawami pieniężnemi za wykwintną, cieszyła się jednak, że ma wieś. Już teraz nie potrzebowałaby wchodzić w czyjś pałac; mogła z kimś pojechać do swego. Tu nad bramą, gdzie jeszcze nie zdążono zdjąć herbu Zagłówskich z pięciu pałkami, wstawionoby koronę hrabiowską, albo mitrę... Mitrę... Teraz tak, jak pierwsza lepsza panna z obywatelstwa, albo z arystokracji, miała swoje konie na wsi, swoich strzelców na wsi, swoje psy na wsi, drugiego kucharza na wsi, mogła jeździć na wieś ze swoją wiejską panną służącą. Czuła się posuniętą o jeden krok naprzód na schodach hierarchji społecznej. Już teraz można było o niej mówić: »panna Gnieźnieńska z Zagajowic«. Już mogła opowiadać: »U nas w Zagajowicach...« Jeżeli pójdzie za mąż, jeżeli będzie miała dzieci, to się tu wszystkie rodzić będą: *w rodzinnym majątku Zagajowicach.* Panna Mery myślała już o tem, czyby nie można zmienić nazwiska na Zagajowieccy, albo czyby nie można przybrać do nazwiska: Gnieźnieńscy-Zagajowscy. Druccy-Lubeccy, Gnieźnieńscy-Zagajowscy...

Ojciec panny urządził pałac po Zagłówskich na nowo i po książęcemu. Bajeczne zapewne sumy musiały kosztować te meble, marmury, dywany, obrazy, żyrandole, które jej w dwudziestą rocznicę urodzin ofiarował razem z majątkiem. A wszystko to nie miało w sobie nic błyszczącego, nic biją-

cego w oczy, nic złego smaku dorobkiewicza, »nic żydowskiego«. Sprowadzeni z Londynu tapicerowie i malarze urządzali na wzór arystokratycznych wiejskich pałaców w Anglji rezydencję dla panny Mery.

Każdy najszlachetniejszy lord i par Wielkiej Brytanji mógłby tu mieszkać. W stajni stały konie angielskie, służba ubrana była na model angielski, zresztą było pośród niej kilku prawdziwych Anglików.

Panna Mery czuła wielkie zadowolenie. Wczoraj obejrzała wszystkie pokoje, oficyny, stajnie, wozownie i tak dalej; dziś rano pierwszy raz wyszła do ogrodu w *swoim* majątku.

Było to rano wczesne, dzień na początku czerwca, śliczny i promienny. Słońce grzało gwałtownie, rosa topniała i nikła na gazonach i kwiatach, srebrząc się jeszcze i szkląc, jakby przez noc całą perły leciały z gwiazd. Jakieś motyle i owady dziwne i nieznane pannie Mery, która więcej widziała albatrosów w Biarritz i mew w Montreux, niż swoich motyli, latały koło kwiatów. Jakieś ptaki małe i ruchliwe, przypominała sobie w zoologji, zapewne czyżyki, dzierzby, pliszki, drozdy, makolągwy, zimorodki, nie... zimorodki latają nad wodą, pokrzywki, jemiołuszki, sikory, wróble, gile, słowiki, skowronki, zaskrońce, nie... zaskroniec to wąż niejadowity, kosy, krzywodzióby, trznadle, mysie króliki, szczygły, zapewne to wszystko tu fruwało i ćwierkało, oprócz wróbli, które doskonale umiała odróżniać, widując je w Warszawie.

Panna Mery szła, szła w słońcu, pośród rojów barwnych motyli i brzęczących, metalicznie połyskujących much, pszczół i różnych tajemniczych skrzydlaków, pośród roju ptaków; szła po ścieżkach, przez które przebiegały szybko świecące, zielone, złotawe i czarne podłużne owady; szła wśród trawy młodej, świeżej, perlistej, dziwnie jasno i wesoło zielonej i kwiatów o upajającym zapachu; szła wśród drzew, które szumiały zaledwie dosłyszalnym szumem i zaledwie wahając liśćmi i igłami gałęzi, ale których pieśń głęboko jakoś wnikała w duszę. Panna Mery doznawała niezmiernie przyjemnego wrażenia w oczach, w nozdrzach, na ustach, na półosłonionej piersi i na rękach bez rękawiczek. Uczucie to było zupełnie jakieś inne, jak te, których doznawała w Nicei, na Korfu, w Montreux, w Biarritz, w Aix-les-Bains, na Helgolandzie, w Neapolu, albo na łąkach rzymskich. Było coś w tem powietrzu rzeźwiejszego i bardziej jakby przystosowanego do organizmu. A przytem było bardzo

w tym ogrodzie, raczej parku, pięknie, tak pięknie, że panna Mery nie miała pojęcia, żeby tak pięknie mogło być gdzieś we wsi polskiej.

Szła i wchłaniała w siebie to czerwcowe rano w Zagajowicach. Chwilami stawała i szeptała sama do siebie: »Jak ślicznie!...«

Park był ogromny, i zdawało się, że się nie kończył nigdzie. Panna Mery szła i szła, z alei w aleję, i ciągle naokoło siebie miała gazony i kwiaty, albo szpalery drzew i całe wielkie grupy, jakby małe laski. Nagle trafiła na potok, a dalej na spory staw, jakieś jakby jeziorko śródleśne. Przy brzegu były łódki. Chciała wsiąść i popłynąć: wiosłowała nieraz na Lemanie, jeziorze Trazymeńskiem i niemal wszystkich jeziorach włoskich i szwajcarskich, nawet na gondoli w Wenecji. Ale łódki były przywiązane na łańcuszkach i zamknięte na kłódki. Panna Mery wstąpiła w jedną; łódka zachybotała się i panna Mery o mało nie upadła. Roześmiała się na cały głos. Uczuła, że nie śmiała się tak już dawno. Więc śmiała się dalej serdecznie, szczerze. Było jej dobrze. Siedziała w łódce i patrzyła na wysokie jodły i świerki, odbite w jeziorku, ledwo ledwo wahane wiatrem na odbiciu. Naokoło była głęboka cisza.

— Tu jest zupełnie czarodziejsko — myślała panna Mery.

Uczuła chęć zaśpiewać, zawołać. Ale żadna z tych arji włoskich, francuskich i niemieckich, których jej uczono, nie nadawała jej się. Chciałaby śpiewać coś innego, coś, coby rozumiał ten las, coby rozumiała ta woda, coby rozumiały te ptaki, świergocące na gałęziach. Nie mogła sobie nic przypomnieć. Zaczęła więc śpiewać bez słów i nie na żadną znaną nutę. Kombinowała coś z Mozarta i z Rossiniego, a więcej sama z siebie. I śpiewała:

Lesie, lesie mój,
Zielony lesie...
Lesie, lesie mój,
Zielony lesie...

Głos jej leciał w powietrze, w przestrzeń. Tymczasem słońce poczęło grzać tak gwałtownie i mocno, jak grzeje na wiosnę rano, kiedy za parę godzin ma spaść deszcz. Panna Mery położyła się w łódkę; słońce piekło ją, założyła ręce w tył pod głowę i przymknęła oczy. Ponad nią było niebo błękitne i tak olśniewające, że patrzeć było prawie niepodobna.

Jaskółki latały po niem, szybko i cicho. Nad twarzą panny Mery przefruwał kiedy niekiedy jakiś owad, brzęcząc głośno, lub bzykając, jak maleńka maszynka elektryczna; z początku lękała się ich i chciała opędzać, potem, widząc, że nie robią jej nic złego, oswoiła się z niemi.

Ogromna nieruchomość spokojnej przyrody opłynęła ją całą.

Panna Mery dawno już przestała śpiewać. Upał rozmarzył ją, zmęczył i ubezwładnił. Leżała na dnie łódki z przymkniętemi oczyma. Zdawało jej się, że zasypia...

Nagle coś jakby poczęło szeptać, a szept stawał się coraz wyraźniejszy i zamieniał jakby w hymn uroczysty i powolny, w coś jak gdyby śpiewanego przez wodę, kwiaty, drzewa i słońce... Coś odezwało się do niej pieśnią cichą i tajemniczą. A pieśń ta brzmiała:

»Tyś jest jako róża Sarońska, a lilja przy dolinach...

Tyś jest jako róża Sarońska, co wonieje w dzień, a w noc jest jako puhar kosztowny.

Oto się ku tobie chylą głowy, chylą usta chciwe a pragnące...

Są groty ciche, zaciszne, wmyka się w nie bluszczowy listek i słońca promień jasny i nieśmiały...

Oto miły mój, któregom szukała w nocy na łożu mojem, alem go nie znalazła...

Lewica jego pod głową moją, a prawica jego obejmuje mnie...

O jakaś ty piękna, kochanko moja! o jakaś ty piękna! Usta twoje podobne są owocowi granatowemu, a oczy twoje pieśni...

Jako pieśń są oczy twoje, jako pieśń wdzięczna i długa...

Oczy twoje podobne są pieśni, która się słyszeć daje z pomiędzy krzewów leśnych i kwiatów polnych...

O jakaś ty piękna, umiłowana moja, o jakaś ty piękna!...

Miły mój jest ten, którego miłuje dusza moja; szukałam go w nocy na łożu mojem, alem go nie znalazła...«

I dalej szumiała pieśń:

»Różo Sarońska...

Wstań, a pójdź, bowiem miły twój czeka cię, czeka cię niecierpliwie...

Miodem są usta jego, a ramiona pożarem...

W ramiona swoje cię pochwyci, w ramionach swoich ukołysze cię...

Są groty ciche, zaciszne, kędy się wmyka bluszczowy liść i nieśmiałe słońce...

Wstań, a pójdź, piękna, albowiem na posłaniu z mchu i róż leśnych czeka ciebie kochanek twój...

Jak ogród, w który wejdziesz, jak źródło, w które nogi zamoczysz, tak będzie miłość jego...

Jako pałac zaczarowany, jako zamek błędny, z którego niemasz wyjścia...

Na piersi swojej położy cię, a ukołysze cię swoim oddechem...

Usta jego są jak płomień, a oczy jego, jak szum wiatru, co spada na dolinę...

Jako potok wezbrany oczy jego, jako żagiew płonąca...

Wstań, a pójdź, o najpiękniejsza między niewiastami...«

I dalej szumiała pieśń:

»Polne jabłuszka wydały wonność swoją, a przede drzwiami naszemi są wszystkie owoce wdzięczne, którem tobie, miły mój, zachowała...

Pójdź, oto rano świeci, słońce pada na ciebie...

Pójdziemy do ogrodów naszych, na pola nasze...

Oglądamy, jeśli się zboża płonią, jeśli zazieleniły się jabłonki nasze i zakwitły wiśnie...

Patrz! Oto strączki pąsowe i żółte, i jagody czerwienią i kwitną...

Będziemy szli pomiędzy łany, z pagórków zbiegać ku nam będzie woń i szept liści, co tam powyżej rosną...

Pójdź, miły mój, deptać będziemy ścieżynki polne, ścieżki, co wiją między polami...

Tam ci zawisnę ramieniem na szyi i usta moje schylą się ku tobie...

Tam z ust moich dam ci pić słodycz i ustami mojemi zespolę się z tobą..

Tam usta moje przywrą do twoich ust, tam nic nas nie rozłączy...«

I dalej szumiała pieśń:

»Różo Sarońska, liljo przy dolinach!...

Oto u nóg twych leżeć chcę, stopy twoje całować...

Pochyl ku mnie głowę twoją, a spojrz na mnie, albowiem usycham z miłości...

Gdybyś mi stopę twoją oparła na skroni, jeszcze byłbym ci wdzięczen...

Usta moje spieczone są, zapaliły się oczy moje...

Jako wicher ognisty, miłość moja powiewa piersi me, jako morze, pożera mnie tęsknota...

O kochanko moja! otom cię czekał we dnie i czekałem cię w noc, gdy róże są jako puhary kosztowne...

Nad czołem mojem gwiazdy, błyszczą gwiazdy z szafirów...«

I dalej szumiała pieśń:

»Nad czołem mojem gwiazdy, gwiazdy podobne do ognia i płomieni...

Na ramionach moich blachy świecące, i pierś moja w blachę przepyszną zakuta...

Silnyś jest i piękny, o kochanku mój...

Gdy idę walczyć, ziemia drży i gną się drzewa...

Ramiona moje okute żelazem unoszą, jak kaskada, która tamę przerywa...

Chylę ku tobie głowę moją w szyszaku i twarz moją od miedzi świecącą...«

I dalej szumiała pieśń:

»Jesteś jako świętość i jako cud wcielony...

Patrząc na ciebie, ślepnę; albowiem oślepia mię jasność twojej twarzy panieńskiej...

Panieństwo twoje upaja mnie, jestem jako drzewo podcięte, jako orzeł na piorun oddany piersią...

Dusza moja jest jako cień duszy twojej, jako echo za dzwonem, moje serce idzie twojem...

O jakaś ty piękna, o jakaś ty piękna, kochanko moja...

We dnie jesteś jako róża woniejąca, w nocy jako puhar kosztowny...

Modlitwą moją jesteś, uwielbieniem i zaparciem się siebie...

Są groty ciche, zaciszne, w które się wmyka bluszczowy liść i słońce nieśmiałe...

Przyłóż mię jako pieczęć na serce swoje, jako sygnet do ramienia swego, albowiem miłość mocna jest jako śmierć, twarda jako grób nawistna miłość...«

I dalej szumiała pieśń:

»Pałace zbudujemy z kryształu i z jaspisu, lśniące od złota i drogich kamieni...

Wyciągnij ramiona twe pachnące, o kwiecie olbrzymi, owij nas, a niech nas nie będzie...

Albowiem zginąć chcemy w kielichach twych, w opleceniu twych ramion i w morzu twoich wonności...

Po ścianach naszego pałacu, po kryształowych ścianach lśniących i przejrzystych, pną się ramiona twoje, zawisają twoje kielichy, o kwiecie...

Jesteśmy jako zbłąkani w puszczy, jako wędrowny w gaju południa...

Kędy twarz obrócimy, kielichy twe, a kędy oczy podniesiem, ramiona twe ciekące wonią...

Jam jest jako róża rosnąca w lesie, oplątały mię siostry moje...

Kędy spojrzę i kędy ramiona wyciągnę: róże, róże, róże...

Łaskoczą usta moje, napraszają się ku piersiom moim...

I stopy moje całują, a kolana moje omotane przez nie...

Niemasz miejsca na ciele mojem, któreby nie było od nich całowanem...

Jam jest jako róża Sarońska, rosnąca w lesie róż...

Przyłóż mnie jako pieczęć na serce swoje, jako sygnet do ramienia swego, albowiem miłość mocna jest jako śmierć, twarda jako grób zawistna miłość...«

A twarz Strzyżeckiego w przymkniętych oczach panny Mery stawała się coraz wyraźniejszą, coraz bliższą... Oczy jego patrzały w jej oczach, usta zbliżały się ku ustom... i upadły na nie... Wówczas panna Mery owinęła go ramionami, oplotła sobą i płynęła gdzieś w głąb, w otchłań, w bezdeń...

Świat rozwiał się jej, jak mgła...

Ocknęła się. W oczach miała jeszcze oczy Strzyżeckiego, na ustach jego usta.

Kocham cię — szepnęła.

Kocham cię, kocham cię, kocham cię! — poczęła szeptać coraz namiętniej.

Kocham cię, kocham cię... gdzie jesteś? gdzieś się podział?! przyjdź! kocham cię!...

Nie podnosiła się z łódki; leżała na wznak, z rękoma pod głową, a jakiś ciężar przygniatał ją ku dnu. Czuła się bezwładną i bezwolną. Tylko jej usta szeptały: »kocham cię!...«

Ale senne, czy półsenne marzenie i zjawisko poczęło się roztapiać poczęło niknąć, i panna Mery otwarła dobrze oczy, usiadła w łódce i poprawiła włosy.

— Czyż ja go istotnie kocham? — powiedziała do siebie półgłosem, a zarazem spostrzegła, że podczas jej snu podniósł się lekki wiatr i że odbicia w wodzie, a razem z niemi jej łódka, kołyszą się powoli i rytmicznie.

Panna Mery uśmiechała się tak, jak się czasem uśmiechały do siebie z kuzynką Hersylką, wstała i wyszła z łódki.

Słońce wyszło już wysoko na niebo.

»Musiałam długo spać — pomyślała — i co mi się marzyło! Staję się poetką, czy co?

Zaczęła sobie przypominać swój sen: »Jam jest jako róża Sarońska, jako lilja przy dolinach...« — ale nie pamiętała słów. Zostało jej wrażenie ogromnego upojenia, które minęło.

Weszła na ścieżkę. Uczuła się bardzo rozstrojoną. Kwiaty na grządkach zaczęły ją drażnić, motyle fruwające ponad niemi razić w oczy. Zacisnęła zęby aż do zgrzytu i uderzyła parasolką w wysoki mak na skraju gazonu. Pękł i złamał się. Wówczas ogarnęła ją jakaś żądza zniszczenia. Poczęła ścinać kwiaty: jeśli który padł głową na ścieżkę, deptała kielich bucikiem. Wpadła w furję. Byłaby chciała bić i drapać.

Nie mogła sobie zdać sprawy: co jej jest? Czuła ogromne niezadowolenie wewnętrzne i ogromny wstręt do tego, co ją otaczało, co znała. Ojciec teraz jest w kantorze, matka *berce son infini* na fotelu, ciotka Thalbergowa łasi się, komu może, albo obmyśla sposoby łaszenia się, komu się da; znajomi i znajome — wszystko takie czcze, banalne, pospolite, próżne... Jeszcze wuj Hammerschlag ze swoją ordynarnością i handlarskimi ruchami ma najwięcej charakteru... I to ma być wszystko? To: ma być wszystko? I cóż ją czeka? Przetańczy jeszcze karnawał albo dwa, i zostanie hrabiną Czorsztyńską, albo Augustową Wyczewską, albo Stefanową Morską, albo jakąś inną — i cóż ją czeka? Cóż jej to »nowe« życie da oprócz tej samej czczości, pospolitości i wyjałowienia? Lokaje będą mieli liberyjne guziki z herbami, i na karetach będą korony, zamiast liter.

Będzie pewna różnica form — i zresztą wszystko tak samo.

Przez rok lub dwa, przez czas podróży poślubnej i przez pierwsze chwile własnego domu, będzie jej się może nawet zdawało, że jest szczęśliwa; potem zaczną się nieporozumienia, niesnaski nieuniknione, konieczne. Potem przez rok, dwa, będzie nieszczęśliwą, a potem — potem zrobi to, co robią

wszystkie, co robi pani X. i pani Y., pani N. i hrabina M. — zacznie się »pocieszać«.

— Brrr! — otrząsnęła się. — Co za życie!...

Przed oczyma zamajaczyła jej twarz Strzyżeckiego.

— On?

On!? Upokorzył ją, odepchnął prawie od siebie, kiedy garnęła się ku niemu. Nie zapomni mu tego nigdy. I ma zemstę — miałaby go teraz u nóg, gdyby chciała, ale nie chce.

— Ciasno, ciasno, duszno! — poczęła powtarzać.

Nie widziała parkanu, a jednak miała uczucie ograniczenia, zamknięcia.

— Ciasno, duszno! Wyjść!

Poczęła iść coraz szybciej, coraz gwałtowniej. Aż w końcu zjawiła się jej oczom rzecz, której nie spodziewała się, park nie miał parkanu widocznie z jednej strony, ale miał niski kolczasty żywy płot, a za nim była rzeka. Dalej zieleniło się wąskie wybrzeże i zaczynał się las rzadki, z przeświecającemi polankami, z mieszanego modrzewia, jodeł i sosen.

— Tam się dostać! — pomyślała panna Mery.

Rzeka płynęła spokojnie, prawie bez fal, ale była szeroka i widocznie głęboka. Nieco opodal od miejsca, gdzie stanęła przy żywopłocie, przywiązana do palika, kołysała się duża łódź. Do łódki można było dojść przez wycięte zarośle; panna Mery weszła w nią i poczęła odwiązywać postronek.

Nie wahała się, nie namyślała; coś ją parło do tego.

Sznur plusnął w wodę, łódź poruszyła się; wówczas panna Mery ujęła wiosła, założone na gryfy, i odbiła od brzegu.

Na razie ogarnął ją strach, prąd cokolwiek żywszy zniósł łódkę, ale potem uczuła panna Mery, że nie będzie jej trudno popłynąć, dokąd zechce. Puściła się wzdłuż rzeki.

Naokoło szumiał las, drzewa z parku chwytały szum z za wody.

Ogromna rozkosz opanowała pannę Mery. Płynęła, sterując lekko wiosłami. Przyszło jej jednak na myśl, że jeżeli wypłynie za park i da się unieść gdzieś daleko nie znając okolicy: może zbłądzić. Skierowała więc ku przeciwnemu brzegowi; istotnie żywy płot się skończył, a zaczynał się wysoki mur, i za nim również las, po drugiej stronie wody.

Panna Mery po drodze natrafiła na wydmę piaszczystą, nieco nawet zazielenioną. Nie było o co łódki zaczepić,

nie można więc było nawet wyjść na chwilę; zaryła dzióbem łódki w piasek i patrzała na okół. Otaczały ją drzewa, nad głową niebo.

— Świat! — rzekła półgłosem.

Chciała zepchnąć łódkę i popłynąć dalej, ale dziób zarył się zbyt mocno. Trzeba było wiosło z gryfu wyjąć i całą siłą pchać niem, nim łódź spłynęła. Była to pierwsza prawdziwa praca fizyczna panny Mery.

— O ileż to jest przyjemniejsze od lawntennisa — pomyślała.

Czuła w sobie jakąś siłę, jakąś moc. Na jeziorach szwajcarskich i włoskich łódź szła, jak po szkle; kiedy był wiatr, nie pływano. Tu trzeba było walczyć z prądem, choć wolnym. Panna Mery czuła pot ściekający z czoła i pewne zmęczenie w ramionach, ale zarazem nadzwyczajną satysfakcyę. Wreszcie stanęła przy brzegu, wybierając miejsce, gdzie łódź można było przywiązać do małej jodełki. Obejrzała się.

— Upłynęłam niezbyt daleko — pomyślała — ale wracając, nie potrafię popłynąć pod wiatr i jeszcze bardziej się cofnę, a potem będę musiała wracać piechotą. Ciekawam, jak przelezę przez mur?

Ale ten niepokój miał w sobie coś miłego i niezwykłego. Panna Mery, której nie pozwalano w Alpach robić trudnych wycieczek, nie znała emocyi niepokoju fizycznego.

Nad nią szumiał las, las prawdziwy, nieznany i dziki.

— Bawię się w Robinsona Kruzoe — pomyślała.

Ogarnął ją lęk, ale równocześnie coś ją popychało naprzód. Szła. Wtem dziwny, żałosny pisk doleciał jej uszu. Spojrzała w górę. Z jaki metr ponad nią uczepione na gałązce wisiało pisklę: widocznie wypadło z gniazdka. Ponad niem trzepotał się mały kolorowy ptaszek, matka niewątpliwie. Prawdopodobnie chciała je unieść napowrót do gniazdka, ale musiało być za ciężkie. Obecności panny Mery zdawała się nie spostrzegać.

Panna Mery poczęła się przyglądać z ciekawością, ale wnet zdjął ją żal.

— Trzebaby to pisklę jakoś wsadzić do gniazda. Ale jak?

Spojrzała jeszcze wyżej: gniazdo można było dojrzeć, ale jeszcze ze dwa metry ponad pisklęciem.

— Co tu zrobić? — pomyślała panna Mery.

— Nic nie mogę zrobić i pójdę...

Ale nim podniosła nogę, aby krok postawić, uczyniło się jej tak żal ptaszków, że została.

— A gdybym spróbowała wleźć na drzewo?...

— Mery, fi! — usłyszała za sobą głos miss Buller — i roześmiała się, poczem odrzuciła parasolkę i poczęła się wdrapywać.

Obok stał zbutwiały pniak; wsparła się na nim, uchwyciła najniższych gałęzi i wciągnęła wyżej. Matka odfrunęła spłoszona. Panna Mery usiadła na grubym konarze i wzięła pisklę w rękę.

— Dobrze, ale cóż teraz zrobię? — szepnęła do siebie. — Zanieść je do gniazdka, tam wysoko? I jak? Przecież potrzebowałabym obu rąk.

Ptaszek cichutko piszczał jej w dłoni; zaledwie był opierzony.

— Hm, tam wysoko? Mogłabym spaść... Naprawdę mogłabym sobie zrobić co złego, albo nawet zabić się... Ale cóż zrobię z tym ptaszkiem? Nawet go napowrót tak samo położyć nie potrafię i zleci, a wtenczas zginie z pewnością. Co tu zrobić?...

Ale przyszło jej na myśl, że ptaszka możnaby zawiązać w chustkę, chustkę ująć w zęby i tak się wdrapywać ku gniazdu.

— Czy jednak potrafię? — pomyślała.

— Potrafię — odpowiedziała sobie głośno.

Siła i moc, którą czuła na rzece, przeniknęła znowu jej członki. Ptaszek znalazł się w chustce, a panna Mery podniosła się z gałęzi i poczęła wdrapywać dalej. Gałęzie były grube i mocne; nagle jednak jedna zatrzeszczała jej pod nogą.

— Jezus, Marja! spadnę! — wstrzymała w sobie wykrzyk, nie chcąc wypuścić chustki z pisklęciem z zębów. — Zimny pot okroplił jej czoło; chwyciła się tak konwulsyjnie konaru, aż z pod zdartej skóry na ręce krew pociekła. Dźwignęła się wyżej; gałęzie były mocne. Teraz już nie wspinała się, lecz wślizgiwała na drzewo; bała się. Nakoniec znalazła się przy gniazdku; były w niem jeszcze dwa maleństwa. Teraz dopiero spostrzegła, że matka ptaszków latała koło niej, krzycząc i piszcząc. Położyła ostrożnie pisklę koło rodzeństwa i poczęła się szybko zsuwać. Krew płynęła jej już z obu rąk, nawet z szyi, którą snadź rozraniła w pośpiechu. Stanąwszy na ziemi, spojrzała po sobie. Z sukni wisiały strzępy, kapelusz uwiązł między gałęziami.

— Po ciebie już nie pójdę — rzekła panna Mery. — Spojrzała potem w górę ku ptaszkom, potem jeszcze raz po sobie, a potem rzekła sama do siebie głośno i z dumą:

— Ciekawam, czy dużo panien zrobiłoby tak samo jak ja?

I uczuła wielkie zadowolenie z samej siebie, ale zupełnie już nie podobne do tego, jakiego doznawała na rzece, albo kiedy kładła pisklę do gniazda. Żałowała, że nikt jej nie widział, że rzecz ta w opowiadaniu w żaden sposób nie może mieć tego uroku, jaki ma w tej chwili.

— Mery, *tu es une brave fille!* Dzielna z ciebie dziewczyna — mówiła do siebie.

Usiadła, żeby odpocząć. Las i niebo były ponad nią, ale nie spływał już na nią ten czar, co pierwej. I uczyniło jej się żal.

— Co sobie popsułam — pomyślała.

Nie ciągnęło jej już nic dalej. Wskoczyła w łódkę i poczęła sterować, o ile mogła, pod wodę, aby bliżej parku wylądować. Udało jej się to z wielkim wysiłkiem. Potem płynęła zupełnie pod wodę, aby mur minąć. Na szczęście, woda była prawie stojąca. Utorowała sobie wiosłem wejście przez żywy płot i weszła do parku.

— Otóż i wyprawa! — myślała.

Był wieczór. Wicher wiał i tumany ciemnych obłoków przelatywały po niebie, zawlekając i odsłaniając żółty i fosforyczny księżyc. Do okna, przy którem siedziała panna Mery, szedł szum z ogrodu, a nawet wlatywały w nie listki i pyły, porwane wiatrem.

Nie było jeszcze późno, ale zdawało się, że cały dom w Zagajowicach śpi. Pannie Mery przyszła dzika myśl wyjechać na spacer.

Projekt ten, podany do wiadomości publicznej, byłby wyważył z równowagi nietylko miss Tamerlan, mademoiselle de Pierrefeu i panią Kudakowską, ale nawet pogrążającą już obecnie na skończoności poduszek swoją nieskończoność z francuskim romansem w ręku panią Gnieźnieńską; ale panna Mery miała zaufaną służącą, Joasię.

Zadzwoniła. Joasia weszła.

— Pójdziesz i każesz Piotrkowi założyć do wolantu te młode kasztany, które w zeszłym tygodniu przyszły.

— Przecie noc... Piotrek śpi...

— To go obudzisz i każesz zaprząc. Tylko tak, aby żadna z pań nie słyszała.

Aby nie dopuścić do opozycji, panna Mery ściągnęła brwi. Joasia wyszła.

W kwadrans potem zameldowała, że Piotrek czeka, nie mogąc nie dodać, że jest bardzo zły. Panna Mery wyjęła z szufladki pięć rubli, potem dwa schowała i z resztą zeszła cicho ze schodów, poczem Piotrek w bardzo dobrym humorze, tylko na wyraźny rozkaz jaśnie panienki nie trzasnął z bata.

— Jedź nad wodą prędko — poleciła panna Mery, otulając się w pelerynę z wielbłądziej sierci.

Piotrek cmoknął, młode i rącze kasztany porwały się z miejsca.

— Słuchaj, Piotrek! — zawołała panna Mery — jak będziesz dobrze jechał, to dostaniesz drugie trzy ruble.

Piotrek postanowił jechać dobrze.

Wyjechali nad rzekę. Wielka, pusta przestrzeń owiała pannę Mery. Wiatr uderzał na nią falami, z szumem, który jej przypominał wichry morskie. Było ciemno, tylko latarki przy wolancie świeciły. Piotrek jechał co pary w koniach.

Panna Mery przymknęła oczy i dała się wieźć.

Konie uderzały kopytami szybko i rytmicznie. Zdawało się, że nie biegną, ale lecą. Panna Mery uczuła, że ją coś unosi.

I zdawało jej się, że leci w jakąś otchłań, a za nią ze skrzydłami podobnemi do skrzydeł nietoperza i twarzą podobną do tej, jaką malarze współcześni dają szatanom, leci jakiś demon i chce ją pochwycić. Uciekała. Demon dotykał jej już rozpiętemi błonami swoich skrzydeł, już czuła jego chłodny oddech na szyi. Owinęła się silniej w pelerynę.

— Nie uciekniesz! nie uciekniesz! — słyszała za sobą. — Dosięgnę cię i pochwycę. Nie uciekniesz...

Nagle panna Mery spostrzegła, że Piotrek pochyla się gwałtownie w tył, a równocześnie kłus koni przeszedł w galop, tak szybki, iż zdawało się, że wiatr niesie wolant.

— Ponoszą! — krzyknął Piotrek.

Panna Mery przelękła się ogromnie. Przez chwilę straciła zupełnie oddech i przytomność. Ale powoli zaczęła przychodzić do siebie, wiedziała, że droga na mile całe jeszcze idzie równo i szeroko, przez łąki i przez pola, wolant zaś był niski. Potem ten szalony pęd zaczął jej robić nawet przyjemność.

Tymczasem znów usłyszała za sobą głos:

— Nie uciekniesz!... Jam jest demon twój, twój zły duch... Dognam cię i pochwycę...

Panna Mery wkuliła się w kąt wolanta.

— Czy jestem szalona? — myślała.

— Od urodzenia twego kołyszę się nad tobą — słyszała za sobą — czekam chwili i spadnę na ciebie, jak ryś z konaru na łanię...

Pannie Mery zrobiło się tak straszno, że chciałaby kazać zawrócić, ale konie rwały coraz szybciej, coraz gwałtowniej.

Nagle Piotrek krzyknął mocno przerażonym głosem: »Heu!« i panna Mery uczuła, że przestali jechać po gościńcu, a jadą po czemś miękkiem, jak trawa.

— Co się stało?! — zawołała.

Piotrek nic nie odpowiedział; leżał na wznak na koźle.

Tymczasem wiatr począł przycichać. Po chwili pędzili w zupełnej ciszy. Z pośród chmur wyjrzał księżyc ogromny i srebrzysty. Naokoło była pustać, trawy i szuwary. Konie skręciły się z drogi i zbiegły na łąkę. Nieopodal zaszkliło się coś, jak powierzchnia wody. To zapewne jezioro Przychowskie, o którem słyszałam — pomyślała panna Mery. — Boże! Gdybyśmy tam wpadli!...

Grunt stawał się chwilami miększy, a wtenczas na twarz panny Mery padały krople, wyrzucane z mocarzyska kopytami końskiemi i kołami wolanta. Czasem, jak sen przemknęło mimo oczu maleńkie jeziorko, ze smugą szklanną księżyca, tajemnicze i dziwne.

— Jezus, Marja! — szeptała panna Mery, przeklinając nieszczęśliwy swój pomysł wyjazdu kasztanami. — Jezus, Marja! Żebym tylko żywa wróciła...

To znów ogarniał ją lęk widma, które milczące teraz i ciche, jednak leciało za nią. Czuła je i była go pewną. Co to może być? — myślała. — Nigdy nie miewałam żadnych przywidzeń... Jezus, Marja!...

Ale wkrótce cała uwaga, a raczej cały strach panny Mery skupił się na jeziorze Przychowskiem, które świeciło coraz bliżej, bliżej, a nawet zdawało się pannie Mery, że już zimny jego powiew dolatuje jej twarzy.

— Wyskoczę! — szeptała, przelękła i zrozpaczona.

Zbliżali się coraz więcej; konie nie biegły jednak wprost na wodę, tylko na ukos. Wtem Piotrek znikł z siedzenia i uczynił kozła w powietrzu, panna Mery zaś znalazła się w wolancie na kolanach tak szybko, iż ją zamroczyło na chwilę. Wolant stanął.

— Co się stało?! — krzyknęła, przychodząc do siebie i widząc Piotrka, stojącego obok.

— Koła, proszę jaśnie panienki, wpadły w rów — odparł Piotrek. — Wszyscy święci, proszę jaśnie panienki, strzegli, bo jezioro przecie zaraz, proszę jaśnie panienki. Ale się koło, proszę jaśnie panienki, złamało, i dyszel pękł na pół.

— A konie?

— Konie, proszę jaśnie panienki, poszły. Uprząż się potargała.

— Cóż teraz będzie?

— Proszę jaśnie panienki, nie wiem.

— Poniosły nas?

— Proszę jaśnie panienki, tak.

— Dobrze i tak, bośmy mogli do wody wpaść.

— Boże ratuj!

— No, ale cóż zrobimy?

Piotrek wbrew wszelkiej etykiecie, aż machnął ręką.

— Najmniej ze trzy mile!...

— Tu nigdzie nikogo niema w pobliżu?

— Niema.

— No, to trzeba wracać piechotą.

— Jakże, proszę jaśnie panienki, przez tyle wody?! Przecie jaśnie panienka nie przejdzie.

— No więc cóż będzie? — rzekła, wstrzymując łzy panna Mery.

— Chyba ja pójdę do dworu po inne konie, a jaśnie panienka poczeka...

— Samabym tu miała zostać!? — krzyknęła panna Mery ze strachem.

— Tu niema, proszę jaśnie panienki, ani żywego człowieka, ani złego zwierzęcia. Nic tu nie przyjdzie. Ja w mig polecę. Jaśnie panienka nie przejdzie przez te moczary, przez te wody, cośmy przejechali. Przecie my nie ujechali więcej mili gościńcem. Jaśnie panienka lekko obuta, to tylko choroba, albo i co gorsze, pewne. Niech jaśnie panienka siedzi we wolancie, tu nawet mysz nie przejdzie, a ja lecę.

I nie czekając, zawrócił się i począł biec.

— Piotrek! — krzyknęła panna Mery z rozpaczą.

— Duchem, duchem! jaśnie panienko! — odpowiedział Piotrek, skacząc po kępach.

Pannie Mery puściły się łzy ciurkiem.

Wciśnięta w kąt wolanta, zawinięta w pelerynę, płakała, modliła się i przeklinała chwilę swego wyjazdu z Zagajowic, potem wogóle z Warszawy, nakoniec dzień swego urodzenia i dzień ślubu swoich rodziców. Ale wkrótce zaczęło być zimno.

Panna Mery musiała się zdobyć na odwagę, podnieść się i poszukać pod kozłem derek na konie. Na szczęście były. Otuliła się niemi. Przynajmniej było ciepło.

Pusto było tak i cicho, iż zdawało się, że na setki, tysiące mil wkoło nie może być żadnego życia. Ale za to w rozdraźnionej wyobraźni panny Mery poczęła żyć ta pustka i ta cisza. Wydawało jej się, że jakieś dziwne, potworne kształty czołgają się po moczarzyskach, że straszliwe ohydne topielce dźwigają głowy z jeziora.

— Żeby ta noc już przeszła! Żeby ta noc już przeszła! — szeptała, kuląc się w derkach.

I powoli noc poczęła przechodzić, począł się czynić świt, a kiedy panna Mery, którą sen mimo strachu zmorzył, otwarła oczy: na niebie wśród żółtych i ponsowych blasków majaczyło się omglone, ale wielkie i potężne słońce.

Na modre tonie Przychowskiego jeziora upadły żółte pasy światła, a gdzie z mgły przedarł się złoty promień słoneczny, tam na wodzie zapalały róże iskier i zwierciadełko z ognia. Było rano.

Panna Mery patrzała wokoło siebie. Sen pokrzepił ją, a światło dzienne uspokoiło.

Już ponad głową jej krążyły stada krzykliwych czajek, przypadając do ziemi i podrywając się nagle w powietrze ze swojem iii—jiii... Już czaple o długich szyjach i dzióbach śpiczastych płynęły przez powietrze wolno i poważnie, gdy rybitwy, jak myśl szybkie, uganiały się wzdłuż wybrzeży jeziora. Kaczki dzikie i rozmaite wodne ptactwo, których nazwać panna Mery nie umiała, zapewne krzyki, dubelty i bekasy odzywały się w trawie, lub przelatywały z kępy na kępę.

Wtem panna Mery ujrzała wspaniały widok: ogromny jeleń szedł przez łąkę ku jezioru.

— Przecież mnie chyba nie napadnie?! — myślała, przypominając sobie wszystko, co jej kiedykolwiek z zoologji wykładali pan Klęsk, pan Kolano i miss Cottrell.

Także sarny grupkami i pojedynczo przechodziły i przebiegały przez moczary, a niektóre się pasły, podnosząc kiedy niekiedy głowy i rozglądając się wokoło. Na nią jakoś nikt nie zwracał uwagi. Siedziała cicho w swoim złamanym wolancie, zatulona w derki.

Robiło się coraz jaśniej i cieplej. Na ziemię zaczęło spadać rozpylone złoto słoneczne. Słońce wydarło się z mgieł. Dzień zaświtał w całej jasności. Panna Mery zrzuciła derki i wyskoczyła z wolanta. Była bardzo głodna i kości ją bolały, ale czuła się rzeźwą.

Słońce spłynęło na wodę, wówczas jezioro zalśniło i mnóstwo ślicznych barw wybiegło na jego modre tonie.

— O jakże tu pięknie! — szepnęła panna Mery, stając na suchej kępie.

I niewidzialna jakaś siła rzuciła ją na kolana i podniosła jej ręce do góry. Panna Mery poczęła się modlić.

— Naturo! Ty wspaniała i ty majestatyczna! — mówiła. — Naturo, cudowna i upajająca!

Dusza moja ku tobie płynie, serce moje pełne jest zachwytu i snów niepojętych...

I myśli niepojęte budzą się w głowie mojej, jak te oto światła na wodzie, wywołane słońcem...

Naturo, matko istot żyjących!

Oto chciałabym być jak ty piękną i tak czystą, jak twoje światło, i tak dodrą, jak twoja siła żywiąca...

Czar twój wpływa mi w serce, w piersiach moich jest jako szum wśród lasu...

A potem pannie Mery zdawało się, że się ze światła wypromieniają jakieś jasne i światłe postacie. Jakaś ogromna procesja, z liljami i palmami w rękach, w białych osłonach poczęła snuć ku niej przez przestrzeń.

»Różo Sarońska — brmiał hymn — Różo dolin kwitnących i gajów woni...

Gajów zapachu, mówimy, gajów, które nie więdną...

Różo Saronu, oto światło napełnia ci oczy i duszę...

Mamy siostrę na ziemi, mówimy, siostrę piękną i podobną do kwiatu mirtu, albo palmy, która nie znała jeszcze samumu...

Nad świętemi wodami Gangesu, między lotosu kwieciem, tam ci jest nasza ojczyzna...

Tam białe piersi nasze dyszały rozkoszą i przyjmowały uściski...

Tam było wielkie święto miłości, noc oczarowania...«

Słońce poczynało świecić coraz jaskrawiej. Przepyszny dzień czerwcowy wstawał z łoża. Panna Mery wróciła do wolanta, położyła się w nim nawznak i przyjmując w siebie światło i ciepło, patrzała w przestrzeń.

A trawa kwitła rosą poranną i wrzos na kępach świecił się, jak srebrny, a daleko kędyś rozdzierały się opary błądzące, białe i jasne, i ukazywała się ziemia, odmłodniała, świeża i radosna. Jeleń podniósł głowę i patrzał. Wyglądał w słońcu, jak w metalu. Krzykliwe stado czajek krążyło mu nad głową.

Dziwnie błogie uczucie wpływało w serce panny Mery. Chciałabym być dobrą, chciałabym być czystą — myślała.

I mnóstwo dobrych czynów poczęło płynąć jej przed oczyma. Szła przez wsie zapadłe i opuszczone, przez ulice wiecznego mroku i nędzy i rozdawała pieniądze. Zaczęła

nawet leczyć chorych; własnemi rękoma robiła opatrunki, podawała do ust strawę starcom i niemowlętom. Zaczęła nawet dzieci myć i czesać. Oprócz pieniędzy niosła słowo pociechy i pokrzepienia. Znali ją w najnędzniejszych chatach i najciemniejszych suterenach. Przed nią szła radość i oczekiwanie, za nią błogosławieństwo i wdzięczność. A z mgły uśmiechnęła się do niej niespodzianie twarz Strzyżeckiego, jego oczy, wpatrzone w nią z uwielbieniem, i jego usta pragnące...

Panna Mery przechyliła głowę w tył jeszcze więcej...

Wszystko jej się teraz wydawało czemś nieziemskiem, a nawet ona sama przestała jakoby należeć do ziemi. Słońce i jezioro, trawy i wrzosy, oszklone rosą poranną, i daleki widnokrąg jasnej, promieniującej ziemi, przeistoczyły jej się w wizję, w czarodziejstwo. Białe postacie, które były znikły, zjawiły się znowu. Szła ich procesja długa, niosły palmy i lilje i maki czerwone, które spadały z łodyg i zaścielały powietrze. Brzmiał jakiś hymn bez słów, nie dla uszu, lecz dla duszy szalony. Panna Mery czuła się jak gdyby wniebowziętą...

Z jeziora poczęły wykwitać kwiaty, kwiaty o niewidzianym zapachu barw i niewidzianym przepychu liści. Czaple, czajki i mewy także przeistoczyły się w kwiaty, latające i stubarwne. Panna Mery miała wrażenie, że przelatują przed nią girlandy róż, że się ponad nią wysoko kołyszą ogromne lilje i hiacenty.

— Któż ty jesteś? — spytał się jej jakiś głos z powietrza.

— Jam jest wcielenie życia – odpowiedziała.

Kto jej się spytał i dlaczego tak odpowiedziała? – nie zdawała sobie sprawy. Czuła, że wszystko, co żyje naokół niej, żyje przez nią – dlatego nazwała się wcieleniem życia.

Światło słoneczne lunęło falą. Zdawało się, że wszystkie trawy, wrzosy i kwiaty wodne podniosły się ku niemu. Jezioro zapłonęło całą przestrzeń, jak łuna złota i lśniąca.

Wspaniałe, cudowne, upajające życie rozwijało się z mgieł, jak się z cienkiej bielizny obnaża wspaniałe, cudowne ciało kobiece. Tak z pian morskich wstała Wenus, w rano słoneczne. Tak wstała miłość – albowiem ciało panny Mery przepełniło pragnienie miłosne, pragnienie tak silne i potężne, iż drgały jej usta i pierś falowała w gorsecie.

— Coś mnie tu zagnało — szepnęła, dysząc przez nozdrza i zaciśnięte zęby.

I znów w oczach jej zamgliła twarz Strzyżeckiego.

— Czyż ja jego kocham? — szepnąła znowu do siebie.

A kolosalne, ogromne piękno ziemi stanęło w całej pełni. Pannie Mery wydało się, że to nie ziemia, ale że jakiś bóg, którego pierś jest tak wielka, jak niebo, śpiewa ten hymn, który się światem nazywa. Melodjami i tonami jego głosu wydały jej się woda, obłoki, słońce i wrzos. Więc bóg jakiś śpiewa tę pieśń, wyśpiewał ją, a ona zawisła i stężała w przestworzu, jak płonne złoto, co na lód upadło.

— Do góry!... — szepnęła panna Mery.

Dlaczegóż nikt nie przychodzi jej wziąć i porwać? Dlaczego nikt jej nie unosi stąd, precz, gdzieś w zaświat, w bezdeń?... Czyż nikogo niema? Czyż nikt nie przyjdzie?... Nikt?...

I wtedy z ust panny Mery wybiegł szept, szybki i głośny:

— Kocham cię! Pójdź!...

Panna Mery zaczęła tęsknić. Budziła się z twarzą Strzyżeckiego na oczach, cały dzień ją miała przed sobą, zasypiała z nią przed oczyma i śniło jej się o Strzyżeckim. Usta jej wyciągały się ku niemu i wycałowywał się z nich szept: »przyjdź! gdzie jesteś?! przyjdź!...« Panna Mery, szepcąc, czuła, że całuje powietrze.

— Kocham się w nim — myślała. — Poprostu jestem zakochana...

Poczęła czuć w sobie jakąś świętość, wydała się sobie podobną do jakiegoś lasu, w którego wnętrzu jest cudowna ukryta grota, pełna kwiatów pachnących, utajona, zasłoniona, czarodziejska.

— Kocham się — szeptała i mówiła do siebie.

Dawniej wyobrażała sobie, że to musi być zabawne; teraz widziała, że zabawne nie jest, ale nieskończenie miłe, słodkie, upajające i smutne.

— Kocham się — mówiła, patrząc w strumień.

— Kocham się — mówiła, wsiadając do powozu.

— Kocham się — mówiła, kładąc się z książką na hamak.

Czasem twarz Strzyżeckiego, wyraźna jego twarz, zamglewała się i jakby przetapiała w twarz o mniej wyraźnych konturach, w jakąś ogólną twarz męską, podobną tylko do typu Strzyżeckiego, a panna Mery zastanawiała się, czy ona kocha, czy tylko się kocha wogóle, raczej chce kochać... Ale znów przychodziły chwile wyraźnych tęsknot i wtedy panna Mery zastanawiała się nad Strzyżeckim.

Któż to jest Strzyżecki? Strzyżecki, to jest dwudziesto-sześcio czy siedmioletni młodzieniec, o ile jej wiadomo było, z pewnym skromnym majątkiem, jak mówili, z dużym talentem do muzyki, któremu z powodu różnych przeszkód o wiele zapóźno się poświęcił. Niekiedy wydawał się bardzo niesympatycznym. On jeden jedyny—jej, której pochód pośród młodzieży był jednym marszem tryumfalnym: powiedział kilka rzeczy tak zuchwałych i tak dotkliwie przykrych, że

jakkolwiek nie została mu dłużną w odpowiedzi, jednak obraziła się i dała mu to odczuć. Wtenczas on się obraził i przestali z sobą mówić. Jednak Strzyżecki nie przestał jej interesować i najwidoczniej nie przestał się także interesować nią; tego panna Mery była pewna.

— Gdybym za niego poszła... — myślała.

Gdy kwiaty wokoło pachniały, gdy wieczorem do okien panny Mery chyliły się cienie brzóz i topoli i zdaleka szumiał wiatrak; wtenczas panna Mery gotowąby była oddać rękę Strzyżeckiemu, choć zaraz. Tęskniła i całowała powietrze, szepcąc: »przyjdź! gdzież jesteś?! przyjdź!... Wtenczas nie myślała o niczem, tylko o wielkiej podróży poślubnej, o przepływanych wspólnie morzach i oddaniu się sobie wzajemnem pośród ludzi zupełnie obcych, w zupełnie obcej stronie świata. Odgarniała Strzyżeckiemu włosy z czoła, kiedy siedział na balkonie, podparty na ręku i marzył, patrząc w przestrzeń swojemi dużemi, półdziecinnemi szafirowemi oczyma. Powoli palce jego poczynały biegać po marmurowej balustradzie balkonu, jak po klawiszach fortepianu; właściwym swoim ruchem odgarniał swoje długie, miękkie, jedwabiste i bujne ciemne włosy z czoła i poczynał nucić. Pannie Mery zdawało się, że uwielbiała muzykę. Strzyżecki nucił coś, co było tak piękne jak arja z łabędziem z Lohengrina, albo arje Mozarta. Potem odsuwał łagodnie jej rękę, brał ją wpół i oparty na niej szedł do fortepianu. Grał. Powoli koło willi poczynali się gromadzić ludzie. Najwięcej Angielek i Anglików. Stali w ogrodzie hotelowym na żwirowanym chodniku. On grał. Było takie ciche milczenie, że tylko morze słychać było z daleka. Grał długo, długo w noc... Ona stała przy nim, w białym długim szlafroczku, opierając mu lekko rękę na ramieniu. Wszyscy ją widzieli przez okna. Potem, kiedy skończył improwizować i oparł w tył głowę na jej piersiach, była długa chwila milczenia, a potem odezwało się olbrzymie brawo; potem Niemcy zaśpiewali chórem na jego cześć kantatę. Nazajutrz, kiedy weszli do sali, do table d'hôte, wszyscy powstali z miejsc, poczem prezentowali się, panie przychodziły same pierwsze się przedstawiać. Hrabiny, księżne... O niczem nie mówiono w całym Neapolu tylko o nich, o genialnym artyście i o cudownie pięknej jego żonie.

Król włoski, który bawił w Neapolu, przysłał swego adjutanta z prośbą, aby mistrz dał mu się usłyszeć. Byli na dworze... Cała arystokracja włoska, Colonnowie, Orsiniowie,

Doriowie, Mocenigowie, Ruspollowie, książęta della Grazia, wszyscy zapraszali ich, prześcigali się w grzecznościach. Imponował im genjusz Strzyżeckiego, uroda, dowcip, inteligencja i bogactwo jego żony. Jeden z Orleanów zakochał się w niej i asystował; muzykalny arcyksiążę austrjacki, wielki oryginał, przychodził do nich na śniadanie ze swoim wielkim dogiem i z dwoma małymi jamnikami, siadał na kanapie po turecku i wychodził z jej mężem na spacer, wymyślając od *que diable l'emporte!*... na etykietę, którą musi znosić w Wiedniu, i na swoją służbę wojskową. Orlean był pełen rycerskości i zakochany, arcyksiążę *bon enfant* i *buono cammerado*. Robili wycieczki na wysokich czworokonnych brekach; jamniki arcyksięcia siedziały na koźle, dog biegł przed końmi. Całe życie wielkiego świata cudzoziemskiego i miejscowego skupiło się koło nich. Byli królestwem sezonu.

Z Neapolu pojechali do Nicei. Orlean i arcyksiążę austrjacki za nimi. Stali się równie sławni przez siebie, jak i przez towarzystwo książąt krwi. Doniesiono cesarzowi w Wiedniu. Cesarz chciał arcyksięciu zabronić takiego wyzbywania się wszelkiej etykiety, ale kiedy mu pokazano fotografję pani Strzyżeckiej, uśmiechnął się i powiedział: »Nie dziwię się, pozwalam.« Angielki urządzały na nich formalne łowy z sekundowemi aparatami fotograficznymi. Tryumfowali...

Kiedy panna Mery tak marzyła, to wszystko wydawało jej się takie łatwe do spełnienia! Potrzebowała naprawdę tylko rękę wyciągnąć. Nie były to wcale marzenia jakiejś tam panny z pod ciemnej gwiazdy; to były marzenia panny Mery Gnieźnieńskiej, córki wielkiego miljonera, która miała wszystkie warunki na to, aby to mieć i zdobyć, czego pragnęła.

I uczucie jej dla Strzyżeckiego stawało się w niej coraz silniejsze, a tęsknota do niego coraz większa. W końcu potrzebowała się z tem komuś zwierzyć. Ale ani matce, kołyszącej się na fotelu, ani pannie Tamerlan, ani pannie Pierrefeu, ani pani Kudakowskiej, ani Joasi, niopodobna się zwierzać z czemś podobnem. Napisała więc do Hersylki Wasserkranzówny. Hersylka była zachwycona i odpowiedziała, że spotyka czasami Strzyżeckiego, że nigdy o nią nie pyta, ale że jest smutny i rozdrażniony, że unika towarzystwa i nie chce rozmawiać z żadną kobietą. »Naturalnie, że się w tobie kocha — pisała Hersylka — i to byłoby cudowne! Gdybym była na twojem miejscu, nie wahałabym się ani chwili. Wiesz co? Poprostu urządź u siebie majówkę, zaproś nas wszystkich

i Strzyżeckiego. I tak 20-go wypadają imieniny cioci Flory: wypraw bal. Przyjedziemy i to się zrobi. Ja w tem, że ci Władka przywiozę.«

Panna Mery zastanowiła się nad słowem: »Władek«. Ona nigdy o Strzyżeckim nie myślała inaczej, tylko przez nazwisko. Władek... Odrazu uczuła się jakaś poufalsza, familjarniejsza ze Strzyżeckim. Władek...

Władek to może być taki chłopak, z którym można razem po stawie pływać i jabłka otrząsać; Władek, to powinno być takie poczciwe chłopczysko, które zapomina chustki, gdy ma katar, i musi o nią prosić. Władek... To przecież jest bardzo pięknie, że ten Strzyżecki, który tak ślicznie gra, jest zarazem takim Władkiem; taki Władek, który może lubić pierogi ze śmietaną i mówić na stare ciotki: »bambus«.

Tyle się o takich Władkach czytało w Kosiakiewiczu, w Konarze. Władek...

Panna Mery już nietylko kochała się w Strzyżeckim, ale zaczęła go strasznie lubić. »Jak ja cię lubię! Jak ja cię lubię!« — cmokała ustami. — I zaczęła się ogromnie cieszyć, że go zobaczy. Żeby tylko przyjechał!...

Pani Gnieźnieńska projekt balu na swoje imieniny przyjęła lekkiem skinieniem głowy i silniejszem bujnięciem się na fotelu; panna Mery telegraficznie zamówiła litografowane zaproszenia, a kiedy adresowała do Strzyżeckiego, dodała od siebie piórem:

»Bardzo serdecznie prosi

Mery Gnieźnieńska.«

Potem, nie wiedzieć dlaczego, pocałowała ten podpis i była kontenta, że podpisała Mery, nie zaś Marja.

Dzień po dniu odmazywała z kalendarza. Zaczęło się oczekiwanie niecierpliwe i nerwowe. Panna Mery marzyła o pocałunkach i uściskach Ponieważ marzeń tych nie mogły odgadnąć jej »ochmistrzynie dworu«, miss Tamerlan i mademoiselle de Pierrefeu, mogła więc marzyć swobodnie, jak »pierwsza lepsza panna z pensji«, albo »mała mieszczaneczka«. Przechyliła w tył głowę i poddawała usta. Całowała powietrze i uśmiechała się i tęskno i miło. Hersylka doniosła jej, kto się wybiera, a kto nie. O Strzyżeckim nic się nie mogła dowiedzieć; nigdzie nie bywał, nie można go było spotkać.

Nakoniec przyszedł telegram:

»*Rencontré.* Wyścigi. *Arrivera. Triste.* Nie chciał. *J'ai dit qu'il fera plaisir. Yeux d'enfant.*«

Panna Mery usiadła na fotelu i przycisnęła telegram do ust, a potem zaczęła tańczyć po pokoju na jednej nodze, krzycząc i śpiewając:

Kocham się! Kocham się! Kocham się!

Czas oczekiwania na przybycie Strzyżeckiego był dla panny Mery jednem wielkiem świętem. Czuła dziwny niepokój i zauważyła, że wszystko jakoś wygląda inaczej, jak wprzódy. Nachylała się do narcyzów i mówiła im: Cyt! Nie mówcie nic! Przyjedzie jeden pan, którego ktoś kocha... Ktoś jest bardzo zakochany... I brała narcyzy ku ustom i pieściła je niemi. Wolno przesuwała sobie kielich kwiatu po wargach, wdychając zapach, przesuwała tam i napowrót, aż ogarniało ją takie rozdrażnienie, że rzucała kwiat na ziemię, a potem sama rzucała się na trawę i przyciskała się ku ziemi. Czuła wtenczas ciepło i moc żywotną ziemi, wnikającą w nią, zespalała się z ziemią, związywała z nią. Rozsypywała swoje ogromne włosy naokoło, rozkrzyżowywała ręce i leżała tak na trawie, albo zrywała całe góry kwiatów, obsypywała się niemi, wmotywała je we włosy, przyczepiała do trzewików, wsuwała za gors, okwiecała się, i tak ukwiecona, leżąc na wznak na gazonie, wyciągała w górę ramiona i szeptała rozpalonemi ustami: »Pójdź! Pójdź!...«

— Tak, tak — myślała panna Mery — niech się dzieje, co chce! Niech się dzieje, co chce! Muszę być pocałowaną! Muszę całować!

I odezwała się do Strzyżeckiego, który szedł obok:

— Przejdźmy tu w bok. Pokażę panu naszą oranżerję.

— Ależ wszyscy idą dalej... — odparł Strzyżecki, który szedł z panną Mery z tyłu za resztą towarzystwa.

Panna Mery popatrzała na niego wyzywająco:

— Więc nie chce pan?

Aleja główna, szeroka i osadzona grabami, ciągnęła się w prostej linji; panna Mery zatrzymała się przy ścieżce, która skręcała w bok. Stała przed nim, uderzając lekko parasolką o kolano.

Strzyżecki patrzał na nią i czuł, że się miesza; nie wiedział co odpowiedzieć. Było coś natarczywego, poprostu natrętnego w wyrazie twarzy panny Mery, coś, co było bardzo ponętne, ale nie miało wdzięku. Strzyżecki uczuł przez chwilę jakby rodzaj niesmaku, ale uroda panny Mery olśniewała go.

— Jak pani chce — odparł.

— Chodźmy. Wszyscy się tu powoli rozlecą po ogrodzie, a mam ogromną ochotę pokazać panu nasze kwiaty cieplarniane. Mamy ogrodnika, który długo był w Nicei, a potem u lorda Palmerstona. Hrabina Gaszewska miała ochotę go wziąść do Górnik, wydał jej się jednak za drogim.

Panna Mery ugryzła się w język; czuła jak ją krew oblewa. Zawstydziła się. Zupełnie Bercia Hufnaglówna z »ile co kosztuje!...« Zagryzła wargi. Strzyżecki mógł się zupełnie zrazić. Panna Mery przysunęła się ku niemu tak blisko, że niemal dotknęła mu ramieniem ramienia; kilka kroków dalej, korzystając ze zwisającej się ku ścieżce gałęzi, powtórzyła to samo.

Idąc obok Strzyżeckiego, nie czuła w sobie ani żadnego ciepła, ani żadnej serdeczności. Czuła tylko rozdrażnienie, roznerwowanie, pragnienie i ciekawość. Usta jej drgały i coś jak gdyby muskało je, podobnie, jak kiedy muskała je płatkami kwiatu narcyzów. Chciałaby była ująć go za rękę, przycisnąć się ku niemu, całować go i dać się całować i pieścić. Z trudnością wstrzymywała się, aby nie zatrzymać go sobą na ścieżce.

— Co będzie? Co będzie? — myślała, czując i niepokój, a nawet obawę, i chęć, aby to, co ma być, już nadeszło... — Co będzie?

Strzyżecki nie przyjechał pociągiem południowym poprzedniego dnia, którym przyjechało prawie całe zaproszone towarzystwo, lecz dopiero wieczorem, tak, że wszedł na salę przed rozpoczęciem balu. Z panną Mery przywitał się bardzo obojętnie, prawie się do niej nie zbliżał, tańczył z początku wiele ze wszystkiemi bez wyboru i ze wszystkiemi rozmawiał i flirtował. Potem siadł do fortepianu, i zastępując jednego z grajków, grał do tańca. Nie chciał wstać, chociaż go kilkakrotnie proszono, aby się nie męczył. Grał aż do kolacji; wtedy panna Mery przysunęła się ku niemu i spytała go:

— Z kimże pan idzie?

— Z nikim.

— Nie trzeba było grać.

— Właśnie dlatego grałem.

— Szkoda.

— Dlaczego?

— Bo chciałam, aby pan ze mną poszedł. Wszak pan odebrał moją kartę?

— Dziękowałem pani.

— Jak grzeczność kazała.

— Naprawdę pani chciała, abym obok pani siedział?

— Naprawdę.

Panna Mery upoiła się swojem własnem wrażeniem.

— Chce pan usiąść z drugiej strony?

— Nigdy nic nierobię na przyprzążkę.

— W takim razie daję panu kotyljona, którego dla pana zachowałam.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Panna Mery upajała się już nietylko swojem własnem wrażeniem, ale także wrażeniem, jakie wywoływała w Strzyżeckim. Oczy jego były wilgotne i przybladł.

— Szkoda — powtórzyła raz jeszcze, przyjmując ramię jednego z panów.

Była śmiałą? Czuła się tak pewną siebie, tak pewną siebie z każdego względu. Ona, Mery Gnieźnieńska...

Po kolacji Strzyżecki był zupełnie inny. Miał w głosie, w spojrzeniu i ruchach coś czułego, co niezmiernie mile oddziaływało na pannę Mery. Tak mile, że miała ciągle ochotę opierać mu się o ramię. Tańczyli z sobą dużo i rozmawiali po dawnemu, serdecznie i poufale. Panna Mery w walcu dała się unosić, przymykała oczy i doznawała uczucia bardzo błogiego osłabienia, jakiejś słodkiej niemocy. Kiedy zaś Strzyżecki w rogu salonu na skręcie, lub zmieniając w lewo, przyciskał ją silniej, robiło jej się gorąco, prawie duszno. Chciała się upajać i dawała się upajać. Chciała tego, a było to tak miłe. Wszystko było tak, jak się czyta w powieściach, tylko jedno było inaczej: panna Mery zdawała sobie ze wszystkiego sprawę, nie »zatracała się«, nie traciła »świadomości siebie«. »Poprostu jestem na to za inteligentna — myślała — *ja* nie mogę siebie zatracić.«

I była z siebie bardzo dumna i bardzo zadowolona.

Potem nad ranem, kiedy wszyscy już prawie poszli spać do gościnnych pokojów, Strzyżecki siadł do fortepianu i zaimprowizował rzecz, która stanowiła jakby pendant do tego, co grał przed kilku tygodniami w salonie pani Łódzkiej, tylko że gwałtowny smutek ówczesnej improwizacji przemienił się w jakąś smutną, a czułą melancholję.

— Co to było? — spytała panna Mery, gdy skończył.

— Kwiat, który musi uschnąć.

— A jeśli go podleją?

Strzyżecki zamilkł na chwilę, a potem popatrzył w oczy pannie Mery i powtórzył:

— To i tak uschnie.

— Dlaczego mi go nie jest żal? — pomyślała panna Mery, nie odpowiadcjąc nic, ale wydłużając w jego dłoni palce przy uścisku na dobranoc.

Nazajutrz część towarzystwa odjechała, część dała się uprosić do nocnego pociągu, między innymi i Strzyżecki, któremu Hersylka Wasserkranzówna powiedziała, kiedy się wahał, czy przyjąć zaproszenie: »Albo to panu źle? Siedziałoby dziecko i nie grymasiło, kiedy je głaszczą«.

Dzień przeszedł na wycieczce do lasu i jedzeniu.

Panna Mery lubiła patrzeć w oczy Strzyżeckiego, w których zapalały się i gasły co chwila ognie, i który starał się być ciągle przy niej blisko. Dzień był gorący i parny.

Panna Mery czuła się rozdrażnioną więcej, niż zwykle. Chciałaby była wszystkich rozpędzić i zostać sam na sam ze Strzyżeckim. Coby mówiła, coby robiła — nie wiedziała dobrze, ale czuła, że jej ludzie przeszkadzają, niecierpliwili ją i irytowali. Myślała, że będzie mówiła o Strzyżeckim z Hersylką, tymczasem unikała jej i wszelkiej poufniejszej z nią rozmowy. Wszystko ją denerwowało. Chciałaby tylko być sama ze Strzyżeckim. Usta jej drgały i piekły ją.

— A gdyby... — myślała. — A gdyby?...

Jej chyba jest wszystko na świecie wolno... Gdyby się tu, w tej chwili, pośród tych wszystkich ludzi rzuciła Strzyżeckiemu w ramiona: ona, panna tak bogata, jest ponad opinją. Będą gadali? Dobrze, ale płaszczyć się nie przestaną. Z dwóch stron świata, które się na siebie patrzą, ona należy do tej, która zawsze i w każdej okoliczności patrzy z góry. Na wielkich panów niema sądu.

— Będzie mi się podobało mieć romans ze Strzyżeckim? Mogę mieć romans. Będzie mi się podobało pójść za niego? Mogę. Zdaje mi się, że jeżeli kto może robić, co mu się podoba, to chyba ja.

Czekała wieczoru. Ten wieczór mógł, musiał coś przynieść. Nietylko powinien był, ale musiał.

Nakoniec wieczór nadszedł. Po obiedzie wszyscy wyszli do ogrodu. Usta panny Mery, podrażnione winem, były coraz chciwsze pocałunku i pieszczoty.

— Niech się co chce dzieje! — myślała. — Muszę całować i być całowana!...

I weszli w boczną aleję ku oranżerji.

Panna Mery leżała w łóżku. Na dworze było cicho. Podniosła rolety, i gwiazdy świeciły jej prosto w okno... Ręce miała założone pod głowę, nogi skrzyżowane jedna na drugą. Przeciągała się i rozprężała.

O jakież to było słodkie, to co było!...

Kiedy weszli w aleję ku oranżerji głębiej, tak, że już mogła być pewna, iż nikt ich nie zobaczy, przysunęła się ku Strzyżeckiemu tak blisko, iż była pewna, że obejmie ją ramieniem, ale on nie obejmował. Zarazem spostrzegła, że to nie jest Strzyżecki, a tem mniej Władek Strzyżecki, czy Władek, ale że to jest jakiś obcy, nieznany jej, raczej element niż człowiek, że to jest coś, czego ona nie zna, nie pojmuje, nie obejmuje, nie rozumie, a zarazem i pragnie i lęka się. Strzyżecki rozciekawiał ją i przerażał, jak otwór groty w lesie, w którą chciałoby się wejść, a człowiek lęka się, że tam za liśćmi może być miła, chłodna i zaciszna grota, ale także otchłań i coś potwornego. Jednak pragnienie przemagało coraz silniej. Panna Mery chciała, aby Strzyżecki ją objął. Nieśmie — myślała i postanowiła go ośmielić.

— Byłam dla pana przykrą, prawda? — odezwała się.

— Tak — odpowiedział Strzyżecki stłumionym, drgającym głosem.

— Przepraszam.

Panna Mery powiedziała to jak umiała i jak mogła najmięcej.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Odczuła, że Strzyżecki chce ją wziąć za rękę i pocałować, ale wstrzymuje się, bo się obawia. Wyjęła wtedy narcyz z za gorsu i podała mu, mówiąc:

— Niech pan to weźmie na znak zgody.

Kiedy brał, wysunęła palce i dotknęła jego dłoni. Popatrzał na nią; blady był i zmieniony. Panna Mery chciała się pochylić ku niemu, ale coś ją spłoszyło; nie mogła pojąć: co? Wstrzymała się. A właśnie weszli do oranżerji.

Duszne, przesycone zapachem powietrze ogarnęło ich i wchłonęło w siebie. Był to oddział samych róż. Pod szklannym dachem ciemniej było, niż na dworze, prawie zupełnie już ciemno.

— Jak tu pachnie! — rzekł Strzyżecki, a potem podniósł dany mu narcyz ku ustom.

Pannę Mery objęło drżenie. Uczuła, że z tym pocałunkiem przestępują jakiś próg.

Strzyżecki, myśląc może, że panna Mery nie widzi, całował narcyz. Nagle jednak odjął go od ust i zapytał gwałtownie:

— Pocośmy tu jednak przyszli?!

Wówczas pannie Mery, która naprawdę była wzruszona, zrobiło się przykro, nawet bardzo. Doznawała zawodu.

— A więc chodźmy — rzekła ze szczerem westchnieniem.

Wówczas Strzyżecki rzekł ledwo dosłyszalnym głosem:

— Panno Mery...

I uczuła, że ręka jego bojaźliwie i trwożnie szuka jej dłoni. Wysunęła ku niemu palce. Ujął je i trzymał chwilę, jakby czekając. Potem ujął jej całą dłoń. Potem podniósł do ust i pocałował. A potem zaczął całować, tuląc ku ustom... Potem ujął ją w pół. Stała nieporuszona. Potem lekko, lekko spróbował ją pochylić ku sobie. Nie broniła się. Zapach róż bił jej w nozdrza coraz mocniej, gorąco obezwładniało ją, wzruszenie przenikło na wskróś. Potem jakoś równocześnie, bezwiednie prawie, jakimś szalonym, gwałtownym, nieobliczalnym ruchem pochylili się ku sobie i zetknęli ustami. Potem... Potem było coś, czego niepodobna było przypomnieć sobie i uplastycznić w pamięci. Panna Mery uczuła ogień na całem ciele.

...Zdawało jej się, że wszystkie róże z bijącemi wonią, rozkwitłemi płatkami swych kielichów spadły na nią, przepaliły jej suknię, owiały, omotały sobą, oplotły całą. Czuła tylko, że jest przechylona w tył przez rękę Strzyżeckiego, i że jego usta leżą na jej ustach. Jak to długo trwało — nie wiedziała. Byłaby chciała, aby to trwało wieczność całą... Potem on osunął się ku jej kolanom i począł jej całować kolana, a potem stopy. A potem wstał, i wyszli z oranżerji, ona zawisła mu ramieniem na szyi. I mówiła mu: Mój, mój, ty będziesz mój...

On nic nie odpowiadał. Czuła się przeniknięta czemś, czego nigdy wprzód nie czuła, czemś szczerem, nienazywa-

jącem się i głębokiem, a zarazem czuła wdzięczność dla Strzyżeckiego, albowiem to co poznała, było o wiele większe, niż to, co sobie mogła wyobrazić. Była odurzona, zwalczona, pokonana. Chciałaby się była wtulić Strzyżeckiemu pod pachę, skryć się w jego rękach, owić mu się cała koło szyi. To pierwszy raz poznane poczucie swojej mniejszości sprawiało jej wielką rozkosz. Była wdzięczna za to. Nietylko nie czuła się upokorzoną, lecz zachwycało ją to uczucie jakiegoś poddania się, własnej słabszości.

— Mój, mój, ty będziesz mój! — powtarzała, przyciskając się do jego ramienia.

Był jej drogim, naprawdę bardzo drogim.

Wtem on przystanął, odsunął ją nieco i rzekł nerwowo:

— Ty wiesz przecież, że nigdyby mi ciebie nie dali.

Wtenczas ona oplotła mu szyję rękoma, i całując go w usta, powiedziała:

— Dadzą.

Strzyżecki prawie uniósł ją w uścisku w powietrze i szeptał:

— Chcesz być moją żoną?

A ona odszepnęła:

— Chcę...

Potem wyszli z alei, wiodącej od oranżerji.

Myślała, że to trwało dłużej. Goście snuli się parami i grupami po parku. Nikt nie zauważył, że skręcili w bok i że ich przez pewien czas nie było.

Uczucie panny Mery zmieniło się. Teraz nie czuła się już mniejszą i słabszą od Strzyżeckiego, ale daleko silniejszą od niego i o wiele wyżej ponad nim. Teraz ona miała wszystko w ręku. Od niej zależało wszystko.

— Masz teraz w ręku moje życie — powiedział jej, kiedy szli ku pałacowi.

I czuła to, że ma w ręku jego życie, że ma w ręku życie ludzkie, życie człowieka.

Napełniła ją jakaś powaga, uczuła się z chwili na chwilę dojrzalszą i rozumniejszą. Była istotnie w posiadaniu czegoś wyłącznem, samoistnem i samodzielnem. Naprawdę, naprawdę ona przecież nic nie miała, coby było wyłącznie jej własnością. Pieniądze i to wszystko, co za pieniędzmi szło, należało do jej ojca. Mogła była trzewiki swoje wyrzucać przez okno, a suknie krajać w paski, gdyby jej przyszła taka fantazja, i co najwyżej ojciec uśmiechnąłby się niewyraźnie

i powiedział: »Mery, czy ci to rzeczywiście robi przyjemność?« — ale ostatecznie ojciec je kupił i ojciec by musiał kupić nowe. Tymczasem losy jej i Strzyżeckiego były zupełnie, tylko i wyłącznie jej własnością, ona posiadała to, miała w swojej władzy i mocy, tylko ona. Czuła się dumna i królująca.

Czuła się przytem także bardzo szczęśliwą. Nieprzyzwyczajona do tego, aby się lękać czegokolwiek, nie lękała się niczego. Przypominały jej się słowa wuja Hammerschlaga: *Et nous faisous le jeu* — i uśmiechała się. Była zupełnie pewna, że nie przegra. *Der liebe Gott ist schlafen gegangen, et nous faisons le jeu.* Ja chyba mogę patrzeć śmiało w przyszłość — myślała.

Przed odjazdem wsunęła Strzyżeckiemu swoją fotografję, a potem wciągnęła go do pokoju, w którym nie było nikogo, i dała się jeszcze pieścić i całować.

Było to tak słodkie, tak upajające... Leżąc w łóżku i patrząc na gwiazdy, panna Mery, z założonemi pod głowę rękami, przeciągała się i rozprężała, a usta jej drgały rzucając w ciemną przestrzeń pocałunki szybkie, nagłe i namiętne.

Pannie Mery wydawało się, że śni. Ogromne kolosy kamienne, podobne do bóstw egipskich, siedziały na olbrzymich kamiennych tronach, podobnych do gór ściosanych. Z pustyni, blisko, widać było piramidy. Powoli wschodził księżyc. Szedł wolno, majestatycznie, podnosił się do góry i gasił gwiazdy. Aż wreszcie zawisł wysoko i światło jego wydobyło z ciemności mistyczny, dziwny kształt Sfinksa, a zarazem oświetliło wodę, spokojną i nieruchomą, srebrną i błękitną, lśniącą tajemniczo i cudownie, jak owe jezioro Przychowskie. Cicho było i uroczyście. Woda milczącego jeziora, rozlewała się w szerokim wąwozie skał i wzgórz, u których stóp rosnące po usypiskach palmy skłaniały się ku wodzie i odbijały w niej fantastycznie. Daleko, w głąb, majaczyły drzewa o szerokich koronach i daleko biegły wzgórza, faliste i łagodne. Niezmierna jakaś otwierała się odległość na błękitną i srebrną wodę, a wszystko to miało w sobie przedziwne, niepojęte czarodziejstwo, coś tak uroczego i cudownego, że panna Mery czuła się przeniesioną w zupełne zaświatowe marzenia.

I ciągnęły przed jej oczyma jakieś pochody, jak gdyby egipskie: ludzie ze strzyżonemi w klin brodami i kobiety w oblegających osłonach, jacyś królowie i kapłani, i wojownicy, i olbrzymie orszaki, na rydwanach, pod baldachimami, pod wachlarzami z piór strusich, w barwach świetnych i nigdy nie widzianych, pochody poważne i świąteczne, pełne spokoju i zamyślenia. I wydawało jej się, że oparta o skałę stoi nad wodą, a światło księżycowe pada na nią silnie i jasno. Czuje się niewolnicą, ale królową przez swoją piękność. W złotej otwartej lektyce niosą króla: jest piękny i młody, diadem z diamentów i rubinów ma na czole, obramowaną złotem i wyszywaną szafirami i szmaragdami suknię. Tłum ludzi wkoło niego. Ujrzał ją, skinął ręką. Czarni, półnadzy niewolnicy, niosący lektykę, przystanęli. Król wy-

ciągnął ku niej rękę. A wraz przedziwna jakaś melodja, jakiś nieskończenie rozległy hymn wypłynął z piersi kolosalnych bóstw z głazu i z błękitnej i srebrnej pod księżycem w bezmierz rozlanej wody. I tłum począł szemrać jakąś melodyjną modlitwę. Stało się coś tak czarodziejskiego, tak odurzającego, tak do omdlenia pięknego, że panna Mery czuła, iż traci przytomność, iż jak gdyby nicestwieje pod wrażeniem... I wyciągnęła dłoń swą ku dłoni królewskiej wśród tego hymnu jak gdyby ożywionych kolosów kamiennych, których plecy wspierały się o świątynie, a olbrzymie ręce spoczywały na kolanach, nieruchome i święte. Panna Mery uczyniła krok ku lektyce królewskiej... Wtem wszystko ucichło, umilkło nagle.

Na twarz Sfinksa padło światło księżyca; jego oczy, widne teraz, świeciły jak dwie złe gwiazdy. Patrzały prosto na nią. Struchlała chciała się skryć. Ale wszędzie padały na nią promienie tych oczu, podobnych do zwieszonych nisko nad ziemią dwóch gwiazd iskrzących. Czuła, że te promienie przepalają jej suknię, że obnażają ją wobec tłumu. Zdawało jej się, że ją zwęglą. Chciała krzyknąć, ale głosu nie miała w piersiach. I wszystko powoli, jakby spalone tem strasznem, dziwnem spojrzeniem Sfinksa, poczęło niknąć: procesja, niewolnicy, król, wszystko wtapiało się jakby w mgłę, gasło, aż wreszcie rozpłynęło się w nic. Została sama pod oczyma Sfinksa, wobec martwych kamiennych kolosów, nad jeziorem, biegnącem w niezmierną odległość, błękitnem i srebrnem i tak milczącem, jak gdyby woda w niem była z błękitnego kryształu.

Milczenie — nieprzebrane i nieprzebłagane, objęło świat ten w swoją moc.

Panna Mery czuła się sama i opuszczona. Stała pod skałą, czarna i chłodna, przytulona do niej, bezradna i bezwolna. Zdawało jej się, że wszystko zaczyna się kołysać i drżeć. Tylko złe gwiazdy Sfinksa patrzały na nią niewzruszone. I znów uspokoiło się dookoła, a z załomu skały wyszedł kościotrup, śmierć, i szedł powoli wąską ścieżką, biegnącą pod skałami wzdłuż wody, nad którą rosły palmy, w wodzie odbite, i dalekie drzewa o szerokich rozłożystych konarach.

Panna Mery osłupiała z trwogi. Przycisnęła czoło do skały, ale nie mogła nie patrzeć. Śmierć, jakby magnetyzowana iskrzącem światłem źrenic Sfinksa, szła i zbliżała się. Jej białe odbicie płynęło za nią po wodzie. Było to coś strasznego.

Panna Mery chciała uciec, ale nie mogła ruszyć się z miejsca. Śmierć stanęła przed nią. — Boże! — wyciągnęła rękę i położyła jej swoją kościaną dłoń na ramieniu.

Panna Mery czuła, że umiera z przerażenia i zgrozy...

Ale oczy Sfinksa spaliły śmierć, jak spaliły poprzednio orszak królewski. I nie zostało znów nic, tylko ta pustynia nadwodna.

— Boże! Boże! — jęczała panna Mery. — Wybaw mnie! Uwolnij mnie!...

Zimny, kroplisty pot oblewał jej czoło. Wyciągnęła ręce załamane wzdłuż ściany skalnej i poczęła płakać i wołać. Milczenie zabijało ją. Zabijały ją te bogi kamienne, których martwe, nieruchome twarze patrzały na nią. Zaczęła wołać: »Mówcie! nie milczcie!... Zdjęła ją wreszcie taka rozpacz, że uderzyła czołem o skałę, aż trysła krew — i wtedy ocknęła się, chociaż to nie był sen. Ocknęła się z głową zwieszoną z łóżka ku ziemi, ze spadłemi na podłodze włosami, cała w zimnym pocie. Zasłoniła oczy, gdyż zdawało jej się, że jeszcze patrzą na nią złe gwiazdy źrenic Sfinksa i palą na niej koszulę. Była przestraszona do szpiku kości.

Zapaliła świecę i ściągnęła rolety. Ale światło raziło ją, więc zgasiła świecę. Ciemność poczęła ją uspokajać i ogarniać ją począł sen, ale ten sen przeszedł znowu w majaczenie napół świadome. Wydało się pannie Mery, że znajduje się w jakimś lesie, zupełnie naga, w płaszczu tylko włosów, które sięgały jej do kostek. Las był potworny. Paprocie sięgały jej nad głowę, niezapominajki w pas. Żółte astry, z kwiatami tak wielkiemi, jak liście łopuchu, spoglądały na nią złowróżbnie i trwożąco. Rosły także jakieś rośliny i jakieś kwiaty, których panna Mery nigdy nie widziała na jawie. Wszystko to wydawało woń duszącą, zwłaszcza róże, których kielichy były większe niż jej głowa, a z których zapach buchał gorący i parny. Róże te, ponsowe, białe, różowe, żółte, lila i prawie czarne, plątały się z sobą wkłąb, który wydawał się czemś żywem, ruchomem, własnowolnem. Ponad tym lasem paproci i kwiatów wznosił się las drzew, których wierzchołków nie można było dojrzeć przez gęstwę konarów i gałęzi. Była noc. Przez szpary gąszczu wpływało gdzieniegdzie metaliczne światło księżyca.

Las milczał.

Wtem z za stosu zbutwiałych pniów i z za stosu paproci wychylił się kształt ludzki, ale równie, jak las i kwiaty,

potworny. Głowa tego człowieka, w kudłach i kędziorach, była podobna do głowy lwa; ramiona miał porosłe gęstą krótką siercią. Z warg grubych i czerwonych, które widziała, podobnie jak kolory kwiatów, mimo nocy, błyskały zęby, ostre i śpiczaste, jak u psów. Kształt ten począł się zbliżać ku niej i wyciągnął porosłe siercią ręce... Wstręt i przestrach, ale zarazem żądza jakaś wstrząsnęły nagiem ciałem panny Mery. Usta potwornego człowieka dotknęły jej ust. Chciała się wydzierać, a zarazem jakieś pragnienie pociągnęło ją ku niemu. I upadła mu w uścisk...

Było to lat temu tysiące, tysiące... Morza się potem przetoczyły przez lądy i lądy wyrosły z mórz. Było to w pierwotnym świecie, ale ona czuła się tem, czem jest... Naga, z włosami spływającemi ku ziemi, znalazła się w tej puszczy pierwotnej, wśród róż duszących, w uściskach pierwotnego człowieka. Zdawała sobie z tego doskonale sprawę. Nagle krajobraz począł się dziwnie przeistaczać. Przez gąszcz leśny padło światło z dwóch gwiazd iskrzących nad ziemią, i w wyrwie leśnej zjawiła się twarz egipskiego Sfinksa. Człowiek znikł, a róże przygięły się ku ziemi.

Naokoło były piaski, żółte spalone słońcem, bezmierne. Obejmowało je niebo blade, puste, jak one zamarłe. W tej pustyni bez końca i kresu stał ołtarz kamienny, a na nim płonął ogień. Był to ołtarz ofiarny. Ona klęczała przed nim z kadzielnicą w ręku, wahając ją ku niebu, a dym płynął w nie falą coraz wyżej i wyżej. Jakaś straszliwa rozpacz przejmowała jej pierś, smutek jej był tak ciężki, że musiała się bronić, aby jej ramion nie przygniótł do ziemi, aby nie padła twarzą do stóp kamiennego ołtarza.

Straszliwe jakieś nieszczęście, coś rozpaczliwego albo się stało już, lub stać się miało. Nie zdawała sobie sprawy. Z piersi jej wydzierała się modlitwa, ale za co, za kogo, czy za nią samą: nie wiedziała. Za coś powinna się modlić, coś ginęło, coś konało, coś trzeba było ratować, o coś błagać. Więc wołała w niebo, a dym z kadzielnicy chciałaby była dosłać aż do samego sklepu niebios, pustych i zamarłych. Było to lat temu tysiące...

»Jehowa! Jehowa! straszny, który ciemności rozpościerasz nad światem, zmiłuj się!...

Jehowa! Jehowa! Nie krwaw dłoni twej we krwi, nie rozdzieraj palcami wnętrzności!...

Jehowa! Jehowa! Stopa twoja niech nie wstępuje na ludzką kość, nie miażdż piersi, nie wstępuj!

Jehowa! Jehowa! Oddech twój jest pożarem, jak kurzawą dymu z pożogi zabijasz!

Jehowa! Jehowa! Krwawe ręce twoje wyciągnąłeś z wnętrzności, otrząsnąłeś palce, rozbryzgła się krew!

Jehowa! Jehowa! Krwawe, czerwone plamy padają na niebo; z palców twoich rozbryzguje się krew!...«

Dym z kadzielnicy bił coraz wyżej i wyżej. Słupem mglistym unosił się w górę.

»Jehowa! Żar moich ust!...

Łzy moich ócz!...

Ból moich żył!...«

Pochyliła czoło ku ołtarzowi i podniosła je znowu.

»Przez mękę i konanie błogosławię cię, Panie!

Przez ogień, dym, przez popioły i siarkę — błogosławię!...

Który wyrwałeś krwawą dłoń z wnętrzności, a wstrząśnięciem dłoni gwiazdyś krwawe uczynił na niebie — błogosławię!

Oo!... Oo!...

Hymn mojej piersi niechaj leci z dymem kadzielnicy w górę...

Oo!... Oo!...

Któryś postawił stopę na piersi, któryś zmiażdżył, że pękła...

Oo!... Oo!...

Góry kołyszą się w podstawach, morze zadrżało...

Oo!... Oo!...

Ukaż się! Zjaw się!...

Który oczyma zabijasz, którego dech, jako samum, palmy przenosi na pustynie — ukaż się w niebiesiech!

Zjaw się!...

Którego stopa miażdży, który zgniatasz, wstępując — zjaw się!...

Pierś moja pełna żaru, pełna piasku pustyni, pełne są moje usta!...

Dym mojej kadzielnicy wzbija się w niebo, jak słup woniejący...

Woń mojej kadzielnicy wypełnia niebo i ziemię, głębie wodne pełne są mojej woni...

Ofiarowałam ci na stosie kamiennym...

Na ołtarzu kamiennym ofiarowałam ci, modliłam się do ciebie.

Odeszli mię bracia moi i odeszły mię siostry moje — sama jestem.

W pustyni niezmiernej, pośród piasków palących, sama jestem, jak źródło na oazie.

Rozwahała się nademną twoja mgła; mgła powietrzna zawisła na niebie...«

Nagle otworzył się strop niebieski: pośród ponsowych i purpurowych mgieł, wśród olśniewającego, oślepiającego blasku ukazała się twarz, ogromna i świecąca, jak słońce. Węże błyskawic oplatały włosy zjawiska. Baldachim ze złotej, jaśniejącej chmury spłynął mu nad czoło. Z zamętu i kurzawy chmur gorejących wydarła się ręka z wyciągniętym palcem ku światu. Panna Mery krzyknęła i wróciła do przytomności.

— Muszę mieć gorączkę — szepnęła.

Nie miała sił, żeby zapalić świecę. Leżała po ciemku, z otwartemi ustami, oddychając ciężko.

Panna Mery biegała po pokoju, jak furja. Raz wraz jakiś drobny sprzęt spadał ze stołów i z etażerek na ziemię i, jeżeli był szklanny lub porcelanowy, rozbijał się na kawałki. Panna Mery miała twarz siną z gniewu, usta jej się trzęsły, pierś dyszała.

— On nie przyjdzie! On nie przyjdzie! Naturalnie, że nie przyjdzie! — mówiła do siebie. — Nie przyjdzie, bo jakże może przyjść!

Gdyby przyszedł, nie wie, coby z nim zrobiła? Chciałaby się rzucić na niego, chciałaby go gryźć, drapać, bić. Tak ją skompromitować! Tak ją, ją, ją, Mery Gnieźnieńską, najbogatszą, najpiękniejszą, najinteligentniejszą, najdowcipniejszą, najświetniejszą pannę w Warszawie, skompromitować publicznie, głośno, bez wyjścia! Zaręczyny nie odbyły się wprawdzie jeszcze formalnie, ale wszyscy wiedzieli, że są po słowie po cichu. Nie, to nie do zniesienia, nie do zniesienia, nie do zniesienia!...

Panna Mery rzuciła się na kanapę twarzą do wałka i zaczęła płakać. Równocześnie gryzła sobie z pasji palce i tłukła trzewikami kanapę z niewysłowioną furją. Różne błogosławione i przeklęte słowa wypadały jej z ust w wałek kanapy.

Gdyby przyszedł! Miałaby go ochotę zabić!...

W końcu nie mogła wytrzymać: zerwała się, usiadła przy stoliku. Co napisać?... Darła arkusik po arkusiku; napisała w końcu: »Proszę przyjść zaraz.« Nie, nie, jak tak ostro napiszę, to nie przyjdzie, domyśli się, że go coś złego czeka, zlęknie się. A może poprostu napisać i nie widzieć go... Albo nic nie napisać, tylko rozgłosić, rozgłosić, rozgłosić, zaprzeczyć, wkrzyczeć w ludzi, że nie wychodzi za niego, że nigdy nie miała wyjść, nigdy, nigdy, nigdy! Rozgłosić to, rozkrzyczeć — i czekać, co on zrobi! Sam się teraz cofnie. Musi się cofnąć.

Panna Mery poczęła przychodzić do siebie. Może to nawet lepiej, żeby nie ona zrywała, żeby on się cofnął?... To nawet bardzo pięknie, jeżeli nie ona wśród takich okoliczności zerwie. Tak, bezwarunkowo będzie pięknie o niej świadczyło. Ona się nie cofnęła, szła za uczuciem, entuzjazmowała się; gdy pokazało się, że się niema do czego entuzjazmować, uczucie z entuzjazmu zrodzone, bardzo łatwo mogło zniknąć, ale czuła się związaną.

Czuła się związaną, gotowa była zrobić z siebie ofiarę, nawet ofiarę. Bez miłości już, tylko z poczucia zaciągniętego względem kogoś obowiązku, była gotowa oddać rękę Strzyżeckiemu. Będą o niej pięknie mówili. — Trzeba być teraz smutną i milczącą. Robić miłość w dalszym ciągu byłoby godnem jakiejś wiejskiej parafjanki. Panna Mery Gnieźnieńska mogła się kochać w genjuszu; kochać się mimo wszystko — nie, to dobre dla małych szlachcianek i córek urzędników prywatnych. Teraz trzeba być wobec ludzi smutną i milczącą, ale jeśli Strzyżecki sam odrazu się nie cofnie, to go tak potraktować raz i drugi, aby to uczynić musiał jak najprędzej.

Wtedy zaś otwiera się na nowo arena. Hrabia Czorsztyński, hrabia Przecław Wyczewski, hrabia Stefan Morski — gdyby książę Michał Zasławski, ale on się kocha w hrabiance Zuli Tęczyńskiej... Zresztą można niekoniecznie w kraju wyjść za mąż. Są hrabiowie i książęta austrjaccy i włoscy; są magnaci węgierscy i pruscy; są magnaci węgierscy i pruscy baronowie, są eleganccy, piękni, dowcipni *attachés* ambasad, i młodzi dostojnicy po europejskich ministerjach. Trzeba tylko wypłynąć na Europę. Trzeba się pokazać nietylko w sezonie w Nicei, czy w Biarritz, ale w salonach Paryża, Wiednia, Berlina i Londynu. Pieniądze papy wszędzie otworzą drogę. Opór klamki zależy od nacisku pierścionków. Trzeba się tylko ruszyć.

Strzyżecki, za którego narzeczoną uważała się panna Mery już od dwóch miesięcy, a w którym się od pół roku zdeklarowanie sama przed sobą kochała, ciężył jej już. Nie zastanawiała się nad tem, jak mógł tak niemal z godziny na godzinę stać się jej więcej niż obojętnym.

To się samo stało, bez udziału jej refleksji.

— ...Czyli, że go wcale nie kocham, i że mi się tylko zdawało — myślała.

Obrzydł jej, stawał jej się wstrętnym. Zapomniała wszystkiego, co między nimi było, jakby nigdy nie było nic, jakby się nigdy nic nie stało. Poszła dalej.

Rodzice nic z nią jeszcze nie mówili. Wogóle od wczorajszego wieczoru, od haniebnego upadku »Róży Saronu« Strzyżeckiego w operze, nazwisko jego nie było wymówione w domu. Nagle dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi pokoju panny Mery.

— Papa. Proszę!

Wszedł pan Rafał Gnieźnieński, nieco zażenowany, i, jak zawsze, uprzejmie i słodko uśmiechnięty.

— Piszesz?

— Nie. Tak siedzę.

Pan Rafał spojrzał na pannę Mery, ta mu zaś odpowiedziała:

— Ależ naturalnie, papo niema o czem mówić.

Pan Rafał przysunął się, pocałował córkę w czoło; panna Mery pocałowała go w rękę.

— Jak myślisz zrobić?

— Myślę, że najlepiej nic nie robić i czekać. On się sam z pewnością cofnie, papo.

— I ja tak myślę.

Poczem pan Rafał Gnieźnieński wyciągnął z kieszeni sznur przepysznych pereł i, wyciągając z niemi dłoń ku córce, spytał:

— Patrz, ładne?

Pannie Mery zaświeciły się oczy.

— Cudowne!

Pan Rafał włożył naszyjnik na szyję córki; panna Mery pocałowała go w rękę.

— Czy nie czujesz zapachu siana i... obory? — spytał pan Rafał, uśmiechając się do własnego dowcipu.

— Nie, papo; albo co?

— Bo masz na szyji — wieś.

Roześmieli się oboje, a panna Mery uczuła się przedewszystkiem córką wielkiego kapitalisty.

— Chciałem ci zrobić przyjemność, Mery, ale nietylko dlatego kupiłem te perły. Rozeszła się wieść, że poniosłem wielkie straty w ostatnich czasach. I w istocie straciłem trochę, z jakieś pół miljona, czy coś takiego. W naszych interesach musi się czasem i tracić. Ostatecznie jednak ojciec mój zostawił dwa miljony, a ja niezadługo będę miał dwanaście, więcej więc zyskiwałem, niż straciłem. Ale choć straciłem pół miljona, mogę jeszcze kupić, jak mi przyjdzie ochota, mojej córce perły za trzydzieści tysięcy rubli, mojej żonie

diamenty za piętnaście tysięcy i dać pięć tysięcy na szpital. W całej Warszawie o tem mówią.

— Jaki ty, papo, jesteś rozumny!

— A ty jaka mądra, Mery moja! Ale cóż ty teraz myślisz robić?

— Wyjdę albo za Czorsztyńskiego, albo za Wyczewskiego. Jeżeli się to nie zrobi, pojedziemy za granicę.

— Dobrze.

— Pojedziemy do Paryża i będziemy prowadzili ogromny dom. Przedewszystkiem artyści. Malarze, muzycy, literaci, kto jest — za tem pójdzie *towarzystwo*. Będą u nas śniadania w poniedziałki i obiady we czwartek. Musimy zasłynąć, jako jedno z ognisk inteligencji w Paryżu. Bądź co bądź, papo, jeżeli kończysz dwunasty miljon, to masz przeszło trzydzieści dwa miljony franków majątku. Nie jest to Rotschild, ani Ephrussi, albo Mackay, ale zawsze już zupełnie europejska fortuna. I masz tylko jedną córkę. Z tem można coś zrobić. Papo, ale wystaraj się przedtem o tytuł barona. Pierwszy lepszy kupiec z Łodzi jest baronem, a baron Goldwasser, a Glanzstein... Wystaraj się, papo, o tytuł.

— Gdybyśmy mogli zostać hrabiami...

— Nie, to niemożliwe.

— A rzymskie hrabstwo? Przecież jesteśmy katolicy.

— Tak, Mery, ale to niemożliwe — tu pan Rafał zawahał się nieco i zatrzymał — czyby to nie było za prędko?

Panna Mery przygryzła wargi.

— Więc bądźmy papo choć baronami, choć »de«. Żebyśmy przynajmniej na powozach mogli mieć choć pięć pałeczek. Te cyfry splecione i te strzałki na szorach! Wstyd jechać. Jak jakaś tam pani Kufke, albo Rumlerowa. Tak nieprzyjemnie, że kiedy jedziemy, to nas ludzie mogą brać za jakichś piwowarów, albo piekarzy, wogóle za kogoś z mieszczaństwa.

Pan Rafał Gnieźnieński westchnął.

— Cóż poradzić, córko?...

— Wystarać się, papo, wystarać się koniecznie. Twój majątek jest moim majątkiem. Sto tysięcy dam, jeżeli będziemy mieli tytuł.

— No, tyle nie potrzeba.

— Ale gdyby było potrzeba.

Panna Mery uczuła się ogromnie potężną. Mogła rozporządzić się setką tysięcy, ona, dziewiętnastoletnia dziewczyna.

— Papo, czy ty w przeciągu dziesięciu lat możesz jeszcze dużo zrobić majątku?

— To się nie da obliczyć, Mery. Dochodów naszych nie wydajemy szóstej części, żyjąc tak świetnie, jak żyjemy. To się ciągle kapitalizuje. A może przyjść jakiś interes, który mnie uczyni panem kilkudziesięciu miljonów. Tego się nigdy nie wie. Baron Hirsch z niczego zaczął. Prawda, że to było na arenie wielkoświatowej.

— To też to, papo! Licho nadało, żeśmy się w tym zapiecku porodzili!

— Cóż robić, córko, cóż robić? I tak nie narzekajmy. Stosunkowo Pan Bóg nam poszczęścił.

— Tak, ale w Europie moglibyśmy mieć nie jedenaście, czy dwanaście, lecz dwieście milionów.

— Ba, i więcej. Ale cóż robić!

— I widzisz, papo, nie mamy ani nazwiska, ani światowej fortuny. Czemże my jesteśmy!?

Pan Rafał pogładził córkę po twarzy.

— No, nie irytuj się, kochana Mery. Nazwisko zdobyć możemy, a w każdym razie wszędzie liczylibyśmy się do bogatszych ludzi.

— Ale naprzykład w Ameryce nie.

— No, i tam, i tam.

— Ale przecież myśmy powinni świecić nad innymi, błyszczeć. Bo zastanów się, papo: poza Warszawą, no niech będzie, poza Królestwem, któż o nas wie? Czy kiedy przejeżdżamy przez Wiedeń, albo przez Berlin, piszą o nas w gazetach? Wymieniają nas tylko w wykazach hotelowych na ostatniej stronie »Fremdenblattu«, jak państwa Kufke, albo tych Silbergów. Nic więcej. Czy nie powinno się pisać w kronice: »Bawi w naszem mieście znany miljoner baron Rafał Gnieźnieński z żoną i słynną ze swej piękności córką?« Czy nie byłoby tak dobrze?

Pan Rafał mlasnął bardzo dyskretnie wargami i kiwnął leciutko głową.

— Ale na to, papo, trzeba mieć nie dziesięć, czy dwanaście miljonów rubli, bo te ma lada giełdziarz berliński, tylko pięćdziesiąt, albo sto. Mój papo, przecież widziałeś, co się w Nicei działo koło tych Vanderbildtów. A nawet ten Kuzniecow, że przyjechał własnym jachtem, jak się nim wszyscy zajmowali! A o nas kto co gadał? Tyle gadali,

ile mnie kto widział. Mademoiselle Gnieźnieńska, mademoiselle Gnieźnieńska — *et voilà tout*. Trzeba to zmienić.

— Będę się starał o tytuł.

— Wtedy i mnie będzie łatwiej wyjść za mąż w arystokracji.

— No, to byłoby ci łatwo i dziś.

— No tak, ale przecież za byle kogo nie pójdę. U nas w Polsce, mogę chyba wybierać.

— O, tu możesz ile chcesz. Jak Hammerschlag mówi po swojemu: »tylko gwizdnąć, *nur pfeifen!*«

— Pfe! Jakie to ordynarne!

— Przepraszam cię, Mery; ale prawdziwe.

I pan Rafał spojrzał z dumą na córkę; była bardzo dystyngowana.

— No więc ostatecznie?

— Ostatecznie, papo, rzecz się rozstrzygnie dziś, jutro.

— Trzeba, żeby się rozstrzygnęła jak najprędzej.

— Tak, ale nie trzeba się awansować zanadto.

— Masz rację; nigdy. To jest moja zasada. Zawsze ostrożnie.

— O ile Strzyżeckiego znam, on tu więcej nie przyjdzie. Poczekamy dzień, dwa, a potem się rozpowie, że się cofnął. Bo rozumiesz, papo, i tego nie potrzebuję ci tłómaczyć, że nie trzeba, abym ja się cofała. Gdyby Strzyżecki zrobił jakieś łotrostwo, oszukał w karty lub coś podobnego, to co innego, ale że jego opera upadła — *il faut être noble.*

Panna Mery roześmiała się ironicznie, a pan Rafał uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Trzeba przecież coś robić dla tych ludzi — dodała, wydymając wzgardliwie usta — a wiesz, papo, możeby nawet dobrze było pojechać do Zagajowic — i »przecierpieć...« Ale nie, gdybym »cierpiała«, to nie byłoby powodu zrywać. W takim razie nie mogłabym przyjąć zwrotu słowa Strzyżeckiego, owszem, powinnabym się przed nim rzucić na kolana i ubłagać go, aby pozostał. »Ale ja kocham się tylko w genjuszu Strzyżeckiego, moja miłość była zachwytem, wytworem entuzjazmu i musiała zginąć...« Mogę być »smutną«, żem się zawiodła i rozczarowała, ale nie mogę »cierpieć«, skoro powód do miłości ubył i nie kocham już. Nie prawdaż, papo!

Pan Rafał patrzał na córkę z zachwytem i podziwem.

— Masz głowę dziadka — rzekł.

— Przecież ty, papo, zrobiłeś większy majątek — odpowiedziała panna Mery.

— Tak, ale ja miałem dwa miljony rubli, a on dwa pudełka zapałek.

Poczem pan Rafał Gnieźnieński ucałował córkę i wyszedł z jej pokoju.

Panna Mery pozostała sama ze swoim ogromnym teraz tylko niesmakiem do Strzyżeckiego i tego wszystkiego, co było i co się stało. Panna Mery, na której Strzyżecki zawsze robił wrażenie, a która od owego zdarzenia w oranżerji w Zagajowicach pół roku temu, poczęła się w nim kochać, zrobiła mu wszelkie awanse, aby go ośmielić.

Pisali do siebie często. Ona napisała pierwsza. Z początku listy te były bardzo dyskretne i milczące, ale potem stawały się coraz otwartsze i wymowniejsze.

Panna Mery pisała wyraźnie, że go kocha, że uważa się za jego narzeczoną, i że, aby zostać jego żoną, od niego tylko zależy. Dała mu do zrozumienia, że trzeba, aby zrobił coś wielkiego, inaczej obawiała się oporu ze strony rodziny. Dała mu delikatnie do zrozumienia, że panna tak bogata i taka, jak ona, musi iść za k o g o ś. Strzyżecki też odpisał jej w połowie lipca, że się wziął do roboty, że sobie sam napisał libretto i że pisze operę.

Pannę Mery opanował szał wyjścia za Strzyżeckiego. List za listem nagliły go, aby się spieszył. Czy już? Czy kończy? Panna Mery tonęła w nieskończonych falach swojej wyobraźni. Co za cudowny obraz! Zakochany genjusz tworzy arcydzieło pod jej natchnieniem i wpływem. Ona jest bohaterką tej opery, sama podała tytuł: »Róża Saronu«. Pierwotnie miało to się nazywać »Mirjam«. Genjusz zdobywa ją swojem arcydziełem. Świat o tem mówi... A potem Bourbony, Habsburgi, Koburgi, Hohenzollerny, świat zdobyty... Nie mogła się doczekać.

— Pisz! Kończ! Czy już? — to była treść listów.

Aż wreszcie Strzyżecki odpisał jej, że skończył. Długo bawiła z ojcem za granicą. Przyjechali pod jesień. Z »Róży Saronu« rozpoczęły się próby. Panna Mery siedziała w Zagajowicach, dokąd Strzyżecki jeździł, i ponieważ starała się, aby to rozpuścić, wszyscy mówili, że się żeni. Legenda była już znana naprzód, cudowna legenda, naprzód ułożona, wybujana i wykołysana w wyobraźni panny Mery... Wtem grom z jasnego nieba! Opera upadła z kretesem. Gdy po pierw-

szym akcie chciano podać wieńce i kwiaty przygotowane po cichu przez pannę Mery od »najrozmaitszych wielbicieli«, rozległ się głośny śmiech, potem sykania i wykrzyki. Z drugiego aktu w połowie, połowa publiczności wyszła. »Klapa« kompletna. Panna Mery przechodziła torturę moralną. Wszyscy na nią patrzyli.

Przyszła tryumfująca, ale od razu zrozumiała, że rzecz się nie podoba. Zacięła usta, ale nie cofnęła się w głąb loży, nie drgnęła. Czuła, że blada jest, jak marmur. W połowie drugiego aktu, gdy zaczęto wychodzić, zdawało jej się, że zemdleje, opanowała się jednak, wypchnęła swój bukiet z loży na teatr, co miało znaczenie symboliczne, wstała i zaczęła się ubierać. Za nią poszli państwo Gnieźnieńscy. Pojechano do domu, i nikt nazwiska Strzyżeckiego, ani »Róży Saronu« nie wspomniał.

Panna Mery spędziła straszną noc. Potem raz wraz napadały ją ataki płaczu i wściekłości. Dusiła się i dławiła z furji i ze wstydu, z upokorzenia. Rozpaczała nad sobą. Czuła się skompromitowaną, ośmieszoną, zabitą. To jednak nie trwało długo.

Po wyjściu ojca uczuła się prawie zupełnie spokojną. Uczuła koło siebie opiekę i to tak potężną. Ona mogła sobie pozwolić na coś takiego. Jej było wolno; jej nie mogło to zaszkodzić. Czuła się królewną w społeczeństwie. Było to — zakochanie się królewny w giermku, który włożył zbroję rycerza. Na turnieju pokazało się, że to tylko giermek.

Nazajutrz o zwykłej porze wyszła na miasto, o zwykłej porze wyjechała na spacer, a wieczorem była na »Cyruliku Sewilskim«. Przypatrywała się bardzo Mattiniemu, tenorowi, przez lornetkę, czuła, że się przytem czerwieni i była z tego kontenta. Patrzyli na nią.

Strzyżecki nie dawał znaku życia. Aż wreszcie piątego dnia po katastrofie napisał: »Chciałem odjechać, ale nie mogę tak. Czy pozwala mi się pani pożegnać?«

Panna Mery zastanowiła się, ale trzeba było być *noble* i odpisała: »Czekam pana«.

Przyjmie Strzyżeckiego tak, jakby nic nie zaszło. To najlepsza metoda. Pierścionków na szczęście jeszcze nie zamienili, więc nie będzie sceny zwracania. Trochę kwiatów i listy. Tych, w danej chwili, zażąda. A zresztą choćby i zostały — jej wolno. I tak tu, w kraju, jest jedną z królewien społecznych. Jej nic nie może zaszkodzić. Wydęła usta

z równem lekceważeniem dla Strzyżeckiego, jak i dla całego społeczeństwa.

Kiedy jednak chwila nadejścia Strzyżeckiego zbliżyła się, z trudnością opanowywała wzruszenie. Wypiła dużo wody i natarła skronie wodą kolońską. Nie oznaczyła pory, ale wiedziała, że przyjdzie w porze, kiedy ojciec jest za domem, a matka niewidzialną w swoim buduarze na bujającym fotelu.

Lokaj zameldował Strzyżeckiego. Panna Mery przyjmowała go zazwyczaj w towarzystwie panny de Pierrefeu, albo miss Tamerlan, albo w towarzystwie obu tych *dames de compagnie;* obecnie jednak nie kazała ich prosić do siebie. Stanęła oparta o róg kanapy i czekała. Czuła się potężną, silną, władczynią, panią kogoś i czegoś.

Strzyżecki wszedł; był tak blady, drżący i zmieszany, że pierwsze wrażenie, jakie wywołał w pannie Mery, było uczucie żalu i litości, ale stłumiła je szybko. Ukłonił się z daleka, odkłoniła mu się i poprosiła siedzieć. Nie podali sobie ręki. Strzyżeckiemu zakręciły się łzy w oczach.

Siedzieli chwilę milcząc; zlękła się, że to może doprowadzić do czego niepożądanego. Zaczęła żałować, że nie kazała poprosić której z panien, i odezwała się prędko:

— Pan wyjeżdża?

Odezwała się tonem takim, że Strzyżeckiemu widocznie rzucił się płacz do gardła; ledwie bąknął:

— Tak.

— Kiedy?

— Dziś.

— I dokąd?

To pytanie było niepotrzebne; co ją to mogło obchodzić?

— Nie wiem jeszcze. Jadę na Wiedeń.

Panna Mery wstała.

— Przykro mi, że nie mogę pana dłużej zatrzymać, ale mama u siebie, a moje obie panie czemś zajęte. Zatem żegnam pana i życzę szczęśliwej podróży.

Pilnowała się, aby się już nie spytać, czy wraca. Wyciągnęła ku Strzyżeckiemu końce palców, ale on ujął jej dłoń głębiej, postąpił ku niej krok i szepnął ze ściśniętego gardła:

— Panno Mery, czy pani nic więcej nie ma już dla mnie?

Instynkt radził pannie Mery dygnąć i wyjść z pokoju, ale ciekawość jakaś i jakieś pragnienie rozdrażnienia się zatrzymały ją na miejscu. Czuła się taką silną, tak górującą, tak pewną siebie, a w tak zajmującej sytuacji!

— Owszem — odpowiedziała, wstrząsając lekko rękę Strzyżeckiego i cofając swoją dłoń — wyrazy pożegnania od papy i mamy.

Wówczas Strzyżecki jęknął, jakby go zraniła sztyletem:

— Mery!...

Ale ona czuła w sobie próżnię i namiętną żądzę czegoś okrutnego.

Nie odpowiedziała nic i czekała, czując się dobrze uzbrojonym strzelcem naprzeciwko śmiertelnie ugodzonego wilka. Nie bała się, a miała emocję. Strzyżecki płakał. Stała i patrzała z jakiemś zadowoleniem.

— Mery, panno Mery... — odezwał się przerywanym głosem — ja wiem, że cię już nie mogę tak nazywać... Kazałaś mi się tak spieszyć... Nie mogłem się nad niczem zastanowić, nic obmyśleć, nic opracować, nic...

Przerwała mu ze sztucznym wybuchem:

— A to doskonale! Więc to ja temu winna?!

W gruncie czuła się najzupełniej spokojną i obojętną.

Strzyżecki załamał ręce.

— Nie, nie, nie ty, nie pani... Zresztą wszystko jedno. I tak wiem, że jesteś dla mnie stracona na zawsze...

Głos jego pełen rozpaczy miał jednak w sobie w głębi, nutę nadziei, zaprzeczającą słowom, które mówił. To trzeba było wyrwać z korzeniem, trzeba było przeciąć odrazu.

— To też żegnam pana — rzuciła zimno.

Strzyżecki umilkł i podniósł jakby nagle osuszone, szeroko rozwarte źrenice.

— Więc na zawsze?... — szepnął.

Wówczas pannie Mery wyrwała się odpowiedź, która jej samej nawet w tej samej chwili wydała się okrutną.

— Czy pan myślałeś — rzekła — że ja kiedykolwiek n a s e r j o miałam zostać żoną pana?

I wówczas stała się katastrofa. Strzyżecki, który miał dopiero lat dwadzieścia sześć, był z natury wątły, a klęską podwójną zupełnie z nóg ścięty, usłyszawszy odpowiedź panny Mery, zbladł jeszcze więcej, zachwiał się, oparł o stół i padł na wznak zemdlony. Upadając, przewrócił krzesło, którego łoskot sprowadził lokaja. To uwolniło pannę Mery od jakiejkolwiek akcji; było to jej pierwsze uczucie oprócz przestrachu.

— Pan Strzyżecki zasłabł — odezwała się do lokaja. — Niech Jan go otrzeźwi i sprowadzi do dorożki. Ja wychodzę na miasto.

Było to upewnienie się, że Strzyżecki już jej zobaczyć nie może, a nie chciała więcej.

— Skandal... — szeptała, wchodząc do swego pokoju. — Dzieciak. Zemdlał... Tak więc wygląda mężczyzna, który mdleje...

W parę minut Joasia opowiedziała, że jej Jan i Wincenty otrzeźwili pana Strzyżeckiego, że im dał po pięć rubli, że się nie dał sprowadzić ze schodów, zeszedł sam, opierając się o poręcz, że Wincenty kazał portjerowi sprowadzić dorożkę, i że Strzyżecki do nikogo nie powiedział ani słowa.

Wszystko to Joasia opowiadała ze śmiechem i w sposób równie ordynarny, jak zuchwały względem Strzyżeckiego. Podsłuchiwała i podpatrywała pod drzwiami salonu. Nagle panna Mery porwała się od okna, przy którem stała plecami do Joasi, i z całej siły wycięła jej taki policzek, że dziewczyna aż jęknęła i zachwiała się na nogach.

— Precz! — krzyknęła panna Mery, chwyciwszy z etażerki podręczne pudełko z nićmi i rzucając niem o ziemię. — Precz! Precz ze służby! Więcej tu nie masz wejść! Wyjdź!...

Przestraszona Joasia cofnęła się za drzwi, a w białej ręce panny Mery błysnął długi sztylet hiszpański, który również leżał na etażerce. Panna Mery na chwilę straciła przytomność. Potem rzuciła sztylet, szepcząc:

— Jezus, Marja! Jezus, Marja!... — i upadła znów na kanapę, szlochając na głos.

Byłaby teraz chciała mieć Strzyżeckiego, tulić go, ściskać i całować.

— Mniejsza o wszystko! Ty mój! Ty mój! — powtarzała przez łzy. — Napisać do niego, przywołać go napowrót...

Ale mówiąc to sama do siebie, czuła, że tak nie zrobi. Byłaby Strzyżeckiego tuliła i cisnęła do siebie, ale zarazem ten Strzyżecki się skompromitował i zbłaźnił. Chwilami znów przypominało jej się pochwycenie sztyletu, wtenczas wstrząsał nią zimny dreszcz i szeptała:

— Jezus, Marja!... Jezus, Marja!...

Uciec, uciec gdzieś, do Zagajowic, za granicę, w świat... Uciec, zapomnieć o wszystkiem... Co się z nim jednak stanie? Może umrze?... Nie, nie! Tak nie można go zostawić... Ale cóż zrobić? Są tylko dwie drogi: albo go przywołać napowrót, albo go więcej nie widzieć. Pośredniej drogi niema żadnej.

Nie, nie! Iść za niego niepodobna. Krytycy jednogłośnie odmówili mu talentu. Wszyscy stwierdzili, że niema żadnej nadziei, aby kiedykolwiek był czemś więcej, niż miernotą. Zostać żoną miernoty, drugorzędnego albo trzeciorzędnego artysty?... Za nic! Lepiej umrzeć.. Ale cóż się z nim stanie? Cóż się z nim stanie?...

Może lepiej było zostawić mu jakiś cień nadziei, odwlec — samoby się to potem zerwało... Ach, nie! Lepiej było uciąć od razu... Ale...

I panna Mery uczuła się bezradną, jak wówczas, kiedy ją konie uniosły nad jezioro Przychowskie.

Ciche, szumiące fale morza biegły do stóp panny Mery.

Biegły ciche, straszne i ciemne, i rozlewały się u jej stóp w czarnej nieskończoności nocy.

O morze szumiące!...

Z głębin morza, z jego niewidnych, szumiących przez nieskończoną noc głębokości, wydobywało się jakieś istnienie i szło ku pannie Mery i rozpływało się w fali szumiącej u jej stóp, fala za falą.

Jakoby czyjeś życie ludzkie rozlewało się tak u jej stóp, fala za falą.

O morze! O morze szumiące!

Mrok nocny staczał się z gwiazd przymglonych, zesnuwał się z bezdni w bezdeń, rozkłębiał się w przestworze.

Życie ludzkie szło ku stopom panny Mery w morzu, co się rwało ku brzegom.

Nigdy...

I panna Mery zatopiła się w tę myśl: nigdy...

Nigdy...

Jeżeli drzewa odetną konar...

Nigdy...

Jeżeli umrze matka...

Nigdy...

Jeżeli gwiazda spadnie z pośród gwiazd...

Nigdy...

Jeżeli przeżyje się dzień...

Nigdy...

Jeżeli się umrze...

Nigdy...

Gdyby się ziemia rozerwała na poły i jedna z tych połów zginęła w słońcu...

Gdyby słońce zgasło...

Nigdy...

Panna Mery poczęła coraz głębiej tonąć w tej myśli: nigdy...

I wydawało jej się, że naprzeciw niej na toni morskiej zamajaczył jakiś kształt i że się zbliżał.

Potem stanął przed nią ciemny, ale wyraźnie widzialny. Był to rodzaj ptaka, o grubym tułowiu na cienkich, nagich nogach; kark miał gruby, na karku głowę podobną razem do koguciej i sępiej, z grzebieniem. Oczy były w białych obwódkach. Ptak - widmo.

Ten ptak nie niósł nic w szponach, ani w dzióbie, ale niósł coś w sobie.

— Coś ty jest? — szepnęła panna Mery.

— Jestem duszą — odpowiedział ptak.

— Czyją duszą?

— Losu.

— Czyjego losu?

— Twojego nieszczęścia.

— Dla mnie, czy dla kogo?

— Huuuaaa! — zawył ptak.

Panna Mery wzdrygnęła się i otwarła oczy. Ptak znikł. Ale gdy je zamknęła, znów stał przed nią.

— Nie rozumiem cię — rzekła.

— Jestem duszą losu.

— Nie rozumiem cię.

— Człowiek składa się z życia i z przeznaczenia.

— Nie rozumiem cię.

— Naokoło ciebie jest dola.

— Więc cóż?

— Jestem duszą doli.

— Mojej?

— Twojej.

— Dla mnie, czy dla ludzi?

— Jestem duszą twej doli.

Panna Mery poczęła pojmować.

— Wewnątrz i zewnątrz?

— Tak.

— We mnie i dookoła?

— Tak.

— Jestem ja, naokoło są ludzie i jest dola?

— Tak.

— Czego chcesz?

— Jestem duszą twej doli.

Panna Mery zrozumiała. Poczęła się przyglądać ptakowi. Był potwornie brzydki. Zwłaszcza lśniące oczy w bia-

łych obwódkach były straszne i obrzydliwe. Pannę Mery zdjął nagły lęk.

— Dlaczegoś przyszedł?

Wówczas ptak podniósł się bez szelestu na skrzydłach i wleciał ponad nią przez okno do jej pokoju.

Panna Mery ocknęła się i otwarła oczy. Zerwała się z ławki, na której siedziała i spojrzała w swoje okno. Jaśniało w niem światło lampy.

Siła jakaś skierowała pannę Mery z ogrodu nad morzem ku drzwiom willi. Weszła. Na stole leżał list od Hersylki Wasserkranzówny.

»Wyobraź sobie, — pisała panna Wasserkranzówna — wyobraź sobie, że Strzyżecki w łeb sobie palnął i jest między życiem a śmiercią w Wiedniu. Stało się to już dawno, dziesięć dni temu, ale dopiero teraz wiadomość o tem doszła do Warszawy...«

O morze! O morze szumiące!...

Panna Mery stała w oknie jak martwa. Do stóp jej podbiegło morze, które rozlewało się, jakby u stóp jej rozlewało się w fali czyjeś istnienie, fala za falą.

O morze!

Wtem na głębokościach morskich zaświeciły dwie złe gwiazdy.

Panna Mery zamknęła oczy.

Wówczas na głębokościach morskich zamajaczył ogromny kształt Sfinksa, z oczyma błyszczącemi, jak dwie złe gwiazdy nad ziemią. Magnetyczny wzrok tych gwiazd prowadził przez fale morskie śmierć.

Panna Mery poczęła tonąć w tej myśli: śmierć.

Poczęła tonąć w jakiejś otchłani, głębiej, głębiej i głębiej...

Głębiej i głębiej...

Czarna, bezdenna głąb, nieskończona, bezkreśna...

Pannie Mery wydarł się wreszcie z piersi okrzyk:

»O Boże! Boże! Jakże jestem strasznie nieszczęśliwa!«

A z daleka, jak gdyby z bardzo daleka, daleka, zdało się, iż zanucił jakiś głos pieśń Schumana:

Wie du auch strahlst in Diamantenpracht,
Es fällt kein Strahl in deines Herzens Nacht...

Ich grolle nicht. Wie auch das Herz mir bricht,
Ewig verlor'nes Lieb, ich grolle nicht...

Wie du auch strahlst in Diamantenpracht,
Es fällt kein Strahl in deines Herzens Nacht...

Kto to śpiewał? Kto? Gdzie? Morze niosło tę pieśń Schumana, jak ono posępną. Ach nie, nie morze...

Oto tam, na łódce, kołysze się człowiek. Średniowieczny ma strój, kapelusz z piórami, płaszczyk hiszpański i trykoty. U boku szpada. Stoi na łódce, a w ręku ma gitarę. To on śpiewa. Położył wiosła. Łódka kołysze się na falach morskich.

On śpiewa. Przypływa coraz bliżej i bliżej. Głos jego brzmi coraz potężniej. Coraz silniej i silniej. Aż nakoniec huczy, jak grom, jak wszystkie dzwony Rzymu.

Panna Mery stoi, jak zaklęta. A potem głos ten cichnie, opada, mięknie.

> Ich grolle nicht. Ich sah dich ja im Traum
> Und sah die Nacht in deines Herzens Raum..

Cisza. Śpiewak na łódce znikł. Tylko jest jakaś niezmierna woda, rozlana spokojnie, niezmierna, nieskończona... Na środku wody krzyż, stojący na niej nieruchomo. Czarny, wysoki krzyż...

Płacz...

Długi, długi, nieskończony płacz...

Zda się, że wszystko morze łka, że wszystkie fale łkają...

Smutek, niesłychany, potworny, straszny smutek upadł na pannę Mery.

O morze!...

Nigdy więc już...

Nigdy i śmierć...

Dziwny poczwarny ptak, który ukazał się był na wodzie, nagle zjawił się znowu, a dwa jego skrzydła jak gdyby owinęły z lotu głowę panny Mery.

— Jam jest dusza twej doli — zarzechotał.

Nigdy i śmierć...

O morze!...

Panna Mery upadła na kolana i przycisnęła czoło do ramy okna.

Chciała się modlić.

Chciała się modlić, ale nie mogła.

Krzyż, który widziała przedtem, zjawił się jej znowu, ale jakby spleciony z ognistych języków, potem wysunął się w węża o dwóch błoniastych skrzydłach, potem splótł się znowu w rózgę z płomieni, wreszcie zawył jak wilk, przełamał się, pękł, rozleciał w tuman iskier i przepadł w ciemności.

I zjawiła się znowu nad panną Mery jakaś twarz, wykrzywiona szatańskim, piekielnie ironicznym śmiechem. Wieniec z róż ciernistych miała na głowie, w ręku żmiję wyprężoną o główce bez skóry, kościanej, a z żywemi oczyma.

Znikła, i zjawił się jakiś straszny starzec, z krwią w źrenicach, ze skrzydłami, jak chmury, u ramion, olbrzymi, jak świat, z kupą błota w dłoniach, z którego odrywał cząstki i miotał w przestrzeń, jak siewca.

A śmiech szyderczy, straszliwy śmiech brzmiał poza nim.

Widziadło znikło.

— Dlaczegóż, dlaczegóż, dlaczegóż nie mogę się modlić? — jęknęła panna Mery.

— Może już umarł.

Dreszcz konwulsyjny ją wstrząsnął. Na łóżku jej, na amarantowej kołdrze siedział szkielet z głową Strzyżeckiego. Głowa była zupełnie żyjąca, z krwawą, zczerniałą plamą na środku czoła. U stóp szkieletu stał potworny ptak o białych obwódkach u źrenic.

Szkielet wyciągnął ku niej dłoń i skinął. Wstała i poszła ku niemu.

Objęła mu nagie żebra i usta położyła na usta.

Pociąg leciał, jak wiatr, ale niedość prędko dla panny Mery. Pierwszym rannym pociągiem, po otrzymaniu listu od Hersylki Wasserkranzówny, panna Mery wraz z ojcem pędziła do Wiednia.

— Czy jeszcze żyje?... Czy jeszcze żyje?... — powtarzała w myśli.

Strach, przerażenie, przygnębienie wypełniły jej całą duszę. Nic poza tem nie czuła, nic nie mogła myśleć. Chciała, aby żył, aby nie umarł... Śmierć ta przejmowała ją grozą, wobec której wszystko się kruszyło i w proch rozsypywało.

Pan Rafał Gnieźnieński milczał w kącie swego coupé, które całe zapłacił, aby sami jechali. Targnięcie się Strzyżeckiego na swoje życie nie było wprawdzie żadnym *Strich durch die Rechnung*, jakby powiedział kuzyn Hammerschlag, ale bądź co bądź było rzeczą wysoce nieprzyjemną. Zresztą pan Rafał Gnieźnieński miał miękkie serce i żal mu było tego chłopca, którego nawet lubił, a byłby kochał, jako zięcia.

Córka powiedziała mu co się stało, i oświadczyła, że chce jechać do Wiednia. Pan Rafał nie sprzeciwiał się córce nigdy. Jeżeli on z dwóch miljonów swego ojca kończył już robić miljon dwunasty, ona, gdyby była mężczyzną, na jego miejscu kończyłaby robić dwudziesty czwarty, jeżeli nie trzydziesty szósty. Cały genjusz sławnego Gabrjela Gnieźnieńskiego wszedł w tę dziewczynę. Gdyby była chłopcem, Gnieźnieńscy dorównywaliby może i Rotschildom. Pan Rafał uwielbiał ją i słuchał jej życzeń.

Stanęli w Wiedniu.

Hersylka nie napisała, gdzie znajduje się Strzyżecki. Odpowiedź dano z policji. Żył i znajdował się w jednym ze szpitali, który wskazano.

— Pojadę — rzekł pan Rafał.

— I ja pojadę — odezwała się panna Mery.

Pan Rafał nieco zawahał się;

— Ty?

— Tak, papo. Czy jest już powóz?

Pan Rafał Gnieźnieński zapalił cygaro i wsiadł milcząc do karety. W szpitalu zapytał o Strzyżeckiego, nie zapominając dodać: von Strzyżecki.

Lekarz powiedział, że Strzyżecki jest tu już od dwóch tygodni i że lada chwila skona. Panna Mery zapanowała nad sobą, aby nie zemdleć.

Pan Rafał przedstawił się jako bliski krewny Strzyżeckiego i spytał, czy wejście czyjeś nie wzruszy chorego?

— Jego już nie wzruszy — odparł lekarz.

— Więc można?

— Odmówić modlitwy za konających.

— Mery, nie wchodź ty lepiej — rzekł pan Rafał po polsku do córki.

Ale panna Mery poruszyła zbielałemi ustami i poszła za lekarzem.

Na łóżku leżał Strzyżecki z przewiązaną głową, z szeroko otwartemi, nieprzytomnemi oczyma.

Panna Mery stała chwilę nieporuszona; zdawało jej się, że wszystko w niej zamienia się w kamień.

Przystąpiła ku łóżku. Strzyżecki widocznie ani nie widział, ani nie słyszał.

Panna Mery stała i patrzała na niego.

Ten człowiek ją całował...

Ten człowiek jej mówił: »kocham cię...«

Temu człowiekowi ona ślubowała miłość...

I już nigdy...

Nigdy...

I tylko śmierć...

O morze! O morze szumiące!...

Panna Mery runęła ku łóżku z przeraźliwym krzykiem:

— Żyj! Żyj! Ty musisz żyć! Ja chcę, żebyś ty żył! Żyj!...

Nazajutrz w dziennikach wiedeńskich panna Mery mogłaby była nakoniec czytać o sobie nie tylko na ostatniej stronie *Fremdenblattu* w wykazie hotelowym. Rozdzierający, przeraźliwy jej krzyk dotarł do wnętrza mózgu Strzyżeckiego i zwalczył śmierć. Strzyżecki poruszył oczyma i ustami; wstrząśnienie, jakiego doznał, rozdmuchało ostatnią iskrę życia w jego organiźmie. Zadrgała bladym płomykiem.

Lekarze zdumieli się.

Pan Rafał Gnieźnieński obiecał bajeczne honorarjum za wyleczenie Strzyżeckiego, z którym jego córka kochała się jak z rodzonym bratem, razem się bowiem wychowali, ale wezwany do chorej żony, wyjechał wieczorem, wywożąc napół nieprzytomną córkę ekstrawagonem.

Pani hrabina Czorsztyńska chodziła dużemi krokami po swoim pokoju. Afisze zapowiadały operę Mirjama Saroniego: »Lilja przy dolinach«, operę, która święciła tryumfalny pochód przez Amerykę, gdzie powstała, a potem przez Włochy, Niemcy, Francję i Hiszpanję. Przygotowywało się wielkie święto artystyczne, tem więcej, że sam mistrz miał przybyć na premjerę.

Mistrz był z pochodzenia Włochem; z ojczyzny Rossini'ego, Verdi'ego i Palestriny wyniósł genjusz muzyczny. Ale rodzice jego wynieśli się do Ameryki, i tam się też rozwinął. »Lilja przy dolinach« była pierwszem jego dziełem; wystawiona w Nowym Jorku odrazu zdobyła chwałę. Saroni, jak niegdyś Byron, »położył się nieznanym, a obudził sławnym«.

Bliższych szczegółów nie wiedziano wiele o mistrzu. W Europie nie był dotychczas. Amerykańskie pisma podawały jego portret; nosił długie, spadające tak na czoło włosy, że mu je prawie całe, aż do brwi, zakrywały. Włosów tych nigdy nie podgarniał, przeciwnie, jak Paderewski, któremu czoło tak pysznie świeci wśród lwiej czupryny. Rysów jego nie można było nazwać włoskimi. Miał matkę Serbkę; odziedziczył też po niej słowiańskie rysy, słowiańską melancholję w oczach i pewien tęskny, smutny, słowiański ton w kompozycji.

Potem następowały opisy, jak się ubiera, co je, ile ma lat, jakie nosi buty i po czemu pali cygara. Przedtem miał skromny, wystarczający majątek; obecnie był bogatym człowiekiem. Córka jednego z miljarderów amerykańskich ofiarowała mu swoją rękę, ale odmówił. »To jest iście słowiańska fantazja — pisał *New-York Herald* — odrzucić piętnaście miljonów dolarów. Dodajmy, że miss Smith jest czarującą, o oczach antylopy i ruchach żebry dziewczyną. Angielka, miss Anabella Spencer, chcąc wyfotografować wnętrze jego pracowni,

do której się dostać nie mogła, spadła z dachu przeciwległego domu. Na szczęście wpadła w przejeżdżający powóz i tylko się mocno potłukła. Anglik, lord Hotspur, który chciał być na wszystkich premierach »Lilji przy dolinach«, ponieważ w Medjolanie i w Madrycie miano dawać premjerę jednego dnia, zapłacił dziesięć tysięcy funtów szterlingów, aby odłożono ją o tyle, by miał czas przyjechać z Medjolanu do Madrytu. Ale tu prawdziwe nieszczęście: pociąg wykoleił się i stanął. Lord zapłacił drugie dziesięć tysięcy funtów i na odczepionej machinie przejechał dwadzieścia stacji. Księżniczka Marja Sachsen-Weimar-Koburg-Gotha-Meklenburg-Strelitz na przedstawieniu w Berlinie zachorowała drastycznie ze wzruszenia, a cesarz Wilhelm miał zawołać: »Nie żyłem napróżno!...«

Tyle *New-York Herald*.

Hrabina Czorsztyńska chodziła dużymi krokami po salonie.

— Nikt inny, tylko on — myślała.

I nie wątpiła, że pod pseudonimem Mirjama Saroniego ukrywa się Władysław Strzyżecki.

Wszystko, co czytała w przytoczeniu z gazet amerykańskich i w tych gazetach europejskich, które miała u siebie, utwierdzało ją coraz więcej w tem przekonaniu. Odrazu uderzył ją i tytuł dzieła i nazwisko muzyka.

»Jam jest jako róża Sarońska, a lilja przy dolinach...«

Serce biło jej mocno i czuła się bardzo wzruszoną. Od czasu, kiedy widziała Strzyżeckiego w Wiedniu w szpitalu, minęły trzy lata. Jej synek miał już pół roku.

Strzyżecki wyleczył się i natychmiast znikł z Wiednia. Z Hamburga otrzymał tylko pan Rafał Gnieźnieński depeszę: »Dziękuję«.

Co się z nim potem stało? — nikt nie wiedział.

Panna Mery, powróciwszy do Warszawy, rozchorowała się. Długie tygodnie miała gorączkę i halucynacje. Potem wysłali ją do Normandji. Tam pojechał za nią hrabia Czorsztyński i oświadczył się o nią. Przyjęła go; było jej to dosyć obojętne za kogo idzie, a chciała już wyjść za mąż. Zrobili oboje świetną partję. Czorsztyński otrzymał dwakroć sto tysięcy renty, a panna Mery weszła w najwyższą arystokrację. Czorsztyński zresztą był przystojnym, dobrze wychowanym i inteligentnym człowiekiem.

Panna Mery potrafiła być damą. Nietylko nie dała sobie imponować, ale sama zaimponowała. Powoli ton przestała nadawać księżna Iza Zbarazka i hrabina Róża Tęczyńska, a zaczęła go nadawać hrabina Mery. Tualetami podbijała księżnę Izę, dowcipem hrabinę Różę, wdziękiem słynną panią Walerjanową Kraśnicką. Była prosta, szczera, swobodna i niewymuszona.

Kiedy ją raz przedstawiła jakiejś księżnie krwi księżna Iza: *Madame la comtesse Czorsztyńska née Gnieźnieńska* — ona przerwała: *Je ne suis que Gnieźnieńska, tout court.*

Księciu Bourbon nie dała się przedstawić:

— Jestem kobietą, i każdy mężczyzna powinien być mnie przedstawionym.

— Ależ to jest wbrew etykiecie! — syknęła któraś z pań.

— Ale to jest podług mojej etykiety — odcięła się pani Mery.

— Chciałabym mieć pani dowcip — rzekła jej raz pani Kraśnicka z przekąsem.

— Byłaby to rysa na szkle — odpowiedziała pani Mery.

Pani Kraśnicka zaczerwieniła się i ze zjadliwym uśmiechem wycedziła, podkreślając:

— Pani hrabina ma »rasową« ironję.

Ale pani Mery odbiła:

— A pani to spostrzega?

Pani Kraśnicka, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu, nie znalazła odpowiedzi na języku. Cała waga słów spadła na ironję.

W trzy dni później, na wieczorze, pani Kraśnicka zbliżyła się do pani Mery i powiedziała:

— Nie mogę z panią walczyć, bo mię pani pobijasz; zawrzyjmy pokój i mówmy sobie ty.

Ale pani Kraśnicka była osobą chytrą i fałszywą; ponieważ zeszła na drugi plan, a razem z nią, z chwilą zabłyśnięcia pani Mery, przygasło wiele innych gwiazd pierwszorzędnych, zawiązał się spisek. Niczem »tej Żydówki« nie można było pobić: ani pieniędzmi, ani urodą, ani dowcipem i dystynkcją salonową, a upokorzyć się nie dała. Ale można ją było skompromitować.

Pani Mery została nagle otoczona najżywszą przyjaźnią pań. Z początku były to same panie. Potem jednak zaczęli się zjawiać kuzynowie tych pań i także zaczęli otaczać panią

Mery swoją żywą przyjaźnią. I zaczęło się zdarzać tak, że któregoś dnia, kiedy miała przyjść jakaś pani ze swoim bratem ciotecznym, lub stryjecznym, przychodził sam tylko kuzynek, przepraszając, że kuzynkę głowa rozbolała.

— Z irytacji o pani ostatnią tualetę — dodawał dowcipnie.

Na wieczorach zostawiano ją ciągle sam na sam z jakimś młodym człowiekiem. Niewidocznie, zręcznie, lekko i finezyjnie ułatwiano i przygotowywano wszystko. Mąż, którego głównie zajmował sport, a oprócz sportu karty, stara broń i statystyka wszelkich możliwych rekordów świata, zostawił żonie zupełną swobodę i nie mięszał się do niczego. Ale pani Mery zrozumiała odrazu, o co chodzi, a czując całą wyższość swego sprytu, dowcipu i inteligencji, igrała z tymi, którzy chcieli z nią igrać. Bawiła się wybornie. Już, już tonęła i nagle pokazywało się, że stoi pewną nogą na suchym lądzie.

Aż pewnego dnia odwróciła się nagle od młodego szambelana Wyczewskiego, zbliżyła się do pani Kraśnickiej, wzięła ją za rękę, poprowadziła ku lustru i zdjąwszy brylant z palca, przerznęła nim całą szybę na wszerz.

Pani Kraśnicka oblała się ponsem i zacięła wargi. Pani Mery roześmiała się:

— Żal ci lustra?

Pani Kraśnicka tupnęła nogą i spuściła oczy pod pełnym pogardliwej ironji wzrokiem pani Mery.

Zresztą pani Mery nie miałaby żadnego powodu do sprzeniewierzania się swemu mężowi. Pośród tych mężczyzn, których teraz widywała, był jednym z najprzystojniejszych, najbardziej męskich i najrozumniejszych. Był dla niej grzecznym, pełnym rycerskości i miał wiele sił, choć temperament raczej chłodny. O miłości było między nimi wogóle mało mowy przed ślubem, a jeszcze mniej po ślubie. Oboje wiedzieli, co ich ku sobie prowadziło. Oboje robili świetny interes. Zdaje się też, że Czorsztyński był istotnie bardzo zadowolony. Ale pani Mery zdawała sobie doskonale sprawę, że kiedy minie pierwsze zajęcie się tem, co jest dla niej nowe, i pierwsze zajęcie się dzieckiem, ogarnie ją nuda, tęsknota i przesyt. Jej próżność miała obecnie podwójną satysfakcję: weszła w świat, gdzie chciano na nią patrzeć z góry — i nie potrafiono tego zrobić. Ale to nie wystarczy. Czuła to i wiedziała.

Katastrofa ze Strzyżeckim nie zmieniła tła charakteru pani Mery, otwarła jej jednak nowe jakieś głębie, w które szła jej myśl. W sytuacji, w jakiej się znajdowała, czułaby się była dawniej zupełnie szczęśliwą; obecnie obawiała się jutra.

Zobaczyła, co to jest miłość, »miłość mocna jako śmierć i trwała jako grób, której wielkie wody nie mogłyby zagasić, ani rzeki zatopić«, »miłość, za którą choćby kto wszystką majętność swego domu dał, byłby pewnie wzgardzony.«

Tę miłość zobaczyła, ale jej nie poznała, nie zaznała jej.

I tego jej brakło.

O Strzyżeckim nie chciała myśleć. Wyrzuty sumienia minęły jej prędko. »Nasza krew to jest taka dobra krew, że ona prędko wszystko, co niepotrzebne, z siebie wyrzuci« — mawiał wuj Hammerschlag, który był zawsze w dobrym humorze.

Ale choć o Strzyżeckim nie chciała myśleć, on uparcie powracał do jej pamięci. I nieraz zamyślała się o nim długo.

Przypomniała sobie pierwsze chwile ich znajomości, pierwsze wrażenia, przejścia, scenę w oranżerji, korespondencję, ciche narzeczeństwo. Odpędzała to od myśli, co potem przyszło, ale to tłoczyło się jej uparcie w mózg. Nie żałowała, że za niego nie poszła. Jakież byłoby jej stanowisko?... Ale jeżeli to on jest autorem »Lilji przy dolinach?...« A niewątpliwie on.

Jakaś tęsknota, ogromna, wielka tęsknota poczęła wchodzić w jej serce. Znała rozkosz?... Nie, to nie była rozkosz. Rozkoszą był ten uścisk tam w oranżerji, w odurzeniu róż i duszności wilgotnych storczyków.

Rozkoszą były marzenia, wspominanie i oczekiwanie. Nie, ona nie znała rozkoszy...

Jakaś tęsknota, ogromna, wielka tęsknota poczęła wchodzić w jej serce.

Znała życie?... Nie, to nie było życie. Życie to są olbrzymie łąki, olbrzymie nadwodne łąki, jeziora, nad któremi słońce wschodzi, nad któremi kołyszą się na skrzydłach czaple i nad któremi słychać świegot ptaków porannych.

Cóż to za życie? Obowiązki i przyjemności, »perkaliki, msza święta, która się po staremu odprawia«, i nadzwyczajna msza obrzydliwości pod osłoną zachowywanych pozorów, poprostu śmiecisko za parkanem lakierowanych słupków.

Ten mąż, rano na koniu, potem przy śniadaniu, potem w klubie, z wizytami, albo w breku, potem przy obiedzie, potem w teatrze, albo z wizytami, potem w klubie, albo z nią, suchy, sztywny, inteligentny, aby wszystko zrozumieć, prawie nic nie odczuć, praktyczny jak kupiec, trzeźwy jak finansista, dystyngowany banalną, pospolitą, oklepaną i opatrzoną dystynkcją arystokracji, rasowy bez żadnej rasy ducha, umiejący się zawsze znaleźć trafnie, nigdy nie zwyczajnie i niespodziewanie, człowiek skończony, równy, pospolity całą pospolitością codziennego wielkiego pana, wielka aparycja salonu i ogromne zero jako indywidualność. To jej mąż.

Wszystko to wiedziała zawsze, ale nie widziała tego. Olśniewało ją hrabstwo, stanowisko towarzyskie. Jakkolwiek zręcznie umiała być pośród ludzi hrabiną Czorsztyńską z domu Gnieznower-Gnieźnieńską, sama z sobą nie mogła się z tym tytułem oswoić. Były to przy najszczelniej pozamykanych drzwiach siesty przed lustrem, nieskończone przyglądanie się sobie, studja, pozy, poprawki, zdobycze, odkrycia, spostrzeżenia, nauki. Nie dosyć było mieć miljony i być piękną, trzeba było umieć być hrabiną Czorsztyńską, być hrabiną Mery. I był to ciągły zachwyt nad sobą. Uczennica była tak pojętna, tak zdumiewająca nauczycielkę, że ta mogła ją tylko podziwiać. Wszystko, co pomyślała panna Mery Gnieźnieńska, pani hrabina Czorsztyńska wykonywała bez zarzutu; wszystko, co było nauką przed lustrem, w salonie było najnaturalniejszą, najwdzięczniejszą prawdą. Pani Mery zachwycała się i swojem nazwiskiem i sobą. To odejmowało jej myśl.

Nikt nie widział tych długich leżeń na kanapie, z głową przewieszoną, kiedy jej usta powtarzały jeden tylko frazes: »pani hrabina Czorsztyńska, Mery Czorsztyńska, hrabina Mery...« Było to upojenie, podobne do upojenia haszyszem. Szedł drugi rok, kończył się już nawet niezadługo, ona ciągle tonęła w tem upojeniu. Prosta, naturalna, zręczna między ludźmi — tu, w swoim gabinecie, wydymała wargi, rzucała w tył głową, zmrużała źrenice, była sobą, była tem, czemby była ze swoją naturą, gdyby się była urodziła Potocką, albo Zamojską z domu. »Byłabym najnieprzystępniejszą, najdumniejszą, najwynioślejszą ze wszystkich — myślała. — Nazywaliby mnie dumną Marją, albo królową Boną.« Na co sobie nie mogła pozwolić bez ośmieszenia się między ludźmi, wetowała sobie w swoim buduarze. Tu była wielką panią w średniowiecznem pojęciu, właściwem w jej wyobraźni.

Wszystkie hrabiny i księżne, które znała, wydawały jej się parweniuszkami własnych tytułów, jak wielcy ludzie sprawiali jej często wrażenie parweniuszów własnej sławy.

Myślała, że i ona właściwie może być z jakiejś książęcej rodziny. O tylu książęcych rodach wspomina biblja! Dlaczegóż nie miałaby pochodzić z jednej z nich? Ach! gdyby się to dowieść dało!... Ćwierć majątku dałaby za to... Byłaby też chciała, mimo całego kultu dla pieniędzy, aby ojciec już zwinął interesy i żył z renty.

Już mieli dosyć. Ostatnia akcja na współkę z wujem Hammerschlagiem przyniosła coś trzy miljony. Od przyszłego roku ojciec ofiarował im pięćdziesiąt tysięcy rocznie więcej renty. Ponieważ poszła za mąż w kraju, gdzie niema Schwarzenbergów, ani Esterhazych, już naprawdę mieli dosyć. Dochody ich i tak były jedne z największych. Nie chciałaby była być tak bogatą, jak stara Niemka, albo jakiś Żyd z Łodzi. To miało taki wdzięk, kiedy hrabina Wanda Morska mówiła, że nie może w tym roku pojechać za granicę, bo trzeba było robić wkłady w majątek i nie mają pieniędzy. Tak ładnie księżna Lula Zasławska powiedziała niegdyś, gdy przechodziły koło wystawy jubilerskiej w Paryżu, patrząc na kolję brylantową: »Ach, jakże mi się to podoba!...« Kolja kosztowała tylko dwadzieścia tysięcy franków, ale cóż, kiedy mąż dał księżnie Luli na cały Paryż na dwa miesiące pięć tysięcy rubli. Pani Mery, która miała otwarty kredyt w banku, miała ochotę kupić tę kolję i posłać Luli, ale potem wstrzymała się, bo to byłoby ordynarne. Kiedy jednak drugi raz wyszły, księżna podprowadziła ją ku sklepowi i powiedziała: »Wiesz co?... nie mogę wytrzymać. Pożycz mi te dwadzieścia tysięcy. Dla ciebie to jest nic...«

Miała przytem minę takiego dziecka, któremu się czegoś zachciało.

Brylanty wzięła, a pieniędzy nie oddała, choć już drugi rok mija, bo to było niezadługo po ślubie. Ale tak ślicznie się rumieni i uśmiecha i tak wymownie ściska rękę! Nic dziwnego, że ją nazywają »uroczym bębnem«. Pani Mery ma zawsze na wszystko i jeżeli z jednej strony imponuje, z drugiej ta strona wdzięku, którą ma wielka pani, nie mogąc sobie na coś pozwolić, odpada.

Ale tego wszystkiego już jest dosyć. Emulacja w kokieterji i w »szarmowaniu« ludzi, arystokratyczny świat, to

wszystko możeby mogło wypełnić życie jakiejś pannie Juli, albo Dosi Blaudachównie, ale nie jej, Mery Gnieźnieńskiej, która za czasów Ludwika XV. byłaby trzęsła Francją, a za Kleopatry i Aspazji byłaby rywalizowała z Kleopatrą i Aspazją; nie jej, Mery Gnieźnieńskiej, która czuła w sobie krew Salomy i Judyty. Upajała się, ale upajał się w niej tylko jej mózg; jej serce było zimne.

Ci panowie, którzy się o jej względy starali, nie mogli jej nawet zająć sobą. Żaden nie nazywał się lepiej, żaden nie był piękniejszy, lepiej zbudowany, rozumniejszy i wykwintniejszy od jej męża. Hrabia Czorsztyński musiał to czuć i dlatego zostawiał jej tak zupełną swobodę. Istotnie przedewszystkiem byłby się zapewne zdziwił, gdyby go była zdradziła. Miałby był zupełne prawo zapytać: dlaczego to robi?

Sprzeniewierzenie się mężowi wogóle nie było u pani Mery żadną kwestją etyczną. Wogóle zresztą zasady i przekonania, etyka, były to pojęcia naturze pani Mery obce. Jak jej mąż rozumiał n. p. poezję, ale jej nie odczuwał, tak ona rozumiała, co to jest moralność, ale jej nie miała we krwi. Nie przychodziło jej to poprostu na myśl. Etyka nie była żadną z potrzeb jej refleksji. Nie myślała o tem, bo jej to na myśl nie przychodziło. Jej wrodzoną etyką było: unikaj, co ci może zaszkodzić. Ale »kochaj bliźniego twego, jak siebie samego« było jej zupełnie obce. To nawet nie było wadą jej charakteru; było jego niedostatkiem. Gdy się zastanawiała nad samą sobą, przychodziła do przekonania, że właściwie zasadniczem, podstawowem tłem jej duszy jest nihilizm — i że jej z tem wygodnie. Była entuzjastką względem muzyki, ale nie czciła sztuki; robiła dobrze bez współczucia; bohaterstwo, poświęcenie, interesowały ją, jak chrześcijańskie kościelne obrazy wykształconego Japończyka, ale nie jak człowieka wiary. Naprawdę, w głębi duszy, nie szanowała niczego. Nie było tam żadnej świętości. Instynkty, żądze, upodobania, pragnienia, wypełniały ją całą; nie czuła ani braku, ani potrzeby czegokolwiek innego, jakiejkolwiek życiowej idei. Ale za to potrzebowała wrażeń i podlegała im z siłą zupełnie żywiołową, elementarną. To też teraz, kiedy Strzyżecki, o którego tożsamości z Saronim nie wątpiła, przyjechać miał do Warszawy, wyobraźnia jej, ta wyobraźnia, która ją doprowadziła do jakichś stanów kataleptycznych i do zupełnych halucynacji i widzeń na jawie, poczęła pracować.

Pani Mery zaczęła snuć przędzę marzeń. Naprzód przypomniała sobie wszystko od początku ich wspólnej znajomości, potem wszystko, co zaszło, potem równocześnie poczęła zastanawiać się nad swojem obecnem życiem i nad tem, jakieby pędzić mogła. I w miarę, jak spostrzegła powody, dla których mogła i powinna się była czuć niezadowoloną, w tęż miarę ogarniała ją tęsknota do innego życia i pragnienie wrażeń. I ogarniał ją niepokój.

Wiedziała, że nie trzeba sobie samemu szkodzić, i czuła, że zaszkodzi sobie choćby samem tylko sądzeniem swego życia, choćby samą tylko myślą o tem. Ogarniał ją przytem lęk. Bała się. Bała się męża. Ten człowiek o stalowych, wyrobionych konną jazdą i fechtunkiem mięśniach, który nie potrzebował podnieść głosu, aby rozkaz jego był spełniony przez najzuchwalszych ze służby tak szybko, jak myśl, który spojrzeniem zamykał usta: przestraszał ją. Dotychczas między nimi był stosunek oparty na wzajemnym układzie. Czorsztyński wziął pieniądze i nigdy nie dał uczuć pani Mery, że jest w praktyce głową domu; ona wzięła jego nazwisko i nigdy nie dała mu odczuć, że go postawiła majątkowo. Ale bądź co bądź, Czorsztyński zrobił mezaljans i on się zniżył ku niej, a ona podeszła ku niemu. Ona mogła za niego chcieć wyjść w każdym wypadku, nawet, gdyby się urodziła Czorsztyńską, jak on; on nie byłby na nią spojrzał inaczej, jak przez monokl, gdyby był nie potrzebował posagu. Oboje to doskonale o sobie wiedzieli. Gdyby przyszło między nimi do scysji, ona mogła mu wyrzucić, że zapłaciła za niego długi i stworzyła mu wielki dom; jemu wystarczało tylko ją zmierzyć wzrokiem. Samo wyobrażenie tego spojrzenia paliło ją i krew jej rzucało do głowy. On, potomek trzydziestu senatorów, z herbem z czasów Bolesława Śmiałego, i ona, wnuczka Gabrjela Gnieznowera.

Przygryzła wargi i uczucie nie niechęci, ale nienawiści jakiejś prawie budziło się w niej dla męża.

Dotychczas nie zastanawiała się nad tem, nie nasuwało jej się to na myśl, nie miała przyczyn, któreby jej to nasuwały. Za dużo posiadała i zyskała, aby zdobyć się na chęć podobnych refleksji. Nie chciała sobie psuć wrażenia. Ale teraz...

Zaczynała wewnątrz wybuchać. Zdawało jej się, że już jest jakiś powód do scysji, że on ją już upokarza, że ta chwila zmierzenia się i jej koniecznej klęski już nadeszła.

Bo cóż ona mu powie?! »Wziąłeś pieniądze mego ojca...« A on jej może powiedzieć: »Twój ojciec byłby mię w but pocałował, bylebym tylko wziął« — i to będzie prawda. Ojciec nie mógł ukryć swego szczęścia; rozpływał się poprostu. Potem on położy rękę na głowie swego charta, który pochodzi z królewskich chartów szkockich, albo pójdzie do swego Farysa, który ma w woreczku zaszyty rodowód, i będzie się czuł bliższym tych rasowych zwierząt, niż jej, wnuczki Gabrjela Gnieznowera, choć tak pięknej, choć może księżniczki z czasów, kiedy o wojewodzie Czorsztyńskim z trzynastego wieku, o Szkocji i rodowodach końskich nikomu się jeszcze nie śniło.

I ogarniał ją bunt i gniew.

Brała wtedy swój długi hiszpański sztylet w rękę i biegała po pokoju, uderzając nim o suknię, albo stawała przed lustrem z błyszczącemi oczyma, z rozdętemi nozdrzami, z zębami błyszczącemi, jak u pantery. Rozpalał ją, roznamiętniał własny widok. Byłaby chciała teraz mordować, albo się nieludzko pieścić. Albo siadała do fortepianu i zaczynała grać w najdzikszy sposób.

— Co ty grasz? — spytał jej mąż, słysząc raz te fantazje.

— Marsz do ziemi Chananejskiej — odpowiedziała z uśmiechem.

Ledwie niedostrzegalny tyk niezadowolenia przemknął po angielskiej twarzy Czorsztyńskiego. Trzymał się niewymówionych głośno punktów ugody.

Dzień premjery się zbliżał a wraz z tem rósł niepokój pani Mery. Już miewała sny niepokojące i jakieś myśli nachodziły ją dziwne i niezdrowe. Mąż, dziecko, dom, zaczęło jej się stawać nieznośne. »To nie powinien być twój mąż, to nie powinien być twój dom!« — krzyczało jej coś w duszy. Czuła się tu obcą, wszystkiemu obcą. To jest dziecko, które miał Czorsztyński z nią, ale to nie jest jej dziecko z kochanym człowiekiem. Poczęła je namiętność i oddanie się przez próżność, nie miłość. Ten dom — urządzony za jej pieniądze nie dla kochanego człowieka. Niema tu jednego mebla, postawionego przez nią z myślą o »nim«; wszystko to stawiał tapicer i lokaje. Nie, nie! Tu, w tym domu, przy tym człowieku, przy tem dziecku, niema jej duszy. To hrabiowie Czorsztyńscy, Wiktor i Witold, urządzili sobie za jej pieniądze mieszkanie. Zagarnęli ją dla siebie, posiedli ją, zniewolili ją. Jak Ezaw za miskę soczewicy swoje starszeństwo,

tak ona za koronę hrabiowską życie swoje sprzedała. I cóż ma? Jest damą, nie będąc nią. Wszyscy w oczy się kłaniają, aby za oczyma mówiono o niej: »ta Żydówka!« Ona wie, że mimo całej swojej piękności i wdzięku, nawet pewien rodzaj odrazy i wstrętu budzić musi w tym świecie, w którym żyje. Za pieniądze, za pieniądze, wszystko za pieniądze!... Kupiła ich sobie, te ciotki księżne i tych stryjów książąt, ale nie może sobie kupić ich krwi. — »Nasza śliczna Mery«, a poza oczyma »ta Żydówka...« Brr!

Jednak, jednak...

I instynkt szeptał jej: nie chodź do teatru, nie spotkaj się ze Strzyżeckim, unikaj go. Tak, jak jest, nie jest dobrze, ale pomyśl, ileś zdobyła, ile masz?! Wiedziałaś przecież, że idąc za Czorsztyńskiego, nie przerobisz swego pochodzenia, nie zrównasz się. Zważ korzyści i zważ straty. Bądź co bądź korzyści są znacznie większe. Zrobiłaś podobny interes, jak wuj Hammerschlag na cukrze i na drzewie; na cukrze stracił dwakroć, na drzewie zarobił sześćkroć. Zawsze czterykroć zyskał. Płyń, lawiruj i czekaj. Może się coś zdarzy, co ci życie urozmaici, ale nie wychodź sama naprzeciw. Bo to wiesz, co czujesz, że tu coś złego czeka. Możesz owdowieć, możesz kochać kiedyś — niezadługo. Bóg wie, co jeszcze przyjść może, ale niech przyjdzie samo, nie wychodź ty naprzeciw...

Pani Mery, powróciwszy do domu z opery, pożegnała prędko męża, dawszy mu do zrozumienia, że ją boli głowa po teatrze i że wolałaby, aby spał w swoim gabinecie. Hrabia Czorsztyński, jak zawsze w podobnych razach, pocałował żonę w czoło, w usta i w rękę i wyszedł z pokoju. Jakie męskie, a jakie zimne były te pocałunki...

Saroni-Strzyżecki, mimo formalnej burzy oklasków, nie pokazał się. Reżyser musiał wyjść i przeprosić, że autor nie jest obecny w teatrze. Ale był. Była jedna loża, w której w głębi, w cieniu, siedział sam jeden młody mężczyzna, z długą brodą, w czarnych okularach, z włosami spadłemi nisko na czoło. Pani Mery widziała go i poznała. Zarost miał widocznie umalowany na czarno, okulary włożył naumyślnie. Nikt go nie znał w teatrze. Mąż wrócił z foyer z wiadomością, że o ile wiadomo, Saroni musiał nie przyjechać, bo w teatrze znają tylko jego impresarja, który nie umie, czy nie chce powiedzieć, gdzie sam autor się obraca.

»Lilja przy dolinach« miała powodzenie ogromne. Libretto zlewało się tu z treścią w całość, zupełnie jak u Wagnera. Znakomity muzyk-amator, hrabia Morski, zachwycony dziełem nad wyraz i unosząc się nad jego oryginalnością, miał jednak wrażenie, że gdzieś już niegdyś niektóre podobne motywy słyszał. Ale gdzie i kiedy? — nie mógł sobie przypomnieć... Hrabina Czorsztyńska pamiętała je doskonale: to były motywy z »Róży Saronu«, tylko obrobione przez mistrza.

— Genjusz! — krzyczał Morski, żywo, jak zawsze. — Gdybym wiedział, gdzie jest, tobym mu poszedł lakierki otrzepać rękawiczkami. Niech pani słucha, co to za melodja! Żeby go piorun trzasł! A to — przecie cud, czysty cud... Bumm!... Nie, ratujcie mię święci Pańscy! Przecie to Wagner i Mozart razem... Znowu bumm!... Fiut! Nie wytrzymam!

Pani Mery nie słyszała, co mówił Morski. Nie słyszała nic, nawet wydawało jej się, że nie słyszy muzyki. Bo tam, na scenie, Ada, »Lilja przy dolinach«, to była ona, a Itamar, to był on, Strzyżecki, a ten Sfinks olbrzymi, u którego stóp Itamar padł martwy, zabity trucizną, to była Dola, to był Los, a ta niewola egipska, to była niewola życia. Ona jedna to zrozumiała, ona jedna to odczuwała, dla niej jednej napisał to Strzyżecki, i aby do jej stóp przyjść, ta opera obiegła cały świat w tryumfie.

Tak, tak, to jest jej tryumf. To u jej stóp leży dzieło, które u swoich stóp położyło tyle wieńców kwiatowych; to u jej stóp położył to dzieło swoje człowiek, który teraz mógłby niewątpliwie, gdyby chciał, jak drugi Mazepa, z włosów kochanek upleść drabinę.

Hrabina Czorsztyńska uczuła, jak się w niej coś wydyma. Miała uczucie, iż wewnątrz niej pęcznieje balonik gumowy. Rósł, rósł, wypełniał się, zaokrąglał — i nakoniec — o dziwo! hrabina Czorsztyńska uczuła w sobie tego bankiera z *Fliegende Blätter*, którego oglądała przedwczoraj, bankiera z brzuchem wydętym, jak balon z wydętemi wargami, z załamanym nosem, z zadartem podgardlem i z założonemi za pachy kamizelki palcami u rąk. Pani Mery zaczerwieniła się i powieki w dół jej opadły.

Tymczasem na scenie działy się dziwne rzeczy. Ada, która jest winna śmierci Itamara, błąka się gnana wyrzutami sumienia po pustyni, przychodzi do stóp Sfinksa. Jest noc księżycowa. W duszy Ady jest chaos i wir, który nakoniec wybucha olbrzymią arją do Sfinksa, tego wcielenia wszechtajemnicy. I Sfinks odpowiada. Wiolonczele, basy i trąby, związane w chór, tworzą jakąś symfonję metaliczną, którą Sfinks odpowiada. Wywiązuje się jedyny w swoim rodzaju duet między istotą żywą a symbolem martwym, duet tak kunsztownie poprowadzony, że Sfinks jakoby mówił słowami. I Ada i publiczność rozumie wszystko. Na każdą frazę Ady Sfinks odpowiada przedziwnie skonstruowaną melodją, pełną wyrazu. Rozmowa staje się porywającą. Przez usta Sfinksa przemawia Czas, Przestrzeń, wszystko to, co dla człowieka jest zagadką. Na namiętne, gwałtowne, wijące się, jak wstęgi błyskawic, frazy Ada, odpowiada spokojna, poważna, głęboka melodja Sfinksa. Widać, że to mówi coś, co jest niemal odwieczne i niemal wieczne, coś, co jest prawie boskie. Śpiew Ady rwie się w niebo; tu odpowiada to, co człowiekowi

odpowiedzieć może: ziemia. Sfinks jest jakby symbolem ziemi jej uosobionem przedstawieniem. I tak jest zawsze: człowiekowi odpowiada tylko ziemia.

Publiczność jest wzruszona. Gdy Ada upadła zemdlona u stóp Sfinksa, nikt nie śmie klaskać, wszyscy mają dech zaparty. Wówczas w orkiestrze zaczyna się śpiew fletów, skrzypiec i wiolonczeli, o liryźmie zupełnie niewysłowionym. Przez pustynię przechodzi anioł śmierci, ciemne, skrzydlate widmo. Idzie w głąb pustyni.

Groza jakaś przenika przestwór. Powietrze drży. Tylko ziemia i niebo są spokojne. Sfinks i księżyc.

Ada leży zemdlona. Po przejściu anioła śmierci powietrze się ucisza i podnosi się melodja orkiestralna niermiernie wysokiego nastroju, niesłychanie czysta i nadziemska. To jakby dusza Ady, ta oderwana od ciała i wyzwolona z niego, odzywa się ponad nią. Morski, który swoim zwyczajem kręcił się po teatrze, wpadł znowu do loży pani Mery i jedyne słowo, jakie kiedy niekiedy może wypowiedzieć, jest: »psiakrew! psiakrew!...« Bo istotnie to jest pieśń »Lilji przy dolinach«, to jest lilji przy dolinach pieśń...

— Jakże strasznie on kogoś kochać i uwielbiać musi, ten złodziej! — szepce do pani Mery Morski.

Ale pani Mery rozumie. Ada musiała zemdleć, anioł śmierci musiał koło niej przejść, aby jej dusza mogła tak czystą, tak piękną, tak nadludzko wysoką pieśń w sobie znaleźć.

— To nie twoja dusza, o Mery — słyszy hrabina Czorsztyńska — to dusza, która jest za tobą, ta, którąś ty powinna mieć...

Nadęty, gruby bankier, z załamanym nosem i zadartem podgardlem poczyna się w oczach pani Mery przeistaczać w zjawisko świetlane i powietrzne. Ona chce mieć taką duszę, jaką Strzyżecki w niej śnił. On się myli — ona ma taką duszę, ona jest taką, jak tam.

Wtem wszystko pierzchło. Z pod ziemi gdzieś odzywa się głos. To głos Itamara. Miłość jest silniejsza, niż śmierć. Pani Mery wybucha płaczem. Nie zwraca na to uwagi, bo cały teatr płaczem wybuchł. Ten śpiew głazy grobu i nasyp ziemi ruszył i przeszedł. Jest to jęk, od którego zda się, że sam Sfinks zadrżał. Bo najpotężniejszem słowem na świecie jest tęsknota...

Pani Mery płacze. Wszystko jej jedno, czy księżna Zasławska i hrabina Wyczewska także płaczą i czy to nie jest »żydowska histerja«. Pani Mery płacze, poprostu zalewa się łzami. Morski ryczy bez ceremonji. Mówi: »a psiakrew!... a psiakrew!...« — i ryczy. Nawet hrabia Czorsztyński podkręca wąsa i marszczy brwi. Pani Łódzka w przeciwległej loży utonęła cała we łzach. Morski widzi to wśród swoich własnych łez, kiwa do niej ręką i krzyczy: »A to złodziej! co?!«

Arja się kończy. Z początku jest milczenie, potem ryk. Mattini będzie bisował. Mattini śpiewać musi po raz trzeci.

Robi się cisza w teatrze. Orkiestra ustaje grać na chwilę. Wchodzi orszak służebnic Ady i znajduje ją zemdloną.

Pani Mery widzi, że mężczyzna w loży, o którym przypuszcza, że to jest Strzyżecki, siedzi z łokciem opartym na dłoni i z zasłonioną twarzą. Nie wątpi, że to on. Serce bije jej w piersi i doznaje jakiegoś dziwnego uczucia. Chciałaby, aby cały świat wiedział, ze to ona święciła tryumf na całym świecie, a zarazem, aby o tem nie wiedział nikt. Chciałaby, aby się to trąbiło ze wszystkich wież Europy i Ameryki, a zarazem, aby był gdzieś cichy kąt, gdzieby tylko ona sama to wiedziała. Chciałaby, aby wszyscy ludzie patrzyli na nią, a zarazem, aby gdzieś, w jakiemś ustronnem miejscu ona sama jedna popatrzeć mogła w oczy Strzyżeckiego.

Pani Mery czuje doskonale podwójność swojej natury, jest za rozumna, aby sobie ze wszystkiego na świecie niezdawała sprawy. Ona widzi w sobie wszystko, tylko nie wszystko w sobie sądzi. Na to trzeba mieć tę etykę, której braku ona nie odczuwa. Widzi, a ponieważ jest niesłychanie rozdrażniona i wszystkie władze jej umysłu są w najwyższym stopniu napięte: pobudzona między innemi i rozdrażniona jej ironia nabrzmiewa aż do autoironii i przed oczyma pani Mery balansuje w powietrzu gruby, nadęty, śmieszny i antypatyczny, karykaturalny bankier z *Fliegende Blätter*, z zatkniętymi za pachy kamizelki palcami, z załamanym nosem, wydętemi wargami i zadartem podgardlem, który co chwila prześwietla się, eterycznieje i przelewa w powietrzne zjawisko, w postać kobiecą z tęczy i białego, przejrzystego obłoczku.

Pani Mery jest w stanie takiego rozprężenia nerwów, że wszystkie światła teatralne zaczynają w oczach jej dostawać twarzy potwornie brzydkich, śmiejących się, cudacznych, wykrzywionych, podobnych do masek klownów na progra-

mach afiszów cyrkowych. W końcu cały teatr zamienia się w potwornego pająka, w jakąś straszną istotę pełną śmiechu. Zdaje się jej, że wszystko ryczy śmiechem: loże, krzesła, kinkiety, kulisy i kurtyna.

— Chora jestem, czy warjuję — myśli pani Mery.

Chciałaby wyjść. Ostatni akt dobiega do końca. Ada, jako żona jednego z egipskich monarchów, przechadzała się po ogrodzie. Dziwny, obcy śpiewak, o bronzowej cerze, jakiś Etjopczyk, stoi oparty o filar altany. Pani każe mu śpiewać. Rozbrzmiewa kolosalna, rwąca serce warjacja na temat Schumana:

Ich grolle nicht. Wie auch das Herz mir bricht
Ewig werlor'nes Lieb', ich grolle nicht.
Wie du auch strahlst in Diamantenpracht,
Es fällt kein Strahl in deines Herzens Nacht...

Ich grolle nicht. Ich sah dich ja im Traum,
Und sah die Nacht in deines Herzens Raum,
Und sah die Schlang', die dir am Herzen frisst,
Ich sah, mein Lieb', wie sehr du elend bist...

Morski, który zna muzykalność pani Mery i dlatego lubi na operze siedzieć w jej loży, dostaje formalnej astmy. Krótka pieśń Schumana przeistacza się w olbrzymią arję, z' zachowaniem całej grozy i wspaniałości pierwotnego tematu. Są to warjacje podobne do pożaru chmur na niebie naokoło słońca w jesienny zachód dnia.

Pani Mery jest zupełnie nieprzytomna. Na szczęście, bardzo wiele osób jest równie nieprzytomnych i nikt na to nie zwraca uwagi. Nie wie, jak ją sprowadzili ze schodów, ani jak ją wsadzili do karety. Wie, że ją Morski mnóstwo razy pocałował w rękę w loży i na schodach. »Wylewał burzę we łzy roztopioną« w tej formie. Potem widziała, że poleciał gdzieindziej, aby to samo robić.

— Czysty bzik — powiedział, patrząc na niego, hrabia Czorsztyński, który w ogóle artystów nie lubił, Morskiego jednak tolerować musiał, ponieważ byli krewni.

Czorsztyńskiego ze swej strony Morski nazywał »lakierowaną cholewą«, z czem się zresztą i przed panią Mery nie taił.

Pani Mery przyjechała do domu zupełnie bez myśli, w jakimś stanie hypnozy; panny służące rozebrały ją i położyły do łóżka. Mąż na szczęście prosto z teatru pojechał do klubu. Pani Mery zasnęła »snem kamiennym«.

Nazajutrz poranne pisma doniosły rozentuzjazmowanemu miastu, że Mirjam Saroni nie jest nikim innym, tylko »rodakiem« i t. d... Władysławem Strzyżeckim. Jedno z nich przypomniało nawet upadek »Róży Saronu« i stanowcze ze strony recenzentów odmówienie talentu »dzisiejszemu mistrzowi«, »tryumfatorowi« etc. etc...

Iskra elektryczna przeleciała tłumy. Drugie przedstawienie opery przeszło o wiele pierwsze. Strzyżecki niesłychaną liczbę razy musiał się kłaniać ze sceny, a wieńcami można było obdzielić podług Morskiego »cztery karawany kandydatów na krakowską Skałkę«. Pani Mery na tem przedstawieniu nie była; nie chciała pójść, coś ją wstrzymywało. Na trzeci dzień pani Łódzka, której salon był najartystyczniejszy w mieście i u której bywali wszyscy, od dołu do góry, wyprawiała dla Strzyżeckiego olbrzymi raut na kilkaset osób.

Między panią Mery a jej mężem nie było zupełnie o Strzyżeckim mowy. Wzajemna, milcząca umowa wyłoniła z siebie nowy paragraf. Przy obiedzie, przed operą, na którą się państwo Czorsztyńscy wybierali, pani Mery odezwała się:

— Jak wiesz, mamy zaproszenie do Łódzkich. Czy pójdziemy?

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł najobojętniej hrabia Czorsztyński, dodając szybko to, co powinien był, zamiast poprzedniego frazezu, powiedzieć:

— I owszem, jeżeli masz ochotę.

Pani Mery umoczyła usta w likierze, a jej mąż zapalił cygaro, ponieważ pani Mery pozwalała palić przy sobie, kiedy nikogo nie było. Potem wstali, i ona nadstawiła mu policzek, było już bowiem po obiedzie.

Ach! Jakżeż to wszystko wydało się dziś pani Mery wstrętne! Je i pije za jej pieniądze i w zamian za to ofiaruje jej swoją zawsze jednakową chłodną dobrą formę. Ma z nią dziecko, ale nie miesza się do niczego, co się w niej dzieje. Wie, co było między nią a Strzyżeckim, ale bierze dwakroć

sto tysięcy rubli rocznie, czuje się w obowiązku pozostawienia żonie zupełnej swobody wewnętrznej. Zresztą, co ona go obchodzi? Ona jest okienkiem, przez, które kasjer bankowy wypłaca pieniądze. Jest piękna, więc może dać rozkosz. Pani Mery jest nawet pewną, że odkąd jest zdrowa, Czorsztyński znowu jej się nie sprzeniewierza.

To przecież nie jest żaden mąż!

Co to za mąż?!

Lakierowana, świecąca, chłodna, sztywna, elegancka »cholewa«!

— Ciekawam, gdybym przekroczyła te konwenanse, gdybym chciała naprzykład pójść do Strzyżeckiego...

A nie! Wtedyby wyjechało »nazwisko«, »przecież nosisz moje nazwisko...« »Moje nazwisko« — akcentuje pani Mery z pasją, udając głos męża.

Nazwisko, to nazwisko, za które się sprzedała razem ze swoją urodą, bogactwem, inteligencją, duszą! Cóż ma? To, że kiedy szach przyjedzie do Warszawy, to i ją zaproszą na galowe przedstawienie w teatrze i do foyer dla prezentacji; że arystokracja, z którą się spotka podczas lata w Ostendzie, albo w Karlsbadzie, nie kłania jej się w Warszawie z uśmiechem, »a bardzo mi przyjemnie«; że nie jest już więcej »osobą wizowaną« przez różne arystokratyczne babcie, ciocie i mamy, ponieważ cel dopięty. Nie mówi się już o niej więcej, jak o klaczy wyścigowej, na której można dużo wygrać. Zadanie jej życia, takiej panny Mery Gnieznower-Gnieźnieńskiej, spełnione: »nawiozła« swoim posagiem arystokrację. Wuj Hammerschlag, który był przeciwny jej małżeństwu, powiedział jej ojcu, kiedy ona była we drzwiach pokoju: »Weisst du, Rafał, co oni, ci panowie, mówią o Mery? Że to jest nawóz na ich grunt. Weisst du, co oni mówili, kiedy ona miała czternaście lat? Oni mówili: niech tylko dojdzie, a potem ją chapniemy. Und weisst du, Rafał, co oni będą mówili potem? Że ten stary Rafał Gnieźnieński to jest ogromny osioł!«

Ojciec się wtedy ledwo potrafił uśmiechnąć, jak »do dowcipu«, ale miał wspólny interes z wujem Hammerschlagiem.

Zadanie jej życia, takiej panny Mery Gnieznower-Gnieźnieńskiej, spełnione: »nawiozła«, podgolałą arystokrację. Hrabia Czorsztyński jest znów pan całą gębą, nowe pokolenie Czorsztyńskich będzie znowu bogate i świetne. Bujne to będą kwiaty po takim »nawozie«, kilkanaście miljonów...

Przeszła do pokoju mamki. Mały hrabia Czorsztyński spał w kołysce. Nachyliła się nad nim.

To dziecko było jej jakieś obce. Niby kochała je, a nie czuła go sobie bliskiem... Przedewszystkiem to dziecko nie będzie jej nigdy kochało.

Pani Mery jest za inteligentną, aby sobie z czegokolwiek nie zdawać sprawy. Nie dość, że to dziecko będzie urodzone »z Żydówki«, ale na swoje nieszczęście jest podobne do wuja Hammerschlaga. Młodzi Morscy, Wyczewscy, Zasławscy, Tęczyńscy będą je nazywali »Wiczo«. Całe życie będzie nosiło przydomek »Wicza«. »Mezaljans« ojca będzie jego zmorą.

W drzewie genealogicznem młodzi Morscy, Wyczewscy, Zasławscy, Tęczyńscy nie napotkną się przynajmniej oficjalnie; ono się potknie. Jeżeli zrobi się coś nie *noble*, będzie się mówiło: »nic dziwnego!« O jego rówieśnych w podobnych razach nic się nie będzie mówiło. Jeżeli mu się będzie podobała jakaś kobieta nie z arystokracji, powie się: »no, ty możesz«. Mężowi jej w dzień ślubu przysłał ktoś w prezencie garnitur spinek do koszuli z dziesięciokopiejkowych monet i dwa srebrne ruble, oprawne za spinki do mankietów. Nie opowiedział jej tego naturalnie on sam, ale jej to napisano w anonimowym liście. Ileż podobnych prezentów w najróżnorodniejszej formie dostawać będzie to dziecko! Doniesiono jej i to, że kiedy się jej syn urodził, hrabia Tęczyński powiedział: »No ten, żeby miał sto miljonów, Tęczyńskiej nie dostanie. Dość nam przyłbice zagięły nosy, nie potrzebujemy więcej.«

— »Wiczo« — myślała pani Mery, patrząc na dziecko.

Mąż spełniał warunki milczącej umowy; ponieważ dziecko było, zajmował się niem o tyle, o ile tego wymagała kurtuazja względem żony. Ale nie pocałował go nigdy. Tłómaczył, że za małe, że ma wstręt do małych dzieci.

Kazał je raz rozebrać mamce i oglądał nagie. Miało odstające wielkie uszy i wszystkie cechy budowy wuja Hammerschlaga. Jedyny raz wtenczas Czorsztyński nie pohamował się i zaklął coś pod nosem. Od tego czasu, o ile mógł, unikał widoku syna.

To dziecko więc skazane było na to, żeby się wstydzić matki i żeby być wstydem swego ojca. Mały Hammerschlażek - Czorsztyński, z nosem, jak kartofel, z wywiniętemi wargami, z za grubym kadłubem i za cienkiemi

krzywemi nogami. Będzie miało brzydki chód i będzie tchórzliwe.

»Eques polonus sum, his omnibus par...«

Pani Mery zgrzytnęła zębami.

W teatrze, na wyścigach, na balach, wszędzie będą je sobie pokazywali: »Patrz-no, patrz-no, Wiezo Czorsztyński...«

Dziecko będzie to czuło, będzie musiało to czuć, będzie musiało znać różnicę między sobą a młodymi Wyczewskimi, czy Zasławskimi, i będzie albo impertynecko-aroganckie, albo potulne i usuwające się na bok. Ileż mu razy dzieci Jana Czorsztyńskiego, urodzone z panny de Saint-Martin z wyprawy krzyżowej, powiedzą przy zabawie, że inna krew płynie w nich, a inna w niem...

Pani Mery patrzała na dziecko z żalem, ale i z niechęcią. Nie czuła się dumną, że urodziła Czorsztyńskiego, ale czuła się upokorzoną i rozżaloną, że jej syn, z niej, będzie się czuł niższym od innych — *przez nią!... przez nią!...* Z jakimże zachwytem, szacunkiem, zazdrością byłaby patrzała na to dziecko, gdyby to było *pańskie* dziecko, czystej krwi, pełnej »błękitnej« krwi...

Gdyby mogła mieć takie dziecko, takie pańskie, takie *zupełnie pańskie* dziecko...

Pani Mery była tak rozdrażnioną, że łzy zaczęły jej się kręcić w oczach. W tem mały obudził się i zaczął płakać. Wykrzywił się przytem tak rasowo, że pani Mery odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju mamki, trzasnąwszy drzwiami.

— Gdybym była tak głupia, jak inne — szeptała do siebie — ale ja jestem tylko tak próżna...

I na trzeciem przedstawieniu powtórzyły się owacje dla Strzyżeckiego. Siedział on w tej samej loży parterowej, co zawsze, ale tym razem loża ta nie była pusta. Mnóstwo panów przesuwało się przez nią, w ukłonach i komplementach. Morski raz wraz tam wpadał, porywał Strzyżeckiego w objęcia i ściskał. Jego wykrzyki: »Ty bestjo!« i »Proszę mi pokazać takie drugie bydlę!« — rozlegały się na cały teatr, budząc śmiech. Loża była zasiana kwiatami, rzucanemi do niej i posyłanemi przez panie. Strzyżecki kłaniał się od siebie, ale nie szedł nigdzie. Był widocznie bardzo zmęczony.

Pani Mery siedziała w swej zwykłej loży na pierwszem piętrze, prawie *vis-à-vis*. Uważała, że rzucił na nią okiem, zobaczył ją i więcej nie popatrzył. Wrażenia, jakie to mogło na nim sprawić, dojrzeć nie mogła.

Ona sama była w dziwnym stanie. Nerwy jej były rozstrojone i napięte, a pozornie, zewnętrznie, czuła się jak gdyby spokojną. Miała takie uczucie, jakby była we mgle, albo raczej jakby była stawem górskim, rozfalowanym od wiatru, którego fal nie widać pod gęstą, wilgotną mgłą. Jeżeli mgła nie zejdzie, oczom wędrowca nie ukaże się burza.

Pani Mery nie zdawała sobie sprawy: co będzie? co być może? Nie zdawała sobie także sprawy ze swego wewnętrznego stosunku do Strzyżeckiego. Czuła, że jej drgają usta i że coś jakby je łaskotało i drażniło. Czuła też, że coś powstaje w niej, że coś się w niej tworzy i to wskutek spotkania się ze Strzyżeckim; ale co? — nie umiałaby nazwać. Było to jakieś niezadowolenie i jakieś pragnienie, jedno i drugie nieskrystalizowane jeszcze. Przez jej mózg przeciągały czarne, mętne chmurki i błyskały w nim naprzemian światła i iskry. Czegoś przestawała chcieć i czegoś zaczynała chcieć. Czuła przytem obawę, czuła niepokój. Pierwszy raz w życiu naprawdę zaczynała się bać. I instynkt jakiś mówił jej: »cofnij się«. Ale wiedziała, że się nie cofnie, że pójdzie. Nawet najprawdopodobniej zaryzykowałaby ogromnie

wiele. Dlaczego? Nie umiałaby tego nazwać: *coś* ją ciągnie i popycha naprzód. Miała w sobie to uczucie, jak ogromnie silny i pewny siebie atleta przed spotkaniem z nieznanym, a słynnym przeciwnikiem: mógłby się cofnąć, mógłby się poprostu nie zgodzić do walki, i niktby mu tego za złe nie wziął, ale *coś* pcha go do niej. Drży z niepokoju, z obawy, że może jest słabszy, jednak *coś* zmusza go zaryzykować, wystąpić.

Tak i pani Mery. Jest spokojna i siedzi niewzruszona w swej loży, ale jej koronkowa chusteczka zamieniła się powoli w strzępki.

Pani Mery rozgląda się po teatrze. Pani Tęczyńska, księżna Zasławska, pani Wilhelmowa Kufkowa, pani Karolowa, pani Goldblumowa, pani Heisslochowa, hrabina Wyczewska, pani z Wyraj-Trzemeskich Schwalbowa, pani Kraśnicka, pani Lilienrauchowa, pani Łódzka, pani Skulska, pani Skrawska, pani Feigenstockowa, tak...

To jest jej świat, jeden i drugi...

Hrabia Tęczyński, książęta Zasławski i Zbarazcy, starsi i młodsi panowie Reinowie, Skulscy, Schwalbowie, Goldblumowie, Lilienrauchy, Feigenstocki, wszyscy mieli prześlicznie skrojone fraki i prześlicznie wyprane kołnierzyki i szli na raut do państwa Łódzkich — tak...

A tam — tam jest taka ogromna masa światła, dźwięków, kwiatów, taka jakaś ogromna przestrzeń, jakby niebo i jakieś duchy jasne i powietrzne...

— O czem myślisz? — odzywa się do niej mąż.

— O... niczem — odpowiada pani Mery.

Mąż uśmiecha się i kłania lekko, a uprzejmie głową. Nie pyta nawet: »Czyż tak?...« Jeden z paragrafów wzajemnej milczącej umowy.

Pani Mery uśmiecha się także, a jej paznogcie wbijają się w jej dłoń.

Nigdy nie przeszło jej nawet przez myśl, że może dobrzeby było tego człowieka zacząć spróbować kochać i czy nie dobrzeby było zacząć tego próbować? Ale teraz pani Mery czuje, że go prawie znosić nie może.

Elegancka »lakierowana cholewa!...«

Pani Mery rzuca na męża okiem, aby się przekonać, czy tego nie zobaczy, a następnie rzuca mu spojrzenie pełne niechęci, przesytu, prawie wstrętu i wzgardy.

Dostrzegł, że spojrzała na niego; robi minę: *co?*

— Zdawało mi się, że ci się krawat skrzywił — mówi pani Mery, a jej paznogcie wbijają się w jej udo przez suknię.

Ma ochotę syknąć. Ach! Jak ma tego dosyć...

Bo to mogło być dobre dla jakiejś panny Amelji Goldblumówny, albo Dosi czy Juli Blaudachówny, ale nie dla niej, nie dla niej, nie dla niej!... Jakieby były dumne, jakieby były wielkie!... Dla nich także nie dosyć mieć miljony, nie dosyć być pięknemi... hrabina Mela, hrabina Jula... Tylko na Czorsztyńskiego jednej pół miljona, drugiej siedmkroć — było za mało. On miał przecie tylu wojewodów w rodzie i tyle weksli u Żydów... Jemu trzeba było takiej złotej róży Saronu, takiej brylantowej lilji przy dolinach...

A tam znów Itamar kona na scenie, i zacznie się ta pieśń błądzącej Ady, i ten djalog ze Sfinksem, i ten hymn końcowy...

Pani Mery nie chciała prosto pojechać z teatru do Łódzkich. Czuła się zmęczoną, a przytem jeżeli zagrać, to grubo. Wiedziała, że wszystkich oczy zwrócą się na nią i na Strzyżeckiego, postanowiła więc zwrócić je jeszcze więcej. Usta jej wydęły się wzgardliwie.

Chciała przytem i ze Strzyżeckim, jeżeli już mają się spotkać, spotkać się oko w oko, wyzywająco. Wejść razem z innymi, w tłumie, spotkać się w tłumie — nie, to nie dla niej. Jeżeli pierwsze wrażenie będzie pospolite, to wszystko dalej będzie pospolite. Niech się wszyscy naprzód zapoznają z nim, wywitają, niech minie pierwsza róża. Potem wejdzie ona — »lilja przy dolinach«.

Pani Mery miała na sobie przepyszną czarną suknię, stanik ubrany czarnemi różami, szeroką kolję świetnych pereł na szyi i we włosach brylantową gwiazdę. Kiedy się przejrzała w lustrze, wychodząc z domu, sama widziała, że wygląda jak zjawisko. Gorączka dni ostatnich zrobiła jej twarz więcej nerwową i interesującą. Jej przepyszne, olbrzymie ciemne oczy miały sine obwódki, co im potęgowało blask. Nigdy nie czuła się tak piękną. I wchodzić tak wraz z innymi, wraz z tłumem?... Ona!...

Weszła dumna, spokojna, z podniesioną głową, pani sytuacji. Postanowiła zaimponować i rzeczywiście zaimponowała. Zrobiło się cicho.

— Przeszła pani samą siebie — szepnął jej poufale pan Łódzki.

Uśmiechnęła się protekcjonalnie.

Wogóle postanowiła być chłodna, protekcjonalna, uprzejma, ale mało przystępna. Niech Strzyżecki uczuje, że jest hrabiną Czorsztyńską i że *jest nią*. A ci ludzie naokoło, ten »tłum«, niech patrzy i podziwia, o ile to są mężczyźni; zazdrości, o ile kobiety. Była najpiękniejszą i najlepiej ubraną.

Niemniej wewnątrz pani Mery czuła niepokój i obawę.

— Państwo znają pana Strzyżeckiego? — zwróciła się do Czorsztyńskich nieco zakłopotana pani Łódzka.

Pani Mery skinęła głową, a hrabia Czorsztyński podszedł ku Strzyżeckiemu, ponieważ w danej chwili tak wypadało. Pani Mery śledziła ich wzrokiem z za wachlarza; przywitali się nadzwyczaj uprzejmie, i na Strzyżeckim nie było znać żadnego pomieszania.

Pani Mery zdziwiła się i nie mogła zrozumieć. W chwilę później Strzyżecki zbliżał się ku niej z jej mężem.

Pani Mery zaczęło serce bić, ale uczuła na sobie mnóstwo oczu i panowała nad wyrazem twarzy.

— Nie potrzebuję ci, Mery, przypominać pana Strzyżeckiego, bo ci się sam przypomniał w teatrze — rzekł Czorsztyński.

Pani Mery podniosła się, jak się podnosi wielka dama przed znakomitym człowiekiem, i wyciągnęła ku Strzyżeckiemu rękę. Jej uścisk był krótki, zimny, ale i jego również. Pani Mery napróżno usiłowała uczuć drgnięcie; dłoń Strzyżeckiego nie zadrgnęła ani na ćwierć sekundy.

Pani Mery zdziwiła się jeszcze więcej i usiadła, po raz pierwszy w życiu nie wiedząc co powiedzieć. Obojętny uścisk Strzyżeckiego zdetonował ją zupełnie.

— Miło mi bardzo, że panią spotykam — odezwał się Strzyżecki tak spokojnie i tak z góry, choć grzecznie, że pani Mery uczuła, że traci grunt pod nogami.

Ton Strzyżeckiego był grzeczny, ale jego oczy mówiły: podobno, o ile sobie przypominam, całowałem cię tam kiedyś w jakiejś oranżerji, czy coś takiego... Nawet zdaje mi się, że tam podobno róże kwitły...

Pani Mery wzięła je umyślnie.

— I ja się również bardzo cieszę — odpowiedziała pani Mery, jak pensjonarka.

Czuła, że się rumieni, że ją krew oblewa.

Strzyżecki musiał to dostrzec, bo się leciutko uśmiechnął i usiadł obok z całą swobodą człowieka, który wie, że jest pierwszym w towarzystwie i chce w danym wypadku z tego korzystać.

Pani Mery czuła się czerwoną, jak piwonja, i byłaby wolała »w ziemię wpaść«.

— Zadowolony pan z Warszawy? — odezwała się, czując, że się odzywa jak sławna pani Józefowa Kufkowa, albo która z pań Nawiejskich z Klapowic Szlacheckich.

— Bardzo — odparł Strzyżecki. — Przecież pani widziała, że mi operę przyjęli bardzo dobrze.

— Tak...

Pani Mery wydało się, że ją perły duszą.

Strzyżecki zaś mówił z lekkiemi drwinami w głosie dalej:

— Anim się tego spodziewał po tamtej próbie...

Pani Mery nie wiedziała, co odpowiedzieć. Strzyżecki mówił tak, jak bogaty człowiek, któremu się zdarzyło, że mu brakło pieniędzy w drodze i musi pożyczyć od konduktora. Zrozumiała też, że Strzyżecki nie gra komedji, nie maskuje się. To wróciło jej przytomność i rozdrażniło ją.

— Pamiętam — odparła, patrząc mu śmiało w oczy.

On umilkł na chwilę i ich źrenice spotkały się z sobą.

Pani Mery postanowiła nie spuścić swoich. Ale on znowu się uśmiechnął i rzekł niedbale:

— Muszę pani podziękować.

— Za co? — podchwyciła pani Mery, która już się czuła panią swego dowcipu.

Strzyżecki roześmiał się:

— Nie pamiętam komu to z muzyków spadła cegła na głowę...

Pani Mery doznała uczucia, jakby jej kto dał w twarz. Strzyżecki drwił.

— A istotnie, — odpowiedziała, siląc się wpaść w ten sam ton chłodnego, obojętnego szyderstwa — czasem potrzeba dziwnych wypadków, spadających cegieł.

Spojrzała znów Strzyżeckiemu w oczy i znów ich źrenice spotkały się z sobą. Ale pani Mery była już teraz rozdrażnioną i gotową do walki.

Strzyżecki wyjął z kieszeni dewizkę od zegarka, przy której przyczepioną była kryształowa otwierana kulka. Pani Mery dojrzała w niej zamknięty listek róży.

— Cóż to jest? — spytała.

— Nie wiem: porte-bonheur, czy talizman.

— Jeżeli porte-bonheur?

— To napisałem »Lilję przy dolinach«.

— A jeżeli talizman?

— To nie napiszę drugiej.

Pani Mery uczuła, że teraz na nią kolej.

— Czy nie uważa pan, — wypuściła przez zęby — że w »Lilji przy dolinach« niektóre motywa przypominają »Różę Saronu«?

Strzyżecki odparł najspokojniej:

— O tak. Przecie obie te rzeczy powstały z jednego źródła.

Pani Mery znowu straciła grunt pod nogami.

— Tylko tamtą operę — mówił dalej — to mnie się tylko zdawało, że ją piszę *na serjo.*

Pani Mery znowu perły wydały się za ciasne. Wpadła w gniew. Wytoczyła ostatnie działo:

— Więc pan jednak czuł podobnie, pisząc to i tamto? Jej oczy upadły zuchwale na twarz Strzyżeckiego.

— Tak, ale wszystko, co czułem, wypisałem.

Nie mieli sobie już nic do powiedzenia.

— Czy pani zna »Wolnego strzelca« Webera? — spytał z uśmiechem.

— A pan czytał powieść »Powracająca fala«? — powiedziała pani Mery wyzywająco.

— Teraz czytam »Dusze w odlocie« — rzekł Strzyżecki, powstając z miejsca — a mam ochotę przeczytać tu w Warszawie »L'eanfant de volupté« — dorzucił.

— »Sen nocy letniej« — roześmiała się pani Mery pogardliwie i powątpiewająco.

— Dają go zwykle po »Burzy« — rzekł Strzyżecki, odchodząc.

Pani Mery wodziła oczyma po zgromadzeniu i uśmiechała się ironicznie. Przedewszystkiem przypominały jej się słowa wuja Hammerschlaga, który raz mówił: »To jest zabawne, ale w Polsce to tylko my Żydzi chcemy wyglądać po polsku. Bo patrz tylko: arystokracja chce wyglądać po angielsku, burżuazja po francusku, szlachta jak arystokracja. My jedni polscy Żydzi, my jesteśmy *polscy* Żydzi. Und es geht so, wie im Circus Renz in Wien, oder beim Busch in Berlin: w środku, *au milieu*, stoi, jak pan dyrektor w lakierowanych butach i przy ostrogach z batem w ręku — kto? stoję ja, stoi twój papa, stoi baron Blumenfeld, stoi Cypres, Pukeles i Spółka. I co my robimy? *Nous faisons le jeu.* My wołamy: *Monssieurs, mesdames, avancez, s'il vous plait! Et on avance, on circule.* Arystokracja, szlachta, mieszczaństwo. To się robi powoli, systematycznie, jeszcze to nie jest tak, jak być powinno, ale będzie, będzie, *ça viendra. Messieurs, mesdames, circulez!«*

Kiedy wuj Hammerschlag tak mówił, jego małe, zielonoczerwone oczy przybierały jakiś straszny blask, jego ruda broda zdawała się zaogniać, a krótkie, grube palce uderzały miarowo o stół, lub o poręcz fotelu. I wówczas wuj Hammerschlag lubił wypowiadać zdania w tym n. p. rodzaju: »*Sais tu, ma chérie,* jaka jest różnica między *nami*, a Napoleonem Wielkim? Że my lepiej kalkulujemy. *C'est ça.«*

Pani Mery wodziła oczyma po zebranych i doznawała wrażenia nudy i niesmaku i ogromnej czczości. Czczości przedewszystkiem dlatego, że nikt tu nikogo i niczego nie brał na serjo, i co zatem szło, przez nikogo też na serjo nie był brany. Całe zresztą to życie towarzyskie, które miała przed sobą, poza kwestją międzypłciową, ściągało się przedewszystkiem do dwóch czynników: do intrygi i plotki. Plotki nadewszystko!

Im gorzej, tem łatwiej, tem chętniej i gorliwiej wierzono. Jeżeli to była kobieta, rzucały się przedewszystkiem kobiety;

jeżeli mężczyzna, mężczyźni. Rozmaici »kawalerowie towarzyskiego przemysłu«, mający do zbycia nazwiska, talenty, majątki, łydki i ramiona, lub stosunki, uwijali się pośród innej młodzieży, jak szczupaki w stawie. »Praca« szła raźno, »opracowywano« dokładnie. Gdyby to, co mówiono, mogło przybrać plastyczne formy, trzy czwarte salonu państwa Łódzkich wyglądałoby jak szubienice, obwieszone od dołu do góry psiemi skórami.

— Mery, — mówił raz wuj Hammerschlag, kiedy wracali z pewnego wieczoru — ja jestem trochę ordynarny i żeby nie mój majątek, to i tybyś mnie przyjmowała w antiszambrze, i twój papa by mnie przyjmował w antiszambrze, i Wasserkranz — żebym tyle cierpienia miał, co oni po mnie i tak dostaną! — i wszyscyby mnie przyjmowali w antiszambrze, bo ja byłbym ordynarny. Ale tak, że ja jestem bogaty, to ja nie jestem ordynarny, tylko oryginalny. On jest trochę oryginał, stary Hammerschlag, trochę »swojego chowu«, ale zresztą to on jest bardzo »dobrze«, *trés comme il faut.* A ja ci powiem, jaki jest ludzki sąd, ja ci pokażę jego *valeur.*

Chopin c'était un grand musicien, n'est-ce pas? Otóż, żeby ten Chopin z grobu wstał i powiedział, że jest coś winien krawcom w Paryżu i w Londynie, toby o nim opowiedziano, że zarywa krawców i że się tem cynicznie przechwala, a nazajutrz miałabyś z tego punktu widzenia ocenę jego mazurków w jednem z pism poważnych przez innego kompozytora i odpowiedni wierszyk w którem\u015b z pism humorystycznych.

Ludzie są bardzo głupi: ludzie myślą, że wieża jest na to, żeby na niej siadały kawki, dudki i gawrony. Ale to jest usprawiedliwione, bo to jest interes. Każdy, co na drugiego wygaduje świństwo, a jeszcze oburza się, nasuwa myśl, że samby tego nie zrobił. Więc jak on dziesięciu ludzi oczerni, to się sam dziesięć razy w opinji ludzkiej obieli. A potem choćby sam zrobił trzy świństwa, to mu jeszcze siedm białych placków w pamięci ludzkiej zostanie. A i to wiedz, że ani się ludziom tyle chce jeść, ani tyle chce kochać, ile oni mają uciechy z cudzej szkody, *Schadenfreude.* Jeżeli ci się co uda, to ucieszy się piętnaście ludzi, ale jeśli ci się co nie uda, to się tylko pięć zmartwi, a sto pięćdziesiąt ucieszy. Uważaj zwłaszcza, jak krewni są sceptycznie usposobieni względem dobrej wiadomości, a jak wierzą każdej złej. Bo niema większego wymusu, jak w rodzinach. Albo ty słyszysz często w rozmowie: ja pana bardzo lubię — ja panią bardzo lubię.

To znaczy: idź do djabła! Między ludźmi w każdym salonie, przy każdym jadalnym stole jest tyle niechęci i zawiści, że żebym ja tyle chwały miał, tobym był jak drugi Pan Bóg. A co za mściwość! Jak tu nikt nic jeden drugiemu nie zapomni, nie daruje, nie wybaczy! Te stosunki, *ces relations*, na czem to wisi?! Jedno słowo, jeden zły humor, jedno nieusposobienie, rozbije to, rozerwie, znihiluje. Ja ci powiem śmiało, Mery, że trzy czwarte tych »stosunków«, tych »przyjaźni« polegają o tyle na wzajemnej nienawiści, o ile na wzajemnym takim albo takim interesie. Wszędzie, wszędzie interes! Mnie aż samemu czasem od tego obrzydliwie, chociem Hammerschlag.

Pani Mery, kiedy wodziła oczyma po licznem zgromadzeniu w salonie państwa Łódzkich, przypominały się zdania i uwagi wuja Hammerschlaga, ale zarazem ogarniało ją zdziwienie. Strzyżecki mówił z nią nietylko spokojnie, swobodnie i bez wzruszenia, ale nieledwie lekceważąco...

Wszystkiego spodziewała się, tylko nie tego! Jak to? Obojętność, zobojętnienie, absolutne i takie?!

Chodziła po dużym, pustym w tej chwili, salonie z balkonem, dokąd wyszła, i nie mogła się sama z sobą połapać! Jak to?! On, ten Strzyżecki, ten Strzyżecki, autor »Lilji przy dolinach«? Więc po cóż ją pisał? Czy może wypisał się? Ach, ci artyści! Ci poeci, ci muzycy, ci malarze. »Wypisze się to, wymaluje, wygra i wszystko się skończyło!«

Czy taki Strzyżecki nie powinien być u jej stóp, teraz, teraz właśnie, kiedy jest wielki, kiedy jest sławny, kiedy o nim mówią! Teraz dopiero nadeszła chwila: ona, hrabina Czorsztyńska, i on, *Strzyżecki!...*

Pani Mery tupnęła nogą. Naokoło było mnóstwo bibelocików, ale nie była u siebie w domu...

Cóż zrobić? Udać, że boli głowa i pojechać do domu? Dać za wygraną, jak pierwsza lepsza kokoszka? Może się jeszcze zmartwić, może to jeszcze okazać? Ona?! Uznać się za zwyciężoną?...

A — a możeby to było i dobrze? Możeby było i dobrze »upokorzyć się«?...

Dla Strzyżeckiego warto trochę z siebie zrobić ofiary.

Jak to?... Więc pozwolić na to, żeby on tu w Warszawie, *teraz,* znalazł się obok kogoś innego, może u czyichś innych stóp? U jakiejś pani Kraśnickiej, albo u jakiejś panny Mani, czy Frani? Nawet cesarz Wilhelm, nawet Napoleon

Wielki robił ofiary ze swojej dumy i miłości własnej dla celów politycznych. A przytem, a przytem, on jej się podoba... Tak, tak, podoba jej się. Po tym sprytnym i przytomnym, sztywnym sportsmanie, jakim jest jej mąż, jakże miło patrzeć na tego wielkiego artystę, jak ciągnie on do siebie!... Ach! Wszystkie pocałunki jej męża nie zatarły tych pocałunków, które on wycisnął na jej ustach tam, w oranżerji, pośród tych duszących róż...

I na wargi pani Mery weszło uczucie pewnego łaskotania.

Upokorzyć się, podejść, podczołgać się, jak wąż, ale jak wąż owinąć! »Dusze w odlocie«? Zobaczysz! »Ona!« »Ona« będzie miała tytuł romans, który ty teraz przeczytasz... Czekaj!... Niedokończony to jeszcze poemat... Z tej »Nieboskiej Komedji« urodzi się jeszcze taka »Vita Nuowa«, że jak »Książę Niezłomny« w więzach będziesz żebrać jałmużny — »Demonie«!

Pani Mery biegała już teraz, nie chodziła, po salonie, a przed innemi myślami nie mogło jej się w głowie pomieścić, że i jak Strzyżecki mógł tak zobojętnieć, bo że nie udawał, widziała. Poprostu była dla niego niczem.

To doprowadziło ją do zupełnej wściekłości, ale zarazem dawało jej jasną myśl. Walczyć w jakikolwiek sposób z człowiekiem, który jest obojętny, to jest groch rzucać na ścianę, ale upokorzyć się, uniżyć, wzruszyć, zmiękczyć, to może doprowadzić do zwycięstwa, zwłaszcza z taką naturą, jak Strzyżecki, miękką, wrażliwą, nerwową, skłonną do sentymentalizmu. Co nazywała *zwycięstwem*, co oznaczał ten wyraz: nie zdawała sobie sprawy. Jużci, gdyby chciała, aby ją wziął w ramiona, nie odmówiłby jej prawdopodobnie, ale tu chodziło o to, aby Strzyżecki był jej, należał do niej, siedział u jej nóg, nosił od niej kwiaty w butonierkach, aby go ona »pożyczała« na obiady i kolacje, aby jej powóz go odwoził i przywoził, aby Strzyżecki się w niej kochał. Co na to powie mąż? Ba! Przecież chyba za sześćkroć sto tysięcy zapłaconych długów i za dwakroć sto tysięcy rocznej renty teraz, a z pół miljona w przyszłości, miała chyba prawo do tego, aby Strzyżecki się w niej kochał. Czy nie?!...

Brwi pani Mery złączyły się, usta ścięły, a ze źrenic błysnęły błyskawice.

Nie?!

I stanęła w wyzywającej postawie...

Ale nie, nie trzeba męża drażnić. Wszystko to da się ułożyć spokojnie i bez skandalu, trzeba tylko sprytu, sprytu i jeszcze raz sprytu. No, a tego jej nie brak. Mądrzejsza jest, niż oni tu wszyscy razem. Prawa wnuczka genjalnego Gabrjela Gnieźnieńskiego-Gnieznowera.

Następnie szybko znalazła się w głównym salonie, z właściwym sobie tupetem podeszła ku Strzyżeckiemu, który rozmawiał z kilku paniami i, przysiadłszy się, w krótkim czasie mówiła z nim tylko sama. Panie kolejno się odsunęły, wyparte jej dowcipem i zręcznością rozmowy. Rzuciła za niemi jedno pełne pogardliwej litości spojrzenie.

— Panie Władysławie — odezwała się do Strzyżeckiego — poda mi pan rękę do kolacji?

— Boję się, że mi gospodyni zrobi ten zaszczyt.

— Nie, pani Łódzka weźmie pod ramię księdza.

— A jeżeli?

— To jej pan powie, że pan mnie poprosił.

— Kiedy to nie prawda.

Pani Mery podniosła na Strzyżeckiego oczy pełne niewysłowionego wdzięku.

— Powie jej pan?

— Powiem — odparł Strzyżecki, któremu nagle przymknęły się na sekundę powieki.

A pani Mery zadrgały i wyciągnęły się nieco usta: było jej tem łatwiej Strzyżeckiego »brać«, że potrzebowała tylko iść za instynktem.

— Wygram — pomyślała.

Była już pewna swego.

Potem odezwała się mięko i półszeptem:

— Przepraszam pana.

— Za co?

— Chcę być »duszą pokutującą«.

— Już mi pani zapłaciła wszystko.

— Czem?

— »Lilją przy dolinach«.

Pani Mery wyjęła jeden kwiat i wyciągnęła z nim rękę ku sercu Strzyżeckiego, mówiąc:

— Nie mam lilji i to nie dolina. To nawet góra... Ale pan ma już kwiat w butonierce.

— To nic, zmieszczę i ten. Co jest górą?

Pani Mery nie odpowiedziała, ale mówiła dalej:

— Góra, u której stóp trzeba budować ołtarze. Tam, na szczyt, tam niedostępnie, i...

— I co?

— I można dostać zawrotu głowy.

— I?

— Spaść.

— Gdzie?

— Do stóp góry, u których się postawiło ołtarz...

Patrzyli na siebie. Pani Mery hypnotyzowała Strzyżeckiego, w całą swoją wolę wciskając cały swój czar, którym czuła, że tchnie, jak wonią kwiat. Strzyżecki nachylił się i udając, że bierze jej wachlarz, pocałował ją w rękę.

— Jakże to łatwo! — pomyślała pani Mery. — Aż za łatwo!

Z jednej strony była kontenta, że ma w sobie taki czar, z drugiej prawie nie kontenta, że zaczyna tak prędko zwyciężać. Czuła się na siłach do cięższej walki. Zaczęła już uczuwać dla Strzyżeckiego pewne politowanie. Ale on jak gdyby odczuł to, gdy bowiem powstano, aby przejść do jadalnego pokoju, skłonił się przed panią Mery i rzekł:

— Przepraszam panią, ale nie pójdę z panią do kolacji.

Pani Mery krew napłynęła do twarzy, powstrzymała się jednak. O nic nie pytając, schyliła głowę i powiedziała:

— Zasłużyłam na karę i przyjmuję z pokorą.

Głos swój zmistyfikowała zupełną szczerością.

Strzyżecki najwidoczniej wzruszył się i uczyniło mu się żal. Stał przed nią zmieszany. Pani Mery zaś, ze schylonemi powiekami, odsunęła się wolno, robiąc mu miejsce, aby przeszedł mimo. W wyrazie jej twarzy była pokora, w ruchu ciała hołd i uszanowanie. Strzyżecki zawahał się, przystanął i rzekł w końcu:

— Podać pani ramię?

Pani Mery przyjęła je z wyrazem dumy i prawie szczęścia. W tej chwili nie potrzebowała udawać.

— Hrabina zawsze zwycięża — rzekła pani Łódzka, podchodząc. — Nie śmiem rywalizować. Ale miejsca są oznaczone kartkami...

— To droga pani każe przełożyć kartki — odpowiedziała pani Mery, posuwając się naprzód, z mało ukrywaną nonszalancją w głosie.

— Ależ... — próbowała protestować pani Łódzka.

— Oh! to tak mała rzecz. A skoro pan Strzyżecki *mnie prosił* — zaakcentowała.

— Ale będą państwo mieli obok panią Hipolitową Wysianowską — rzekła pani Łódzka. — Zdaje mi się, że panie nie lubią...

— Zapewniam panią, że tylko ona mnie — odparła z lekceważeniem pani Mery, pociągając Strzyżeckiego naprzód.

— Arogancka Żydówka — syknęła w myśli pani Łódzka.

— Krowa szwajcarska! — odwzajemniła jej się myślą pani Mery, posyłając jej równocześnie uśmiech, tak misternie skonstruowany, że mógł oznaczać: »jaka pani dobra!«, albo wyrazić równie pospolitą, jak obrażającą propozycję.

Poczem podniosła na Strzyżeckiego oczy, zupełnie podobne do dnia.

Szalony, bezdenny smutek zalewał duszę pani Mery. Wszystko, wszystko w proch było rozbite. W cóż się obróciły jej piękność, jej bogactwo, jej rozum? Była hrabiną Czorsztyńską i na tem koniec.

Okryte pianą konie pędziły już dziesiąty, czy jedenasty raz wzdłuż Alei Ujazdowskich, tam i z powrotem.

— Prędzej, prędzej! — wołała pani Mery, a konie rwały, aż ziemia z pod kopyt wylatywała z furkotem. Jesienny, chłodny wiatr bił w twarz pani Mery, a tak samo uderzały o jej duszę gwałtowne fale smutku.

Otchłań ciemna, głęboka, zatęchła i ponura, otwarta była przed nią. Nie chciała w nią już dalej iść, nie! nie! Nienawidziła swego męża, nienawidziła swego dziecka, nienawidziła swego domu, wszystkiego! wszystkiego! Dusiła się...

— Prędzej! — wołała na stangreta, który był prawdziwie zażenowany, bo jakże konie hrabiego Czorsztyńskiego miały galopem chodzić przy powozie? Czy to strażacki wóz, czy co?!...

— Prędzej!

Stangret odwrócił się do niej z twarzą równie zdziwioną, jak zindygnowaną.

— Czemu nie jedziesz prędzej? — zawołała pani Mery.

Tu stangret, który sługiwał po pańskich dworach, u Zasławskich, u Tenczyńskich, miał już za dużo; spojrzał z politowaniem na tę »Żydówkę« i, przytrzymując konie, wycedził z akcentem:

— *U nas*, proszę pani hrabiny, nie wypada jeździć galopem w powozie.

Panią Mery krew oblała: przed sobą miała grzbiet stangreta i konie, idące wyciągniętym wprawdzie, ale kłusem. Co?! Za jej pieniądze ten! W swoim własnym powozie, za swoje własne pieniądze, nie może tak jeździć, jak chce, bo na powozie jest herb jej męża?! Co?!

— Wracaj! — krzyknęła.

Na rogu Alei Jerozolimskich kazała stanąć i wysiadła. Podeszła kilka kroków, a kiedy powóz się oddalił, wsiadła w dorożkę.

— Aleje Jerozolimskie, numer ... — wskazała dorożkarzowi.

Był to numer mieszkania Strzyżeckiego.

Tak, tak, niech się dzieje, co chce! Ona także ma swoje prawo do życia, ma swoje prawo do miłości, do używania, chce kochać, chce być kochaną, chce rozkoszy i chce ją dawać. Jest piękna, ale jej mąż chętniej czułby się ściskanym przez jej pannę służącą, jak przez nią. A ona — ach! Z początku podobał się jej Czorsztyński, imponował jej, pochlebiał, potem zobojętniał jej, teraz jest jej wstrętny. Ona chce to czuć, co czuła tam, w oranżerji; chce to brać i chce to dawać.

Trzy tygodnie już męczy się z sobą. Jest tak sprytna, że wywalczyła sobie to, iż Strzyżecki nie przylgnął do żadnej innej kobiety, nie dopuściła do tego, nie dopuściła, mimo, że Strzyżecki chciał to zrobić umyślnie, na złość, bez przekonania. Odgadła i poznała to odrazu. Ale nie byłaby to z nią sprawa! Strzyżecki, mimo wszelkich usiłowań względem siebie samego, nie przylgnął do żadnej kobiety. To była połowa zwycięstwa. Ale Strzyżecki nie przylgnął także do niej.

Czy była mu już obojętną? Nie, inaczej nie mogłaby go powstrzymać żadną najgenjalniej skombinowaną akcją od zajęcia się innemi kobietami. Przyjechał do Warszawy zobojętniały zupełnie; obojętny podał jej rękę do kolacji na raucie u Łódzkich, ale wstał od niej wbrew wszystkiemu, w co się drapował, rozmarzony i zwrócony ku przeszłości, o której naturalnie nie było najlżejszej wzmianki. Potem spotykali się, spotykali się często. Strzyżecki zaczynał rozmawiać z dziesięciu kobietami i kończyło się zawsze na tem, że rozmawiał wyłącznie z nią. Raz kiedy sobie podpił nieco u księżny Zasławskiej, powiedział jej:

— Tak, tak, droga pani, piękny jest Grieg, piękny jest Saint-Saëns, piękny jest Verdi, ale ostatecznie wraca się zawsze do Beethovena.

— Bo? — rzekła pani Mery, która chciała, aby się wypowiedział zupełnie.

Strzyżecki nie odpowiedział, tylko siadł przy fortepianie i uderzył kilka akordów z »Peer-Gynta«, potem z »Danse-Macabre«, potem z »Aidy«, nakoniec począł grać z »Mondscheinsonate«.

Potem skłonił się od fortepianu z uśmiechem.

— Ale Beethoven umarł — rzekła pani Mery.

A Strzyżecki uderzył, jak w organy: »Resurrexit, sicut dixit« — i zaczął się potem śmiać swoim dziecinnym, szczerym uśmiechem, ale za dziecinnie i za szczerze.

Ostatecznie, mimo całej dyplomatycznej gry, aby go do tego doprowadzić, nie zbliżał się ku niej. Co w głębi duszy jego leżało, nie mogła odgadnąć. Musiała mu się podobać, skoro jej wybaczył przeszłość, skoro mógł jej ją wybaczyć, ale zanadto musiała pamięć tej przeszłości tkwić w nim, aby ją mógł i przedewszystkiem chciał w sobie zatrzeć.

— Bądź co bądź, postąpiłam wobec niego ohydnie — mówiła sobie pani Mery.

Zarówno nerwy, jak i jakaś wewnętrzna potrzeba parły ją do tego, aby ze Strzyżeckim o tem, co było, mówić. Czasem była ciekawą, co on powie, czasem czuła poprostu i wprost zupełnie szczerą chęć rzucić się przed nim na kolana, porwać jego rękę, przycisnąć ją do ust i wołać: »przebacz! przebacz!...« Wołać tak i prosić...

Mąż nie przeszkadzał jej w niczem, wierny milczącej umowie, zostawiał jej najzupełniejszą swobodę, aż dotąd jednak, gdzie mogłyby być naruszone te prawa, do których ona ze swej strony musiała się czuć zobowiązaną. Umiał zawsze tak manewrować, że pani Mery nie rozmawiała ze Strzyżeckim nigdy ani za długo, ani zbyt samotnie. Ze zręcznością i sprytem rasowym pani Mery, współzawodniczył jego spryt osobisty i wielkie arystokratyczne wyrobienie towarzyskie. Pani Mery czuła to doskonale, że mąż jej niema żadnych wątpliwości co do jej wewnętrznego usposobienia, ale ponieważ ona nie uczyniła jednego kroku ponad milczącą umowę, on go też nie czynił. Fizycznie nie miał powodu, a moralnie — było mu to wszystko jedno. Trzeba kochać, aby być zazdrosnym o uścisk kobiety, dany komuś w duszy, a Czorsztyński wziął przecież dwieście tysięcy renty za to, aby wypełniał stosownie do wysokości posagu swoją miłość małżeńską...

— Pfuj! Pfuj! Pfuj! — powtarzała sobie pani Mery.

Aż raz, właśnie wczoraj wieczorem, zdarzyło się tak, iż pani Mery po raz pierwszy spotkała się sama ze Strzyżeckim. Jeden z przyjaciół Czorsztyńskiego miał aferę grubą i poważną, wywiązał się sąd honorowy i Czorsztyński musiał pójść na sesję, naznaczoną wieczorem. Byli proszeni na wieczór,

gdzie miał być Strzyżecki, ale Czorsztyński, jeśliby nie chciał żony puścić samej, mógł się wytłómaczyć tylko słabością, którą żonaby odgadła, i byłby to fakt łamiący równą i prostą linję milczącej umowy. Czorsztyński więc pocałował żonę, ubraną w wieczorową suknię, w czoło i w rękę i pojechał na sesję.

Pani Mery zaś pojechała na raut.

Uczuła się na razie więcej skrępowaną, niż kiedy mąż bywał obecny w tym samym, albo w drugim salonie.

Ale to trwało krótko: powiedziała sobie, że nie jest żadną »polską parafjańską gęsią« i postanowiła działać. Tylko nie za jaskrawo, nie za gwałtownie, nie »korzystając z nieobecności męża«, bo to byłoby »parwenjuszostwem i rzeczą godną pierwszej lepszej lafiryndy«. Nie trzeba było także być chłodniejszą, niż zwykle. Pani Mery była jak zawsze, ale tylko dla ludzi; jej oczy umiały znaleźć sposobność, aby zwrócić uwagę Strzyżeckiego na tę wolną przestrzeń, która się przed nimi otwarła.

I on w nią spojrzał.

Wówczas pani Mery poczęła go prowadzić dalej — i on poszedł. A wtenczas pani Mery szepnęła mu:

— Kocham pana.

Zrobiło jej się zimno i gorąco, ale teraz miała już wolne ręce, było jej już wszystko wolno. Raz przecie!

Potem z całą odwagą popatrzała w oczy Strzyżeckiemu. Tu trzeba było działać śmiało i energicznie, nie bawić się »w dziewczynkę«. Strzyżecki patrzał na nią z niespokojnym znakiem pytania w spojrzeniu, nie zdziwiony, ale jakby przestraszony.

— Boi się, dobrze — pomyślała pani Mery. — Będzie słaby i ulegnie. Musi być moim.

Zajaśniała jej ogromna zorza zwycięstwa. Strzyżecki? Nie! Ale zwycięstwo nad życiem, nad losem, nad wolą losu, Będzie to, co ona chce.

W tej chwili Strzyżecki zmalał jej prawie do zera, prawie zniknął. W tej chwili nie chodziło o niego, z całym swoim genjuszem był za małą ilością matematyczną dla głowy pani Mery. To był płot, który dzielny jeździec przesadza, aby się wydostać na szerokie, szerokie, godne jego rumaka i godne jego piersi pole.

Pani Mery nie mogła znać dna duszy Strzyżeckiego; cośkolwiekbądź jednakby w niej świadomego dla niego samego,

czy nieświadomego było, liczyła na jego wrażliwość, na jego miękkość i na jego zwykłą artystycznym usposobieniom zmysłowość. Kiedy żegnali się, umiała znaleźć sposobność, aby go pocałować w rękę. Uczuła i widziała, że zadrżał. Wszakże to ona, ta sama, która go wydrwiła, że śmiał przypuszczać, iż na serjo myślała kiedykolwiek być jego żoną! Ale potem ogarnął ją niepokój. Kości były rzucone i Strzyżecki miał już pewne prawo do niej. Jeżeli życie dotychczasowe wydawało jej się jak ciemna, głęboka, zatęchła i ponura otchłań, to również jak jakaś otchłań, morzem podziemnem ziejąca, wydawało jej się to jutro, czy to dziś, co się przed nią otwiera. W oczach jej stawał ten zimny, elastyczny, elegancki i muskularny sportsman, ze swoim chłodem i spokojem na twarzy i w ruchach, ze swoją pewnością siebie i męskością, ze swojemi pojedynkami i ubitemi tygrysami, i dzikami za sobą — i pani Mery zaczynała się bać. By pewna granica, za którą dwakroć sto tysięcy rubli renty, a w przyszłości może pół miljona, zatrzymywać go, jako »gentlemana«, musiały, ale jeżeliby i upoważniła go i zmusiła do tego, właśnie również jako »gentlemana«, aby ją przestąpił, wtenczas... I pani Mery zaczynała drżeć. Ona, która się nikogo nie bała, która każdemu czuła się zdolną dotrzymać placu, która podjęłaby się w tej chwili prowadzić intrygę dyplomatyczną na królewskim dworze: bała się tego sportsmana. Były pewne możliwe sytuacje, gdzie i jej rozum i spryt i cała sława i talent Strzyżeckiego mogły prysnąć, jak bańka szklanna, rzucona na podłogę, pod elastyczną dłonią Czorsztyńskiego.

Noc i ranek przeszły pani Mery na tych myślach, ale zarazem chęć życia potęgowała się w niej w miarę, im się więcej budziło w niej refleksji. Rzuciła się w powóz, i myślała, że może ją ten pęd uspokoi, albo jej jakąś radę, jakiś modus vivendi przyniesie. Ale potrzebowała szalonego pędu, a stangret nie chciał ośmieszyć herbu i liberji swego pana, pędząc powozem jak do pożaru. W rzeczy samej miał słuszność najzupełniejszą. Tylko to, że się »u nas« tak nie jeździło, kapnęło w duszę pani Mery, jak, kropla kwasu siarczanego w ogień. »U nich« *u nich* się tak nie jeździ! Ona nigdy nie będzie *ich*, nigdy, nawet dla służby! Ha! dosyć tego!

I pani Mery pchnęła przymknięte drzwi bramy domu, w którym mieszkał Strzyżecki. Na nieco ciemnych schodach zdało jej się, iż zamajaczyła jej w przestrzeni sucha, ogolona, pomarszczona i stara, z dwoma szpakowatemi faworytami twarz

stangreta, który »umiał szanować nazwisko hrabiów Czorsztyńskich«...

Weszła na schody i pocisnęła dzwonek od mieszkania Strzyżeckiego.

Otworzył jej lokaj.

— Czy jest pan?

— Jest. Kogo mam zameldować?

— Jest sam?

— Sam.

— Proszę powiedzieć, że jedna pani się pyta, czy może wejść?

Lokaj odszedł i powrócił po chwili.

— Pan prosi — rzekł.

Pani Mery wciągnęła powietrze w płuca i weszła w otwarte jej przez lokaja drzwi od salonu.

Strzyżecki leżał na szezlongu, a raczej przygotowany był na wstanie. Minę miał zaciekawioną, ale zarazem cokolwiek apatycznie drwiącą; wyraz ten jednak ustąpił mu natychmiast z twarzy, a natomiast odmalowało się na niej najwyższe zdumienie. Zerwał się z szezlongu i postąpił kilka kroków naprzód, jak zwykle mężczyzna ku kobiecie, która niespodziewanie przyjdzie i której intencji jeszcze się nie zna, ani jej można odgadnąć. Był tak zaskoczony, że stanął przed panią Mery bez słowa. Ta zaś nie powiedziała nic, tylko obejrzała się, czy drzwi zamknięte, i przystąpiwszy ku niemu, objęła mu głowę rękoma i przycisnęła usta do czoła.

Zaczęły się teraz dla pani Mery dni szału, dni upojenia, dni *życia*. Z jakąż rozkoszą rzucała się przed Strzyżeckim na kolana, z jakąż rozkoszą całowała mu ręce, stopy chciała całować! Niewstrzymaną falą, pierwszy raz z całą mocą, pędziła jej namiętność łożyskiem rozkoszy i zapamiętania. Młodość jej była jak rumak, który zerwie uzdę i na step wybieży. Chciałaby była oszaleć, bo jej się zdawało, że zdrowe zmysły nie starczą kochaniu.

Strzyżecki zanurzał się w tym oceanie kobiecego pragnienia, ale co było w duszy jego na dnie, nie mogła pani Mery odgadnąć. Pieścił ją, najczulszemi nazywał imionami, ale nigdy nie powiedział nic, coby jej odkrywało jego serce. Tymczasem ona zakochała się w nim na śmierć i życie, czuła to i zdawała sobie sprawę.

Męczyło ją, że musiała się z domu wykradać potajemnie, że czasem tylko na pół godziny, czasem tylko na kwandrans mogła wpaść do mieszkania Strzyżeckiego, że musiała kłamać i pozorować. Męczyło ją to i buntowała się przeciw temu. Jak to, ona za swoje pieniądze, za to, że tego bankruta wyciągała z długów i z ruiny, musiała się teraz liczyć z nim na każdym kroku, musiała się wykradać z pod jego okna?! Hrabia Czorsztyński!... Wypędzić go od siebie i dać mu piętnaście rubli na dzień, dziesięć na życie i pięć na karty, niech pamięta, że był zięciem Rafała Gnieźnieńskiego! Wypędzić na cztery wiatry! Pan! który, gdyby nie ona, powoziłby teraz na koźle gdzie u jakiego Schwarzenberga, albo Palmerstona. Pan! którego siedm zbroi rodzinnych trzeba było wykupić z zastawu od Icka Feikelesa... Pan! płatny za to, że dał swoje nazwisko i spełnia obowiązki męża...

Ale kiedy Czorsztyński wchodził do pokoju, panią Mery ogarniał lęk i ogarniało nawet pewne uszanowanie. Bądź co bądź, trzeba było mieć kilka wieków kultury za sobą, aby umieć tak zawiązać krawat i umieć tak usiąść, aby mieć taki nos i taki wzrost. »Pan...« — i pani Mery opadało wzburzone serce w piersiach.

Czorsztyński nie domyślał się niczego, tego była pewną. Nie dała żadnego pozoru, umiała tak manewrować, że nie przekroczyła w niczem milczącej umowy, ale jakże ją to męczyło!

Zostawić mu dziecko, zostawić mu miljon, dwa miljony, trzy miljony i rzucić go! Rozwieść się! Rozwieść się! Rozwieść! Rozwieść!...

I pewnego dnia rzucając się na szyję Strzyżeckiemu i podnosząc ku niemu twarz, rzekła:

— Postanowiłam już: rozwiodę się z moim mężem i zostanę twoją żoną.

Strzyżecki odsunął ją nieco i spojrzał na nią dużemi oczyma.

— Nie chcesz? To ucieknę, bez wszystkiego, bez rozwodu, dziś nawet! Zostawię mu dziecko, jeżeli chcesz dziś! Czy chcesz?..

Ale Strzyżecki odsunął ją jeszcze więcej i spojrzał na nią jeszcze większemi oczyma.

— Jak to?! Nie chcesz?! Czy nie widzisz, że cię kocham bez pamięci, do szału? Nie widzisz tego?!

Strzyżecki otworzył usta, ale je zamknął, położył jej tylko dłoń na ręce i patrzał na nią.

Wtenczas pani Mery rozpłakała się, wybuchnęła takim płaczem, jak nigdy przedtem. Osunęła się wzdłuż jego kolan na ziemię, objęła je rękoma, przycisnęła do nich usta i łkała na głos.

— Nie wierzysz mi... nie wierzysz mi... ja wiem, że nie zasługuję na wiarę... lękasz się mnie... zdradziłam ciebie, zdradziłam męża boisz się, że znów cię zdradzę... Nie, nie, przysięgam ci, że nie... Nie odpychaj mnie, weź mię, ja umrę... Umrę z nim! Umrę w tem życiu!...

Strzyżecki milczał. Potem odsunął ją od siebie i wstał, mówiąc:

— Bądź zdrowa, jutro wyjeżdżam. Nie kocham cię. Podobasz mi się, mogę cię chcieć, możesz mieć dla mnie czar, urok, możesz na mnie wywierać wpływ, możesz mi być milszą, niż wszystkie inne kobiety, ale nie kocham cię. Miłość ku sobie zabiłaś we mnie tam, w waszym salonie. Tyś przecie nie myślała nigdy *na serjo* iść za mnie.

— Wskrzesiłam cię, gdyś konał...

— A doprowadziłaś do tego, żem sobie kulę w głowę wpakował...

— Oddałam ci się...

Strzyżecki znów otworzył usta i znów je zamknął, nim

z nich słowo wyszło. Pani Mery przycisnęła mu się znowu do kolan.

— Weź mnie! — jęknęła.

Strzyżecki milczał.

— Nie odpychaj mnie, nie zabijaj mnie! Ja tam nie chcę wracać, ja tam umrę... Zlituj się nade mną!...

— Nie kocham cię.

— Służącą twoją będę!...

Strzyżecki podniósł ją z ziemi i całując w policzek, rzekł:

— Mery, opamiętaj się. Nie kocham cię i nie może być nic między nami. Po tem, co dziś zaszło, nawet to, co dziś było. Bądź zdrowa. Dziś jeszcze w wieczór wyjadę.

— To jest ostatnie twoje słowo?

— Ostatnie.

— Jesteś nieludzki!

— A tyś była ludzką?

— Mścisz się?!

— Nie, tylko nie kocham cię i boję się.

— Dlaczego przyjmowałeś moje pieszczoty?

Strzyżecki spojrzał na nią; pani Mery spuściła głowę.

— Nie zobaczymy się więcej?

— Sama widzisz, że nie może być inaczej.

— Dokąd wyjedziesz?

— Nie wiem jeszcze. Najpewniej do Anglji, gdzie dają teraz znowu „Lilję".

— Jam ci dała natchnienie, genjusz, sławę, majątek...

— Mery — i kulę w czoło...

Pani Mery znów opadła głową na piersi.

— Zatem...

— Bądź zdrowa!

— Nie, nie! Do widzenia! Do widzenia! Życie nie jest jednym dniem. Do widzenia!

Pani Mery rzuciła się na szyję Strzyżeckiemu, płacząc i tuląc się do niego, jak dziecko.

Godzina za godziną szła. Zaczęło się ściemniać.

— Mery, Mery — odezwał się Strzyżecki, przychodząc do przytomności — możesz mieć ambaras. Patrz, ciemno już.

— Ach, niech się dzieje co chce! Nie będę z nim żyła!

— Mery, opamiętaj się.

— O której wyjeżdżasz?

— O dwunastej kurjerem.

— Dlaczego wyjeżdżasz? Czy nie chcesz, aby przynajmniej tak dalej było, jak dotychczas?

— Boję się, Mery. To mogłoby się stać nieszczęściem dla nas wszystkich.

— Lękasz się o siebie?

— O ciebie i o siebie. Ja teraz kocham tylko jedną rzecz: moją sztukę i moją sławę. Więcej nic.

— Nie będziesz już kochał kobiety?

— Myślę, że nie.

Pani Mery pomyślała chwilę.

— Prawda, jeżeli nie pokochasz mnie, którą kochałeś niegdyś, po tem, com ci dała, nie będziesz już kochał więcej. Ale możesz się przywiązać, możesz potrzebować.

— Bądź zdrowa, Mery. Już najwyższy czas na ciebie!

— Do widzenia!

Pani Mery, wchodząc do jadalnego pokoiu, spojrzała na zegar ścienny, była godzina siódma. Mąż siedział przy stole zapewne od pół godziny, to jest od pory podania do stołu.

— Czekałem na ciebie — rzekł, wstając. — Ale co ci się stało? Płakałaś?

— Nie.

— Zdawało mi się. Gdzież byłaś tak długo, jeśli wolno zapytać?

— Miałam interes.

— Krótko. Czy wolno zapytać jaki?

Pani Mery wyprostowała się i stanęła przed mężem w wyzywającej postawie. Czuła w sobie taki bunt, taką nienawiść do tego sportsmana, że aż przestała się go bać. I patrząc mu prosto w oczy, powiedziała dobitnie:

— Czy pytałam cię kiedy o *twoje interesy?*

Czorsztyński zrozumiał i mimo całej umiejętności panowania nad sobą, nie mógł powstrzymać napływu krwi do twarzy, ale widocznie zarazem musiał zrozumieć, że tu się coś rwie i że trzeba od razu ściągnąć cugle, albo potem może być za późno i za trudno. Wyprostował się więc również zmarszczył brwi, spojrzał zuchwale w oczy pani Mery i powiedział rozkazującym głosem:

— Proszę cię, Mery, jako mąż, powiedz, gdzieś była?

— Jakiem prawem?

— Prawem męża.

Pani Mery zaczęła się śmiać:

— Ależ, mój drogi, bądź spokojny, przecież to nie mój posag chodzi po wertepach, to tylko ja.

Czorsztyński zbladł, słowa mu na razie brakło, a pani Mery szydziła dalej:

— Bądź spokojny, kochanku, bądź spokojny, mój *mężu!* W tym roku dostaniesz dwakroć pięćdziesiąt tysięcy renty, a w przyszłym może trzykroć, a może i czterykroć! Będzie to zależało...

— Od tego, czy twemu ojcu uda się oszukać na akcjach kolejowych, czy nie! — huknął Czorsztyński, zrywając się z krzesła, blady jak ściana, z iskrami w oczach.

— Milcz, ty! — krzyknęła pani Mery.

— Ty milcz! — odkrzyknął jej Czorsztyński.

— Ty hołyszu!

— Ty Żydówko!

Pani Mery trzasnęła drzwiami i wybiegła z pokoju.

Krew rozsadzała jej pierś. Biegała po pokoju jak szalona. Zęby wcięła w usta i zacisnęła pięście.

— Zemścić się! Rozwieść się! Na bruk go wyrzucić! Na bruk! Na bruk!...

Słowo to powtarzała bez końca, upajała się niem! na bruk! na bruk!...

Lokajowi każe go zrzucić ze schodów. Przecież to jest jej lokaj, nie jego, ona go płaci. Hołysz! Dziad! Golec! Żebrak! Na bruk! Na bruk!... Zemścić się! Zemścić się!...

Zemścić się...

I potem co?

Co potem?

Zostać w tym wielkim pałacu, w tej pustce, samej jednej, z tem dzieckiem, którego nie kocha...

Zostać samej jednej, bez niego, bez niego, bez tego jedynego, którego kocha, którego miłuje, którego uwielbia, którego pragnie, którego pożąda, którego chce, bez którego żyć nie może, i którego mogła mieć, mogła, mogła, mogła!...

O piekło!

Bo mogła go mieć, mogła, mogła, mogła.

On mógł być jej, mógł do niej należeć, mogła co dzień zasypiać w jego uściskach, codzień się w nich budzić...

Mogła, mogła, mogła!...

Krew trysnęła z przyciętych warg pani Mery.

Mogła...

I ona — ona ma czegoś nie móc?!

I dlaczego?

Strzyżecki nie kocha jej? Mniejsza o to. Będzie jego kochanką: lepszej, piękniejszej, nie znajdzie. Musi ją pokochać, musi choćby przywyknąć tak do niej, że się bez niej nie będzie mógł obejść. Podbije go, zdobędzie go sobie, przekona go do siebie. To, co między nimi dziś zaszło, to jest nic.

Więc nie dlatego, ale dlatego, że między nimi stoi ten kołek z twarzą urobioną na wzór angielski, w krawacie z Paryża,

w ubraniu z Wiednia, w butach z Londynu, z ruchami Anglika, z wymową Francuza, z usposobieniem przykrawanem starannie na modłę wszystkich angielskich lordów, francuskich margrabiów i grafów austrjackich, jakich mu się w życiu spotkać zdarzyło, ta fotografia arystokracji zagranicznej! Dlatego, że między nimi stoi ten hołysz, którego wyciągnęła z długów, który zapłacił za to swoim nazwiskiem? Dlatego? Pfuj! Strzyżeckiego nazwisko jest dziś głośniejsze, niż wszystkich Czorsztyńskich razem było kiedykolwiek, nawet wtedy, kiedy jeszcze nosili te zbroje, które trzeba było od Feikelesa wykupić. On, on, ten, taki, ma jej przeszkadzać do czegokolwiek?!...

Ha! ha! ha!

Roześmiała się na głos.

Żyć z nim dalej zresztą niepodobna. Niech się pierwsza lepsza Żydówka daje torturować dla nazwiska, ale nie ona! Skoro raz »milcząca umowa« prysła, skoro raz wybuchnęło z nich to, co tłumili w sobie dla obopólnego interesu, rozpocznie się walka na śmierć i życie. I to ma być jej los? Za wszystkie miljony jej ojca, za jej piękność, młodość, inteligencję?

O nie!

Pan Czorsztyński, pan hrabia Czorsztyński, precz sobie pójdzie, dziecko wezmą rodzice, a ona pójdzie w świat, z nim, ze Strzyżeckim, po laury, po sławę, na szerokie, wielkie życie, na pełne, rozkołysane, bujne życie... Z nim, z nim!...

Ucieknie...

Rodzice wybaczą jej wszystko, zanadto ją kochają. O ludzi mniejsza. Ucieknie, pojedzie za Strzyżeckim, pojedzie za nim wszędzie. I pokocha ją, musi pokochać!...

Ucieknie zaraz, dziś; tym samym pociągiem pojedzie.

Paszport miała pod ręką, chodziło tylko o pieniądze. Te były zamknięte w kasie werthzimowskiej, która stała w jednym z pokojów jej męża. Miała od niej swój klucz, ale musiała wejść tam, do jego... do »jego apartamentów«.

Pod ręką, u siebie, miała zaledwie kilkadziesiąt rubli na bieżące wydatki. Zawahała się. Sztywna elastyczna postać Czorsztyńskiego stanęła w jej oczach.

Ale nie! Jej musi się udać!

Ostrożnie, cicho, poczęła się przesuwać przez pokoje. Przyłożyła ucho do drzwi. Było cicho. Musiał wyjść.

Weszła.

Otwarła szybko kasę i zabrała pieniądze, papiery, złoto, wszystko, co było. Przypuszczała, że w tej podręcznej kasie

musiało być około dziesięciu tysięcy.

Zamknęła kasę i chciała wyjść. W tem we drzwiach zagrodził jej drogę Czorsztyński.

Twarz miał spokojną i chłodną, jak zwykle, i widocznie był usposobiony pojednawczo, tak go jednak zdziwiła obecność żony obok kasy, że zatrzymał się i stanął.

— Co ty robisz, Mery? — spytał.

Nie odpowiedziała.

Czorsztyński spróbował się uśmiechnąć:

— Gniewasz się?

— Proszę mnie puścić — rzekła pani Mery, usiłując nie zdradzić lęku i drżenia.

— No, gniewasz się, Mery? — powtórzył Czorsztyński, wymuszając ze siebie ponownie uśmiech. — Ale co to? Zabrałaś pieniądze?

Pani Mery przycięła jadowicie wargę:

— Jeżeli pańskie...

Czorsztyński poczerwieniał, ale się pohamował i próbował dalej łagodzić:

— Bez wątpienia są twoje, Mery, ale przedewszystkiem, zdaje mi się, one są *naszego* dziecka.

Pani Mery wybuchnęła śmiechem. Czorsztyński zmieszał się. Rzeczywiście nie mógł nie odczuć, że odezwał się jak ze sceny. Poczerwieniał jeszcze więcej i, nie widząc widocznie innej drogi przed sobą, zmarszczył brwi, tupnął nogą, i odezwał się surowo:

— Dość tego, Mery. Gdzie idziesz z temi pieniądzmi?

Ale ten ton oddziałał i na nią wojowniczo. Zadarła głowę i spytała:

— Cóż to? Stajnia? Jak pan śmiesz tupać na mnie w *moim* domu? Jakiem prawem pan się śmiesz mieszać w to, co ja robię z *mojemi* pieniądzmi?

— Twój dom jest moim domem, twoje pieniądze są mojemi pieniądzmi — odpowiedział, tłumiąc wybuch, Czorsztyński.

— I pan się nie wstydzisz brać pieniędzy, które pochodzą z oszustwa na akcjach kolejowych? — zadrwiła pani Mery.

Czorsztyński chciał coś odpowiedzieć, ale powstrzymał się, zagradzał tylko dalej drzwi swoją osobą.

— Proszę mnie puścić! — powtórzyła pani Mery.

— Dokąd chcesz iść?

— Dokąd mi się podoba.

— Jaki masz cel brania pieniędzy późnym wieczorem?

— Jeżeli mi się podoba, mogę je wyrzucić przez okno. Siedm zbroi po papach Czorsztyńskich znają już drogę od Kirchholmu i Żółtych Wód aż po Jojnę Feikelesa.

Roześmiała się.

Czorsztyński mienił się na twarzy.

— No, puścisz mnie pan? Jakiem prawem zatrzymujesz mnie tutaj?

— Prawem mojej woli, prawem męża.

— Gwałt?

— Nie, tylko prawo.

— Prawo?!

— Wola moja. Wola męża, któremuś ślubowała posłuszeństwo.

— Kupiłam cię! — wybuchnęła pani Mery.

— I nie sprzedasz! — syknął Czorsztyński, zbliżywszy się ku niej i biorąc ją silnie za rękę.

— Mów, co chcesz z temi pieniądzmi zrobić?

Panią Mery zabolała ręka i to jej odebrało do reszty panowanie nad sobą. Porwał ją taki gniew, takie szalone uniesienie pasji, że nie obliczając się z niczem, krzyknęła:

— Co?! Uciec od ciebie! Opuścić cię dziś, zaraz, w tej chwili!

Naówczas Czorsztyński szarpnął jej ręce obu swemi rękoma i z dłoni pani Mery upadły na ziemię papiery, a złoto z brzękiem rozsypało się po podłodze.

— Podły! Precz! — krzyknęła pani Mery, wyrywając ręce. — Więc masz! Daruję ci to! Dosyć znajdę gdzieindziej, choćby tu w uszach i na szyi. Czy może i kolczyki wyrwiesz mi z uszu?

— Szalona jesteś?!

— Nie, ale uciekam od ciebie! Precz, puść mnie!

— Zostaniesz!

— Nie! Puszczaj! Precz!

— Milcz i stój!

— Ha!

Pani Mery z pianą na ustach rzuciła się ku mężowi i pchnęła go silnie w piersi; Czorsztyński zachwiał się i cofnął, ale i on przestał panować nad sobą. Ujął lewą ręką za ramię panią Mery i ścisnął tak mocno, że jęknęła i przyklękła z bólu, prawą zaś chwycił za wiszącą szpicrutę ze ściany i na plecy pani Mery spadł ze świstem raz.

Przegięła się w tył i zemdlała.

Wielkie, ciche limby szumią nad Popradzkiem jeziorem.

Przeszedł rzęsny deszcz i rozświetlił niebo. Słońce wyszło błyszczące i na mokrych gałęziach zawiesiło w kroplach rosy kropelki blasku, podobne do pyłów złotych, któreby duch skarbów zaczarowanych rozsiał dłonią po świecie. Cudowne, wonne, przeźroczyste powietrze rozsłaniało się z mgieł, które nad Liptowską doliną falowały, topniejąc i niknąc, a odsłaniając zarazem dolinę podobną do snu. Wydawało się, iż co dopiero wyszła z zamgleń sferycznych, wyłoniła się z mgławicy twórczej, młoda, świeża, jasna, pełna niewysłowionego uroku. Nad górami Liptowskiemi, jak taśma barwista, zakoliła się tęcza, ogromna, przepasująca niebo, jasne i błękitne.

Potok wśród głazów niósł wodę wzdętą i białą, bijącą w brzeg z szumem i pianą..

A tam, powyżej, góry w kłębach obłoków, złoto i róż w biel swoją biorących, wydawały się podobne do olbrzymich ptaków z rozpiętemi skrzydłami, tak zdawały się lecieć w strop i unosić. Przedziwna lekkość szczytów wśród obłoków czyniła je zjawiskiem nadziemskiem, powietrznem.

A wszystko to tonęło w błękicie nieba, którego blask olśniewający spływał na cały świat, spokojny i niezmierny.

Zielona, świeża trawa i mech perliły się od rosy. Ubocze górskie, zalane światłem, szkliło się i mieniło, radosne i wesołe, podobne do oczu dzieci słońcem zbudzonych. Zasrebrzona deszczem kosodrzewina zdawała się kwitnąć. Zstąpił na ziemię czar.

W głębokiej ciszy, niemal tak ciche, jak ona, ledwo dosłyszalnie szumiały limby.

O pień jednej z nich oparta, na głazie siedziała pani Mery, patrząc ku południowi, ku słońcu.

Drugi już rok biegł jej na tej włóczędze. Strzyżecki ją zwiódł: nie pojechał do Londynu, lecz do Ameryki, i jak było słychać, wybrał się w podróż naokoło świata. Gonić za

nim było niepodobna. Dzienniki nowojorskie doniosły, że zabrał z sobą na statek papier nutowy, aby napisać nową operę, której tytuł ma być: »Za późno«. Libretto miał sobie mistrz napisać sam w drodze z Europy do Nowego Jorku.

Pani Mery rozwiodła się z mężem, a raczej zostawiła sprawę rozwodową adwokatowi. Uderzona szpicrutą, rozchorowała się i leżała kilka tygodni w gorączce. Czorsztyński wyjechał, ale, jak mówiono, w trzy dni powrócił. Były wielkie sceny z ojcem pani Mery, a następnie rozpoczęły się pertraktacje. Pan Rafał Gnieźnieński ofiarował mu cztery tysiące rubli rocznie. Czorsztyński żądał stu. Zgodził się wreszcie na dwanaście, gdyż zagrożono mu, że jeżeli się nie zgodzi, to nic nie dostanie.

— Trzy tysiące za to, że byłeś pan moim zięciem, sześć tysięcy za to, że byłeś pan mężem mojej córki, a trzy tysiące za to, że jesteś ojcem mojego wnuka. A teraz adieu, panie hrabio — powiedział mu pan Rafał na odchodnem, kłaniając się nisko i cofając ręce za siebie.

Czorsztyńskiemu winszowano »ostatecznie niezłego interesu«.

Pani Mery, przyszedłszy do siebie, opuściła Warszawę. Pojechała naprzód do Włoch, potem do Grecji, potem do Egiptu; zwiedzała z kolei Francję, Anglję, Hiszpanję, Niemcy, Belgję, nie zatrzymując się nigdy dłużej nad dni kilka, pędzona jakąś gorączką: dalej! dalej! — Dwie panny służące i dwaj lokaje, których woziła, upadali ze znużenia. Kiedy jej przyszła fantazja, tygodniami całemi poprostu trzeba było mieszkać w wagonie. Poczęto ją znać w Europie, bo brała cały wagon dla siebie, albo wynajmowała całe jachty. Pieniądze płynęły jak woda. Ale pan Rafał Gnieźnieński w spółce z kuzynem Hammerschlagiem robili coraz świetniejsze interesy i pani Mery nie potrzebowała się z niczem liczyć. Nawet wuj Hammerschlag nie irytował się o zbytki »der Frau Gräfin«; pochlebiało mu to, gdy czytał o niej w *Figarze*, albo *Neues Wiener Tagblatt*, że przyjechała tu, albo tam, »ganz wie von der Kaiserin Eugenia«.

Popradzkie jezioro szkliło się u stóp pani Mery, ciche, spokojne, równe i błyszczące. Po rzęsnym deszczu słońce rozweseliło świat, jakby anioł radości wstąpił w kotlinę górską i rozpostarł w niej skrzydła, pełne pogody i światła.

W niezmiernej ciszy ledwo słychać było szelest limb, a jednotonny huk potoku głuszył się w niej i zlewał z nią w jedno.

Pani Mery patrzała na jezioro, potem na góry Liptowskie, potem hen, w świat. Wszędy było słońce i pogoda. Mgły rozbiegły się i ziemia zdawała się być widzeniem. Błękit i pachnące powietrze rozlewały się w niezmierną dal. Oczy pani Mery płynęły na jakąś niewidzialną falą w bezdeń, w nieskończone, w nieobjęte światło.

Wówczas samotna w tem pustkowiu, oparła czoło na rękach i z przymkniętych oczu poczęły jej płynąć gorzkie, żałosne łzy.

Pewnego poranku, w Nicei, obie panny służące i obaj lokaje pani Mery odebrali polecenie powrotu do Warszawy. Zastąpić ich miała służba francuska. Mieli tylko jeszcze spakować rzeczy swojej pani do drogi. Dokąd jednak jechała, nie wiedzieli.

Wieczorem pani Mery wsiadła do dorożki i kazała się zawieźć na dworzec. Obaj lokaje, ciekawi, chyłkiem podążyli za nią. Pociąg szedł ku Genui.

Lokaje ujrzeli, jak ku pani hrabinie — pani Mery nie przestała używać tytułu męża — zbliżył się na peronie jakiś bardzo elegancki młody człowiek, wyglądający na oficera kawalerji w cywilnym ubiorze, i oboje wsiedli do Sleeping-Carr.

— Ocho! — machnął ręką starszy z lokajów.

— Nie, nie siostro. Ja sama obwiążę mu ranę. Ja sama to zrobię.

— Ależ pani nie przyzwyczajona! Zemgli panią.

— Nie, nie, niech się siostra nie lęka.

— Czy nie wiesz, siostro Klaro, kto może być ta piękna nieznajoma? Rysy ma semickie, ale obejście wielkiej damy — odezwała się jedna z zakonnic do nadchodzącej towarzyszki.

— Nie mam pojęcia. Od tygodnia jest w szpitalu, i wie siostra Magdalena, że jeszcze podobnej pracowitości i energji nie widziałam. Musi być przytem bogata, jak Krezus, bo chorym kupuje najdroższe wina i łakocie.

— Wybornie mówi po francusku.

— Jak każda z nas. Ale ma akcent pewien.

— Z akcentu sądziłabym, że jest Słowianką.

— Chorzy przepadają za nią. Dobra jest i cierpliwa, jak święty Franciszek.

— Nie! Nie! Nie! Odejdź precz, ty aniele śmierci!..

Oto już cztery lata biegną od ostatniego widzenia się ze Strzyżeckim. On teraz nowe tryumfy święci, ale unika jej, na listy nie odpowiada; jedyną odpowiedzią była kula, którą jej przysłał z Chicago — zapewne ta, którą mu wyjęli.

Przez te cztery lata przebiegła niemal cały świat wszerz i wzdłuż, była podróżniczką, była kochanką, była szarytką, a próżnia jej życia stawała się coraz większą. Otchłań! Otchłań! Otchłań!...

Anioł śmierci życiowej stał przed nią.

— Nie! Nie! Odejdź precz! Ja nie chcę być umarłą za życia! — woła z rozpaczą pani Mery. — Czyż nic niema przede mną, tylko ta otchłań? Szaleństwo, albo rezygnacja? Żaden-że duch nie stoi przede mną, tylko ten anioł śmierci?!..

— O Boże! Boże! Boże! Jakże ja jestem nieszczęśliwa!...

Przed oczyma jej zamajaczyła twarz adwokata Jakóba Loewenberga z Warszawy, bardzo porządnego człowieka, który się w nią zawsze wpatrywał, ale na którego ona nawet nie zwracała uwagi — »taki Żyd«.

A naokoło było pusto i cicho. Stare drzewa Zagajowickiego parku szumiały smutno, siejąc liście z jesiennym wiatrem. Chmury prawie już śniegowe ciągnęły niebem, szare, jednostajne, posępne. U stóp pani Mery ciemny i nieruchomy leżał staw; na nim łódki na zardzewiałych łańcuchach. Nikt niemi dawno nie jeździł.

Pięć lat minęło, odkąd tu była po raz ostatni — pięć długich lat... Jakże dawno, jakże dawno, kiedy na tym stawie kołysała się w owo upalne południe... »Róża Saronu«...

Wszystko poza nią wydawało jej się, jak sen.

Nie kochała już Strzyżeckiego, nie kochała już rodziców, nie kochała dziecka, nie kochała blasku, ani ambicji swojej, nie kochała nikogo i niczego. Samotna, osierociała, patrzała na nieruchomy ciemny staw i na kołyszące się i gubiące liście drzewa, patrzała bez woli, bez myśli, bez pragnień i nadziei.

»...Der liebe Gott ist schlafen gegangen...«

Samotna, osierociała, patrzała pani Mery na ciemny, nieruchomy staw, w który gdzieniegdzie popadały uwiędłe, pordzewiałe liście. Na rękach jej świeciły olbrzymie kosztowne pierścienie, i to były jedyne koło niej światła w tej posępnej zamgławicy jesiennej.

Ciężkie, żałosne, gorzkie westchnienie podniosło jej pierś.

O Mery!...

Z przerażeniem, ze zgrozą po prostu, pani Mery patrzała w życie. Stało ono przed nią ciemne, jak ten staw, posępne, jak te obłoki jesienne, smutne, owiędłe, żałobne, jak drzewa zagajowickiego parku.

Bito ją szpicrutą, a potem odtrącono, kiedy u nóg chciała się włóczyć...

I znowu nasunęła się jej przed oczy twarz adwokata Loewenberga.

Ach! Uciec! Uciec!... Uciec od siebie!...

Tymczasem pani Mery stała się absolutną panią kolosalnej fortuny, umarł bowiem pan Rafał Gnieźnieński, a pani Gnieźnieńska przeznaczyła dla siebie dwadzieścia cztery tysiące dożywotnej renty, resztę oddając córce, z pragnieniem, aby jak najdalej od niej była ta »cudaczna histeryczka« — przeszkadzająca swemi wybuchami spokojnej kontemplacji nad znikomością rzeczy ludzkich i wachadłowym ruchem fotelu.

Niezadługo potem pani Mery odziedziczyła drugi, nierównie wprawdzie mniejszy, ale zawsze bardzo znaczny, kilkumilionowy majątek po wuju Hammerschlagu, który się rozchorował, zjadłszy »den verfluchten Homar« w Ostendzie. Ponieważ »piniondz ciągnie piniondz«, więc wuj Hammerschlag zapisał, zdecydowawszy się na testament, całą swoją fortunę pani Mery, wyłączając wszystkich krewnych.

Pani Mery dostała manji bogactwa.

W pałacu swoim w Warszawie, z którego zdjęto herb hrabiów Czorsztyńskich, pani Mery kazała do jednego z pokojów zrobić żelazne drzwi i nikomu tam wchodzić nie wolno. Tam zamyka się całemi wieczorami, całemi dniami nieraz.

Wszystko tam lśni się, świeci, płonie i błyszczy.

Niema prawie żadnych mebli. Jest długi, obity żółtym aksamitem, na wzór Stanisławowskich, szezlong, fotel bujający, kilka inkrustowanych krzeseł, kilka zwierciadeł, kilka kandelabrów, parę kosztownych stolików i wielkie wspaniałe szafy i komody. Tam zamyka się pani Mery na klucz i otwiera

szuflady. Na inkrustowane perłową macicą blaty stołów, wysypują się wtedy skarby Golkondy. Djamenty, szafiry i szmaragdy przesypują się między perły, rubiny i topazy, a złote obramienia luster, złocenia ścian błyszczą od jarzącego światła, bowiem w tym pokoju zawsze są okna zasłonięte. Tam pani Mery leżąc na szezlongu, na marmurową zimną i dźwięczną posadzkę rozrzuca swoje skarby, kładzie na głowę djademy, obrzuca się łańcuchami złotemi, bransoletami i pierścieniami nieoszacowanej wartości.

Niema tam ani jednego kwiatu, kwiatów pani Mery znosić nie może, ale zdaje jej się, że te perły, djademy i rubiny pachną. Wszystkie zmysły jej drażni to bogactwo, oczy, węch, słuch, bo rzucane na marmur klejnoty dzwonią i dźwięczą; smak, bo kładzione na usta, zimne są, jak lód; dotyk, bo pani Mery zanurza w nich ręce i pieści się niemi, jak żyjącą istotą. Kazała zrobić gruby złoty łańcuch, którym się, jak zwojami węża okręcić może. Głowę też węża dać mu kazała, z zielonemi szmaragdami zamiast oczu, z wysuniętem nieco żądłem. Pośród kandelabrów i przy elektrycznych lampach, okręca się tym łańcuchem, pieszcząc się głową węża, przyczem kiedy po ustach przesuwa sobie ogniwa, doznaje dziwnego, upajająco drażniącego łaskotania. Całe ciało jej, białe, smukłe, przepyszne ciało lśni się od klejnotów. Zaduszona niemi prawie leży bezwładnie i patrzy w odbijające ją nieskończoną ilość razy zwierciadła.

Przymyka oczy i śni...

Marzą jej się dawne miasta, dawne, przedwieczne ludy, święta Mitry i Astarty, orgje kapłanek aleksandryjskich. Szalone jakieś, szatańskie dreszcze wstrząsają jej ciałem. Pani Mery wyzywa duchy, demony i one przychodzą. Oto powstaje nagle, jakby z pary niewidzialnej, którą zda się perły z morza z sobą przyniosły, ciemny kształt, podnosi się, rośnie zawisa nad nią... Nagle błyskają mu szklanne skrzydła u ramion i całe ciało jego staje się podobne do jasnego płomienia, niezmiernie świetlnego. Spadł jej na pierś... Już, już mdleje w jego uścisku, wtem wydaje jej się, że z paszczęki złotego węża wyszedł syk, a szmaragdowe oczy zabłysły złowrogo. Panią Mery ogarnia lęk, chce zrzucić łańcuch, ale złote zwoje wpiły jej się w ciało. Na ciele jej rozpoczyna się walka uścisków powietrznego ognia i zimnego metalu. Szklanne płomienie biegają po niej i uderzając o złote ogniwa, zdaje się, że

dzwonią i dźwięczą. Pasują się z sobą o nią — ogień i metal. Aż wydarła jedną rękę ze skrętów łańcucha i zakryła oczy zamknięte. Wtedy wszystko nagle niknie. Widzi się na łące zielonej, na runi.

»Albowiem oto minęła słota! deszcz przeszedł i przestał. Kwiatki się ukazują na ziemi; czas śpiewania przyszedł, a głos synogarlicy słychać w ziemi naszej.

Figowe drzewo wypuściło niedojrzałe figi swoje, a macice winne rozkwitłe, wonią wydały.

O źródło ogrodne, zdroju wód żywych, które płyną z Libanu!...

Rzekłem: Wstąpię na palmę, dosięgnę wierzchów jej. Niechajże mi tedy będą piersi twoje, jako grona winne a wonność nozdrzy twoich jako jabłek wonnych....

Jam jest miłego mego, a miły mój jest mój, który pasie między liljami.

Jako snopek myrrhy jest mi miły mój na piersiach moich odpoczywający.

Miły mój jest mi jako grono cyprowe na winnicach, w Engaddy...«

Oo!

Zielona łąka, zielona ruń zamieniła się w puszcze piaszczyste.

Oo!

Dziwny, straszny, wstrętny ptak deptał po djamentach i perłach, po szafirach i opalach. Rozrzucał je szponami, roztrącał cięciem skrzydeł.

Pani Mery obudziła się — wszystko znikło.

Widziała siebie odbitą w kryształowych zwierciadłach, w deszczu klejnotów.

Ale gdy przymknęła oczy, otwarła jej się straszliwa otchłań, czeluść bezdenna i wystąpił z niej ciemny, skrzydlaty duch — anioł śmierci.

Zerwała się; z brzękiem na marmur stoczyły się kamienie, djademy i bransolety.

— Po co ja tu siedzę?! Czego ja tu chcę? — szepnęła.

Ale powoli wzrok jej począł znowu błądzić po nagromadzonych bogactwach i uspokoiła się.

I zaczęła się śmiać, nerwowo, głośno, szalenie, albowiem w najkomiczniejszych skrętach i kłębach po wszystkich tych skarbach, po djamentach, topazach i rubinach, perłach i opalach, przetaczał się potworny, wykrzywiony, z rękami zatkniętemi

za pachy od kamizelki, garbatonosy bankier z »Fliegende Blätter«. Pani Mery śmiała się, aż jej oczy łzami zaszły.

— Czy jestem już obłąkana? — rzekła, ocierając łzy, sama do siebie półgłosem.

Potem wydało jej się, że się przed nią rozlało nieskończone, błękitne jezioro.

Cisza i spokój.

Myśl jej zaczęła się zatapiać w przestrzeń, w próżnię, we wszechświat, w nicość...

Nazajutrz rano biegała po sklepach jubilerskich za nowemi klejnotami.

Kupiła garść brylantów, byłaby chciała skupić wszystkie brylanty w mieście. Cieszyła się niemi w karecie, ale przyszedłszy do domu, spojrzała na nie i rzuciła z gniewem na dywan swego salonu.

To ma być życie?!

Pani Mery opuściła Warszawę i przeniosła się zupełnie do Zagajowic. Pałac zagajowicki przeistoczył się w istny ogród zaklęty. Pod olbrzymiemi oszklonemi dachami poczęły się piętrzyć tarasy i wiszące ogrody, pełne najdziwniejszych i najrzadszych kwiatów do których teraz panią Mery ogarnęła zupełna namiętność. Wprowadzono wodę i pod oszklonemi dachami warczały pieniąc się kaskady i drzemały wśród potwornych paproci storczyków ciche, zaklęte jeziorka. Powyrywano piętra domu i poczyniono kolosalne sale na filarach z marmurów.

Podczas śniegu Pani Mery przechadzała się wśród odurzających zapachem kwiatów, albo kąpała się w swoich puszczonych w marmurowe baseny jeziorkach. Dziwne ptaki zamorskie sprowadzono do Zagajowic ze Wschodu: oswojone ibisy i marabuty brały jedzenie z dłoni pani Mery, przepyszne czarne łabędzie i drugie białe z czarnemi szyjami i czerwonemi dzióbami, pływały w umyślnie urządzonych sadzawkach. Pani Mery kazała je potem pomalować na szafirowo, zielono, na kolor błękitny, a niektóre pozłocić i posrebrzyć. Nieprzeliczonych barw papugi i kolibry kołysały się na gałązkach oleandrów, palm, pomarańcz i cyprysów. Bajecznej wielkości żółwie wylegiwały się na posadzkach, lub spacerowały wolno po galerjach.

Cudowne dziewczyny z Kaukazu pełniły przy pani Mery służbę.

Pałac zagajowicki, otoczony murem i zamknięty dla wszystkich, stał się w okolicy i dalej jeszcze legendową powieścią, a jego właścicielka osobą, która »zupełnie zbzikowała«.

Opowiadano także przechodzące wiarę ludzką rzeczy... Nabożne szlachcianki, panie ekonomowe i panny rządcówne, żegnały się na samo wspomnienie nazwiska »tej piekielnicy«.

Tymczasem tak samo, jak w opustoszałym obecnie pałacu w Warszawie, i tu w Zagajowicach była zamknięta na żelazne drzwi bez okien, tylko z otworami w szklannym, stromym

dachu altana, gdzie oprócz pani Mery nikt nie wchodził, Nie był to już skarbiec na klejnoty, ale na środku na kamiennej posadzce ustawiony był ciosowy ołtarz, na wzór dawnych całopalnych ofiarnych ołtarzy. Tam pani Mery rzucała najdroższe kadzidła i wonie na szczapy nasyconego olejkami cedrowego drzewa i zanurzała się w kłębach dymu, poczem padała na kolana i poczynała się modlić. Nie była to ani prośba o cokolwiek, ani prośba o przebaczenie jakichkolwiek win. Była to jakaś wewnętrzna potrzeba uwielbienia czegoś, życia czemś, podziwiania czegoś i miłowania, czegoś, co jest nadludzkie, co jest imponujące, olbrzymie, nieskończone i wieczne.

»Boże ojców moich! — wołała pani Mery wśród obłoków kadzideł — Boże ojców moich, Boże Abrachama, Izaaka i Jakóba!

Panie, gdyś wyszedł z Seir, a przechodziłeś przez pole Edom, ziemia się wzruszyła, nieba też kropiły, a obłoki wydawały wodę.

Góry się rozpłynęły od oblicza Pańskiego, a góra Synai od oblicza Pana, Boga Izraelskiego...

On odkrywa głębokie rzeczy z ciemności, a wywodzi na jaśnię cień śmierci...

Podniosły rzeki, o Panie! podniosły rzeki szum swój; podniosły rzeki nawalności swoje...

Nad szum wielkich wód, nad mocne wały morskie mocniejszy jest Pan na wysokości.

Niech pląsają pola, i wszystko, co jest na nich, tedy niech wykrzykują wszystkie drzewa leśne...

Pan króluje; wyskakuj ziemio, a wesel się mnóstwo wysep!...

Góry jako wosk rozpływają się przed obliczem Pańskiem, przed obliczem Pana wszystkiej ziemi...

Niech zaszumi morze, i co w niem jest, okrąg świata i mieszkający za nim.

Rzeki niech klaskają rękoma; góry wespół niech się rozradują...

On odkrywa głębokie rzeczy z ciemności, a wywodzi na jaśnię cień śmierci...«

Pani Mery wpadała w ekstazę. Wydawało jej się, iż w dymie kadzideł zjawiają się anioły i całe ich zastępy.

Dziwne, potworne zwierzęta o ludzkich twarzach, uka-

zywały się w dymie, albo zdawało się, że zlatują się jeźdźcy na wozach, z rumakami z płomieni i z kołami z ognia.

A potem wysuwały się ku niej jakieś ręce i głos jakiś jakoby mówił: Pójdź!

»Pójdziesz ze mną z Libanu, o oblubienico moja! ze mną z Libanu pójdziesz, a spojrzysz z wierzchu Amana, z wierzchu góry Sanir i Hermon...«

Zaiste przyjdę rychło. Amen...

Kiedy pewnego popołudnia, pani Mery, słaniając się, wyszła ze swego domu modlitwy, czarny, milczący Murzyn podał jej na srebrnej tacy list: poznała pismo dawno już zamężnej kuzynki Wasserkranzówny. Ta dobra kobieta niewątpliwie chciała na nią jakiś wpływ wywrzeć, donosząc, że wyczytała w dziennikach, iż Strzyżecki się ożenił z jakąś Polką, spotkaną w podróży, wiejską panną, podobno bardzo ładną i sympatyczną. Znał ją hrabia Morski.

Pani Mery położyła spokojnie na etażerce list, szepcąc półgłosem:

»Czemu mam szarpać ciało moje zębami mojemi i duszę moją kłaść w ręce swe?...

Gdym dobrego oczekiwał, oto przyszło złe; a gdym się spodziewał światłości, przyszła ciemność...«

Tymczasem wieczorna poczta przyniosła pani Mery najmniej spodziewaną drugą wiadomość od pani Zanieckiej:

»Nie donosiłam Ci tego, bo co Cię to mogło obchodzić — pisała pani Hersylia — że ów tak głośny w swoim czasie rzeźbiarz, Rdzawicz, przyszedł zupełnie do zdrowia i wrócił do świata. Poznałam go u Łódzkich. Przyszedł do nas, zobaczył Twoje fotografje i Twój medaljon paryski i powiada, że żeby miał niebo i piekło poruszyć, musi Cię rzeźbić. Prosi o telegraficzną odpowiedź na moje ręce, czy może przyjechać?«

Pani Mery pomyślała chwilę, a potem napisała na ćwiartce papieru:

»Dobrze«.

Potem oparła ręce na balustradzie, oparła na nich głowę i zaczęła patrzeć w przestrzeń, gdzie zapalały się gwiazdy ciche, jasne i milczące.

KONIEC.

18-go kwietnia 1939r.

Pol-Am Publ Co, Chi

10,-